G. SAUVIN.

DO CHICAGO.

WARSZAWA.
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1893.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Сентября 1893 г.

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

I.

Cechy charakterystyczne głównych miast Stanów Zjednoczonych.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych świat cały w tym roku zaprosili do siebie w gościnę. W Chicago, jednem z największych miast Związku, otwartą jest Wystawa powszechna, sztuki, przemysłu i rolnictwa. Czem będzie ten „World fair", ten jarmark świata, jak mówią amerykanie? Zdania są podzielone, lecz znaczna ilość mieszkańców starej Europy podąży sprawdzić to na miejsce i na pewno wróci pod silnem wrażeniem, które ozwie się w myślach i czynach nietylko naszego lecz i następnego po nas pokolenia. By jaśniej i trzeźwiej, osądzić Wystawę w Chicago, postanowiłem wybrać się znacznie wcześniej przed jej otwarciem, by zwiedzić raz jeszcze dobrze mi już znane miasta Stanów Zjednoczonych, zżyć się z niemi trochę, zanim odświętnie przybrane staną z wymuszonym uśmiechem, do przyjmowania gości gotowe.

Chcąc mieć właściwe o danym kraju pojęcie, niedość jest znać jego literaturę, sztukę, nie-

dość jest znać jego mieszkańców po za obrębem ich ojczyzny i sądzić dzieło z rezultatu; trzeba zbadać rzecz na miejscu, przesiąknąć atmosferą miejscową, poznać ludzi w codziennych i właściwych im warunkach. Ze wszystkich krajów cywilizowanych, Ameryka północna przedstawia najwyraźniejsze cechy oryginalne, najzupełniej odróżniające je od innych. Ulegają one szybkim zmianom i trudnoby je było utrwalić; zobaczmy atoli, czem są w chwili obecnej.

NEW-YORK.

Dla europejczyka wszystko tu jest nowością. Z krańca miasta dostrzegam ujście dwóch rzek, jakby ręce olbrzymie na pożytek ciała Stanów Zjednoczonych i głowy jego, New-Yorku, ku morzu rozwarte; krzyżują się po nich bezustannie niezliczone parowce, wielkości i kształtu różnego; widzę potężny most Brooklynu, statuę „wolności światu przyświecającej“ dłuta Bartholdiego, dar Francyi; dalej w mgle, rozpoznać można kontury wyspy „Wielkorządcy“ (inaczej Long-Island.) Dzisiejszy poranek zimowy w właściwem oświetleniu wszystko uwydatnia; kolor czarny przeważa, od białego przechodząc, wpada w czarno spłowiały. Stoję pod ścianą olbrzymiego gmachu, służącego za zbiorowisko licznych banków i biur handlowych, w którym milionerzy o wielkich rękach i nogach, dnie całe spędzają na

obrabianiu interesów i przygotowywaniu nowych spekulacyj. W około mnie snuje się brudna gawiedź portowa. Mam przed oczyma punkt środkowy ustroju nerwowego miasta, Nowego Świata całego... Piękne to swą potęgą, ale tylko potęgą woli ludzkiej, ku wiadomemu celowi ześrodkowanej.

New-York, Londyn i Paryż — oto trzy jedyne miasta, sprawiające wrażenie stolic w całem znaczeniu tego wyrazu. Odczuwa się w nich wielką na około siebie siłę, jest się cząsteczką zagubioną w tłumie, złożonym z wielkich i mizernych istot, niczem z pozoru różnić się od siebie niedających. Niejednokrotnie przebiegałem sam po alejach i ulicach Nowego Yorku o różnych porach roku i dnia, i pragnąłem, nasyciwszy się ich widokiem, wywołać w umyśle obraz, czem będą miasta w przyszłości. Miasta Stanów Zjednoczonych wspólny sobie posiadają charakter, nie tak jak w Europie, gdzie każda mieścina wyróżnia się całkowicie, posiadając po za sobą długi szereg faktów należących do historycznego jej rozwoju lub upadku. Miasta amerykańskie mają ulice proste, monotonne, domy wysokie, kwadratowe; na wszystkiem te znamiona widnieją, wszystko jest wielkie i sztywne w swej prostocie.

New-York zbudowany w formie klina, jednym bokiem styka się z morzem. Całe pobliże ulic nadbrzeżnych imponuje siłą, potęgą ruchu, bo-

gactwem, magazyny, biura, agencye, zgrupowane rodzajami pracy, mieszczą się na licznych piętrach olbrzymich budynków z cegły; wciąż w ich wnętrzu spuszczają się lub podnoszą windy; drzwi i korytarze zapchane są tłumami ludzi, równie jak wszystkie przylegające do nich ulice. W miarę oddalania się w głąb miasta, zmienia się jego wygląd; domy są piękniejsze, sklepy i magazyny bogatsze i coraz ich napotykamy więcej, każdy „bar“, gdzie się je i pije, połyskuje mosiężnemi ozdobami coraz staranniej utrzymanemi w czystości. W pośrodku ulicy krzyżują się tramwaje, wozy i wózki, mało między niemi dorożek a jeszcze mniej powozów prywatnych; przed sklepami nikt tu nie rozstawia towarów jak u nas, kawiarni i winiarni w rodzaju naszych szeroko rozwartych tego rodzaju przybytków, nie ma tutaj wcale. Ubranie przechodniów jednakowe, nikt tu nie nosi wyłącznego dla swego rzemiosła munduru; zamiatacze ulic i robotnicy noszą cylindry i surduty. W tłumie nie spotkasz ani jednego spacerującego mężczyzny, rzeczą jest bowiem przyjętą, że mężczyzna powinien być gorączkowo zajęty lub przynajmniej takie mieć pozory. Wśród spotykanych kobiet, najwięcej jest młodych, panny bowiem domowe załatwiają zwykle sprawunki i wizyty. Wszyscy mają ogólny wygląd poważny i milczący, uwidoczniający, iż śpieszą się do wytkniętego jakiegoś celu, i, rzecz dziwna, pomimo ruchu two-

rzą obraz martwy; słusznie pewna amerykanka, wróciwszy z Europy, zauważyła: „Co mi się najwięcej w Paryżu podobało — to wrząca na ulicach wesołość i swoboda“. Im posuwamy się dalej w głąb miasta tem wszystko bogatsze. W części New-Yorku, gdzie się skupiły teatra, kluby i zbytkowne magazyny, afisze pokrywające mury jaskrawszemi malowane są farbami, w układzie kolosalnych wymiarów reklam, trochę przypuszczono nawet artystycznej fantazyi. W pośród skweru zwanego Madison-Square, przecinają się dwie główne ulice miasta: Broadway i 5-ta Aleja. Taki centralny punkt zajmuje w Paryżu gmach Wielkiej opery, w Londynie jeden z dworców kolei żelaznej a w New-Yorku poczet cały wspaniałych hoteli. Mieszkańcami tych hoteli są nie tylko przyjezdni, liczniejsi w miastach amerykańskich o wiele niż na starym kontynencie, lecz zamieszkują tu również całe rodziny miejscowe, uznając wyższość hotelowego urządzenia nad każde inne; oczywiście, jest ono stosunkowo tańsze, zwłaszcza dla ludzi z wymaganiami zbytku, ze wszystkiemi jego odmianami.

Pomiędzy Madison-Square a Parkiem, przeważnie wznoszą się pałacyki i pałace prywatne; miasto przybiera pozór angielski. Wnętrza tych domostw urządzone są z niesłychanym komfortem. Przepych i bogactwo często lśni zbyt widocznie, wszędzie dywany

i meble, jakby dopiero co zakupione, cacka zbyt jaskrawe, obrazów wiele i te najczęściej szkoły francuzkiej lecz w nieharmonijnie bogatych ramach; pod względem wygód życia—wszystko przewidzieć zdołano: windy, kaloryfery, elektryczność, telegrafy, telefony, przyrządy do wezwania policyi, straży ogniowej, pomocy lekarskiej, dorożki, posłańca zamieniają pałace bogaczów w sceny teatralne o zmieniać się mogących dekoracyach; zamieszkane są zaś przez burżuazyjnych epikurejczyków o zmyśle praktycznym i do potworności rozwiniętym.

Na końcu 5-tej Alei, której mieszkańcy z samych milionerów złożeni w pysznych zamieszkują pałacach, znajduje się Park. Przypomina on Hyde-Park londyński lecz o wiele jest wspanialszy. Zbytek dosięga tutaj kulminacyjnego punktu, wytworność powozów, piękność koni, wykwint stroju publiczności — świadczy o tem wymownie. W każdym powozie siedząca rodzina wydaje rocznie co najmniej 200,000 franków na swoje utrzymanie.

Po za Parkiem ciągną się nowe ulice miasta, wznosi się tam nowa, bogata dzielnica świeżo wzbogaconych dorobkowiczów. Miasto posuwa się z rokiem każdym coraz głębiej, oddalając się od wybrzeża, handlowi wyłącznie oddanego.

We wszystkich książkach, jakie czytałem w francuzkim i angielskim języku o Ameryce,

spotkałem się z opisami najczęściej wiernemi o stronie zewnętrznej kraju, lecz jakże mało jest prawdy w sądach o ludziach tamtejszych! Fakt ten wywołany jest skutkiem zbyt indywidualnych zapatrywań autorów, tak francuzkich jak angielskich, którzy ze swego narodowego stanowiska sądzą za pomocą porównania i zaznaczają spotkane różnice. Słusznie amerykanie zarzucają nam europejczykom: „Wy nas ani znacie, ani staracie się rozumieć“. Każdy naród musi się różnić od drugiego, skutkiem potrzeb wytworzonych położeniem geograficznem, rasą swych mieszkańców, warunkami bytu i tysiącznemi odmianami obyczajów, wyradzającemi się w miarę urabiania społecznego. Zamiast krytykować, porównywać lub zachwycać się, czyż nie lepiej z dobrą wiarą przystąpić do zbadania pobudek i skutków, pozostawiwszy swoje narodowe „ja“ zupełnie na stronie?

Początek Nowego-Yorku jest następujący: garstka holenderskich pionierów, szukając miejsca na założenie siedliska, zamieszkała na wyspie Mauhattan, jako w miejscu z natury swej obronnem i odosobnionem. Gdy kraj przeszedł w ręce angielskie, powstały natychmiast liczne kantory ożywiony prowadzące handel towarami europejskiemi, oraz surowemi materyałami pochodzącemi z głębi kraju. Anglicy dopiero wyzyskali należycie drogę morską wszędzie, we wszystkie zakątki świata gościńcem swym wio-

dącą, roztaczając przy tem panowanie swe nad krajem posiadającym 4,023 kilometrów długości i 2,414 kilometrów szerokości. Wraz z handlem rosło bogactwo, a więc zrodziły się i potrzeby, powstało z tąd miasto nazwane New-Yorkiem. Chciwi zysku mieszkańcy zapragnęli wraz z dobrobytem wygody, pomijając wszakże wszystko co bezużyteczne, a zatem wykluczyli piękno jako dające tylko przyjemność. Szło im przedewszystkiem o praktyczność a zarazem o szybkość. Nagromadzone zbiegowisko ludzkie, ożywione było jedną i tąż samą myślą i pragnieniem a więc wznoszono domy wśród pustkowia bez hołdowania jakimkolwiek zwyczajom, pamiątkom lub prawom. Pracowano nie dla kogoś, dla jakiejkolwiek klasy ludzi lub wybrańców, lecz dla dobra swojego ogółu, posługiwano się doświadczeniem gdzieindziej nabytem, lecz zastosowanem tutaj w warunkach pierwotnej natury ludzkiej, chcącej przedewszystkiem zaspokoić potrzeby tłumu.

Tak powstała tradycya, uświęcił ją obyczaj i do dnia dzisiejszego uszanował w całości.

W dzisiejszym Nowym-Yorku mamy ulice oświetlone elektrycznością, lecz na tychże ulicach sterczą słupy ledwie że z obciosanego drzewa podtrzymującego druty telegrafów i telefonów. Komunikacye z jednego punktu miasta na drugi łatwe są, częste i szybkie, lecz pociągi kolejowe unoszące podróżnych suną wśród ulic

na pomostach sięgających pierwszego piętra, tuż obok stojących domów. Cały wysiłek skierowano ku dogodności ogółu a zwłaszcza bożyszcza tego ogółu — handlu, i wszystkiego łączność z nim mieć mogącego; bożyszcze ochrzczone zostało mianem „business“ wyrażającem i łączącem w sobie znaczenie: handlu, interesu, zatrudnienia, sprawy, z odcieniami wielorakiemi. To co amerykanie nazywają „business“ stanowi jakby nowożytną religię mogącą przynieść swym wyznawcom bogactwo a więc i szczęście. Nowy-York jest świątynią tej religii, świątynią doskonale zastosowaną do obrządków wszechwładnego kultu „businessu“.

Niedziela, godzina 11-ta rano.

Spacer do kościoła lub z kościoła — „Church parade“ o tej porze dnia jaśnieje w całej okazałości. Chodniki 5-tej Alei przepełnione są publicznością strojną, bywającą często w Europie i dość przez to skłonną do wyrzeczenia się charakterystycznych cech miejscowych. Wszyscy idą pieszo, w niedzielę nie jest w zwyczaju zaprzęgać, niedziela bowiem jest dniem odpoczynku. Mężczyzni w tużurkach, cylindrach i lakierkach. Kobiety ubrane podług najświeższej mody paryzkiej, bogato i z gustem, postępują śmiało, z głową podniesioną i bez woalek na twarzach; zwyczajem angielskim, pierwsze skinieniem głowy i uśmiechem witają spotykanych znajomych. Amerykanki w ogóle są ładne a wdzięk posiadają

wszystkie. Przed „Windsor Hotel“ zbierają się „dudes“ czyli złota młodzież miejscowa i z tąd przypatruje się przepływającemu wytwornemu tłumowi, który na kilko-kilometrowej przestrzeni 5-tej Alei, znajduje kościoły i kaplice głównych sekt religijnych.

Wchodzę i ja do katolickiej katedry. Jakkolwiek amerykanie chełpić się lubią pięknością jej gotyckiego stylu, nie posiada ona nic uderzająco pięknego w swej architekturze, przytem, zwłaszcza skutkiem nazwy „katedry“, małą mi się wydała bardzo; jest to raczej kaplica niż kościół. Wszystko tu wytworne, ładne, czyste, nabożeństwo odbywa się szybko, kaznodzieja mówi zwięzle i rozsądkiem zastępuje nastrój mistyczny, śpiewy brzmią na tempo pośpieszne z intonacyą pieśni salonowych. Publiczność siedzi wygodnie na miejscach ceny rozmaitej, stosownie do zostawionej u wejścia opłaty, na twarzach maluje się spokój a zarazem skupienie.

Zwiedzający Stany Zjednoczone turysta powinien raz na zawsze wyrzec się zasady, iż z dawnych czasów pozostałe gmachy najgodniejszemi są uwagi. Wszystko tu bowiem jest nowe. W Nowym Yorku niemało spotkać można gmachów imponujących swym ogromem, ceną kosztu swej budowy a przedewszystkiem praktycznością swego wewnętrznego urządzenia. Towarzystwa finansowe i banki w pobliżu portu, biura dzienników przy ulicy Wall Street, mieszczą się w pa-

łacach pysznych i bogatych. W pobliżu Trinity-Church, najstarszego z miejscowych kościołów, wznosi się gmach Skarbu Narodowego w stylu doryckim, cały z białego marmuru i granitu, zdobny olbrzymią statuą Waszyngtona. Giełda i Komora celna, odznaczają się zwłaszcza swym ogromem. Pałac Poczty jest widocznem naśladownictwem paryzkiego Pałacu Luwru, mimo pięknego wzoru, jest niepospolicie szpetny, lecz jakże wygodnie mieści się w nim 2,500 urzędników, którzy, dzięki praktycznej organizacyi, bez zbytecznego zmęczenia sprawiają służbę z niesłychaną akuratnością i ścisłością niezrównaną.

Z gmachów zaznaczamy jeszcze jako godne uwagi: Ratusz, Sąd, Bibliotekę, Świątynię masońską, Akademię narodową, Sztuk Pięknych, Kolegium Kolumba.

Miejskie Muzeum sztuki zasługuje na uwagę, dzięki skarbom jakie w sobie zawiera. Od lat kilku Sztuka niezmiernie ważne stanowisko zajęła w Stanach Zjednoczonych. Legiony całe młodzieży wyruszyły do Francyi, Niemiec i Włoch dla kształcenia się na polu artystycznem. Młodzi ci ludzie zwrócili się zwłaszcza ku rzeźbie i malarstwu, a postępy, jakie czynią, zwracając swemi pracami uwagę w Paryżu, Monachium i Rzymie, dozwalają przypuszczać, iż niezadługo stworzyć zdołają nową, swoją rodzimą szkołę. Dotychczas, amerykanie kupowali obrazy w Europie, pociągnięci wygórowaną ich ceną, pysznili się kosztownemi

płótnami, jak pyszni się kobieta posiadająca drogocenne świecidła. W katalogach muzeów Stanów Zjednoczonych, zawsze wymienianą jest cena, za którą dane dzieło sztuki kupione zostało, bardzo często nawet cena wyrytą jest na ramie obrazu. Podziw zwiedzających galeryę zostaje w prostym stosunku do wystawionych cen na ramach obrazów, lub przy opisie tychże w katalogach.

Miejskie muzeum Sztuki jest instytucyą prywatną, utrzymywaną i podtrzymywaną dzięki hojności stowarzyszonych członków. Gmach stoi w pośrodku Central Parku i zawiera bogate zbiory starożytności rzymskich, egipskich, assyryjskich; odlewy z arcydzieł starożytnych, staroświeckie rzeźby na drzewie; zbiór instrumentów muzycznych; przedmioty cywilizacyi dawnych ludów Amerykę zamieszkujących; kolekcye drogich kamieni. Galerya obrazów liczy sporo utworów Rembrandta, Teniersa, Van Dycka z nowszych zaś mistrzów przeważnie reprezentowaną jest szkoła francuzka. Wszystkie prawie z piękniejszych obrazów ostatnich lat dwudziestu, zwłaszcza te, które zwracały uwagę w Salonie paryzkim, tutaj są teraz zebrane. Liczne są zwłaszcza utwory: Duprégo, Milleta, J. P. Laurensa, de Neuville'a, Bouguereau, Lhermitte'a a z nieco dawniejszych są Corot i Delacroix.

Ani dniem, ani wieczorem, tak zimą jak latem, nikt w Stanach Zjednoczonych nie spędza chwil wolnych na ulicy. Nikomu tu nigdy nie

nie przyjdzie do głowy, by można czas marnować na oglądanie wystaw sklepowych, spacerowanie bezcelowe po mieście, lub odsiadywanie godzin w kawiarni przed rozpoczętą szklanką napoju. Wszakże niejako wyjątek wśród miast amerykańskich stanowi do pewnego stopnia Nowy York, jako zbiegowisko ludzi różnorodnych narodowości, nadających miastu charakter kosmopolityczny. W pobliżu Madison-Square, Broadway i 5-tej Alei, są godziny dnia w czasie których można spotkać spacerujących; lecz cóż znaczy ta garstka modelująca się na wzór obyczajów europejskich z milionową ludnością Nowego Yorku! Kobiety nigdy nie są zaczepiane na ulicy. O jakiejkolwiek porze dnia, najładniejsze nawet mogą same i spokojnie bez obawy, nie tylko zaczepki lecz i wyzywającego spojrzenia, przebiegać całe miasto. Amerykanie dbają niesłychanie o moralny wygląd swój na zewnątrz. Prostytucya trotuarowa dostrzegalną jest zaledwie w nadportowych dzielnicach miasta. Nie należy ztąd przypuszczać, by amerykanie odznaczali się moralnością, praktycznie tylko, stosownie do swych zamiłowań, uregulowali tę stronę swego życia, nie ściągając niczyjej uwagi rzucającemi się w oczy objawami. Bogatsi jeżdżą na hulanki do Paryża.

Po za obrębem tysiącznych restauracyj, które dają wszelkie jedzenie i na różne ceny, istnieje kilka zakładów gastronomicznych z wielkim

urządzonych zbytkiem. Najsłynniejszą jest restauracya Delmonico. Amerykanie z dumą twierdzą, że jest lepszą i zbytkowniejszą od wszystkich restauracyj paryzkich i tak jest w istocie. W olbrzymim pięciopiętrowym domu bez szyldu— każdy bowiem wiedzieć powinien, gdzie Delmonico się znajduje — mieszczą się sale i saloniki dla zebrań prywatnych. Kucharze i służba cała jest wyłącznie złożona z francuzów, ale lokal jest obszerniejszy, zbytek urządzenia bogatszy, dywany większe, meble wytworniejsze, nakrycia stołowe ozdobniejsze, aniżeli te, które spotykamy w Paryżu, lecz i rachunek o wiele jest wyższy. Do salonów ogólnych mężczyzni przychodzą we frakach a kobiety w sukniach wyciętych. Poznałem się z właścicielem tego znakomitego businessu; nic dziwnego, iż posiada on jeden z najpiękniejszych pałaców Nowego Yorku na prywatne dla siebie mieszkanie, oraz jeździ po parku w wytwornych powozach zaprzężonych końmi fortunę kosztującemi! Amerykanie jedzą cztery razy dziennie: śniadanie, lunch (chłodne zakąski w południe) obiad i kolacyę. W restauracyi Delmonico od dziewiątej godziny rano do północy, tłum gości jest nieustający, ale co dziwniejsza, piją wszyscy szampana i tylko szampana przy każdem jedzeniu i każdym stoliku lub stole.

U siebie w domu, amerykanie piją tylko wodę co nie przeszkadza, iż stanowią naród spoży-

wający największą ilość trunków. Widocznie, że żołądek do wszelkiego nadużycia przyzwyczaić się może, albowiem mimo niesłychanej ilości trunków, któremi zalewa się każdy amerykanin od samego począwszy rana, rasa nie ucierpiała bynajmniej, silna i zdrowa istnieje nad podziw. W każdym teatrze, cyrku, jest oddzielna długa sala, w której tłumnie przepływająca publiczność spija najmocniejsze trunki, jak: wiskey, cockail i inne mikstury alkoholiczne, lecz przeważnie z przymieszką pachnącą. Dla amerykanina zajście do „baru“, dla wypicia jednej lub drugiej szklanki czegoś arcy mocnego, stanowi potrzebę i przyjemność, bez której obejść się nie może.

Pomiędzy „kawiarnią“ europejską a „barem“ amerykańskim, wielka zachodzi różnica. W naszych kawiarniach ludzie zbierają się na kilkogodzinny odpoczynek z gazetą w ręku, na pogadankę przy zwolna popijanym napoju zimnym, lub gorącym, amerykanie zaś, wbiegają śpiesznie do baru łyknąć na prędce kieliszek trunku, i, nigdy nie zabawiwszy dłużej nad parę minut, nie usiadłszy na chwilę, pędzą dalej. Amerykanin uczęszcza do baru sam, czasami w towarzystwie przyjaciela, lecz nigdy z kobietą. Bar uważany jest w ogóle źle; żony zabraniają mężom zachodzenia do tego rodzaju przybytków, posiadających sale udekorowane obrazami treści mocno erotycznej, oraz dwa wejścia, z których tajemne używane jest zwłaszcza do wyjścia. New-York

liczy niezliczoną ilość barów, począwszy od brudnych i cuchnących nor w dzielnicy blizkiej portu, aż do świecącego złotem i lustrami Hoffman-House. Zbytek urządzenia posunięty jest tu do przesady; główną salę zdobi słynna „Wenera“ pędzla francuzkiego mistrza Bouguereau; liczne reflektory i lustra, powtarzają ponętną jej postać do nieskończoności.

Dla amerykanina, zarówno jak dla pokrewnego z nim anglika, klub stanowi nieodzowne dopełnienie życia społecznego. Każdy bogaty lub dorabiający się bogactwa człowiek, należy do kilku naraz klubów. Mężczyzni zbierają się tam przeważnie przed obiadem i, pod pozorem interesów, posłuchania muzyki lub przejrzenia gazet, grają w bilard i piją. W licznych i pysznie urządzonych klubach w Nowym Yorku, można się nietylko stołować, lecz nawet i mieszkać. Dochody ich powstają ze składek członków i z opłaty od trunków. Gry hazardowne są wzbronione. Najwspanialszym jest klub Union-League. Składka roczna wynosi około 2,000 franków. Raz na rok członkowie wydają bal dla swoich żon i córek, które po za tym dniem wyjątkowym, wstępu tam nie mają. Kluby współubiegają się pomiędzy sobą o pozyskanie na członków ludzi wybitne piastujących stanowiska. Prócz licznych klubów założonych przez stowarzyszenia adwokatów, lekarzy, profesorów, żydów, niemców, szachistów i t. d. istnieje

„Athletic-club“ posiadający niezrównanej doskonałości przyrządy do wszelkiego rodzaju sportu, oraz słynną salę fechtunku i gimnastyki.

Ile razy zdarzyło mi się zajść wieczorem do któregokolwiek z klubów w Nowym Yorku, znajdowałem sale jego przepełnione ludźmi. Pomimo to wszakże amerykanie utrzymują, iż wieczory spędzają przykładnie w kółku rodzinnem u domowego ogniska...

* * *

Dziwnie rażąco brzmi dla nowo przybyłego, powtarzające się co chwila w rozmowie z amerykanami określenie „ogromny“, „olbrzymi“ stosowane do wszystkiego i wszystkich. Powoli przejąłem się wszakże tak dalece duchem rzeczy uzasadniającym podobny sposób wyrażania się, iż powtarzałem z przekonaniem, jak prawdziwy yankes, „it is a big thing“, patrząc na wielkość ich pomysłów i przedsiębiorstw nieustraszonych żadną trudnością. Jakkolwiek w Nowym Yorku nie można nabrać właściwego pojęcia o Ameryce, miasto bowiem posiada charakter kosmopolityczny a nie amerykański, łatwo wszakże dostrzedz większą ruchliwość i energię, obrót kapitałów szybszy i znaczniejszy, jakość rezultatów o tyle wyższą, iż wszystkie siły są dla ich dopięcia zużyte, w namiętnym a dla nas niezrozumiałym pościgu za zdobyczą coraz bogatszą i obfitszą. Cyfry pochłaniające życie tych ludzi

nabierają innego niż gdzieindziej znaczenia. W krótkim stosunkowo czasie zrozumiemy entuzyazm amerykanina, zestawiając cyfry porównawcze ludności Stanów Zjednoczonych. W przeciągu lat 30 ludność się zdwoiła, dobiegając cyfry 63 milionów mieszkańców. Entuzyazm ten łączy się z uwielbieniem dla samego siebie, nigdzie bowiem fakt podobny nie miał dotąd miejsca. Amerykanin rozkoszuje się, wymieniając cyfrę 15,000 dzienników ukazujących się w Stanach Zjednoczonych. Cyfra ta bowiem stanowi połowę ogólnej ilości dzienników, znanych na całej kuli ziemskiej!

II.

Obyczaje rodzinne.

W rodzinie amerykańskiej Stanów Zjednoczonych, urodziny dziecka nie są bynajmniej otoczone sentymentalną poezyą, jak to ma miejsce na kontynencie starej Europy. Nie przynoszą z sobą nowych horyzontów pojęć i uczuć dla młodej matki, dobrze je bowiem ona znała teoretycznie zdawna, przed wyjściem zamąż. Dziecko nie odgrywa też tutaj nigdy roli lalki, którą bawi się ojciec lub matka. Miłość ojcowska objawia się zdwojoną usilnością pracy i zarobku; wraz ze wzrastającemi wydatkami, należy się

starać o wzrost dochodów. Miłość macierzyńska pozostaje tak jak wszędzie, tak i tu jednaka, pieczołowitość i pieszczoty otaczają dziecko od kolebki, amerykanka wszakże krótko sobie na wylew uczuć dozwala, nie chcąc zagłuszyć samoistnego wyrabiania się i kształtowania charakteru w przyszłym obywatelu swobodnej Ameryki. Wpływ jej w latach późniejszych żaden jest rzec można.

W pierwszych latach dzieciństwa stosowany jest system angielski. Jeżeli majątek rodziców pozwala, dziecko chowa się w „nursery“, oddzielonej od pokojów przez ojca i matkę zajmowanych; wzrasta pod okiem wyspecyalizowanych nianiek, żywione jest podług reguł przyjętych, bawi się z licznemi zazwyczaj siostrami i braćmi swojemi. Wzrasta swobodnie, niekrępowane tysiącznemi bagatelnemi przymusami, które tyranizują rozwój naszych dzieci. Nadana mu wolność wyrabia wczesne doświadczenie, doświadczenie zaś wywołuje wczesne dojrzewanie. „Self control“, czyli własne sprawdzanie i nadzór, oto jedyne usilnie wszczepiane w dziecko przyzwyczajenie. Ilekroć zdarzy mu się jakieś drobne nieszczęście, lub niepowodzenie, starsi tłomaczą mu przyczynę; powstała ona skutkiem własnej jego nieuwagi a zatem dla własnego dobra strzedz się tego powinien w przyszłości.

Gdy dziecko dojdzie lat 5 lub 6, przedstawia już, dzięki przyjętemu systemowi, wyraźną swoją

odrębność i zadziwiający zmysł zastanawiania się nad każdą poraz pierwszy zdarzającą się okolicznością. Rodzice oddają je wtedy do szkoły, najczęściej publicznej. Chłopcy i dziewczęta uczą się wspólnie w jednej i tej samej szkole. Dziecko idzie do szkoły same, bez opieki i straży starszych jak u nas, idzie na piechotę lub jedzie tramwajem albo koleją. Godziny szkolne trwają od 9-ej do 2-ej lub 3-ej po południu. Sobota i niedziela są dniami zupełnego wypoczynku. W szkole, nauczyciel lub nauczycielka, traktują dzieci jak istoty rozsądne, prawie nigdy karami im nie grożąc. Chłopcy i dziewczęta uważane są na równi, istnieje wszakże między niemi współubieganie się wzajemne w nauce, i, prawie zawsze, dziewczęta wyżej znacznie stoją. Po za godzinami szkolnemi, dzieci mają czas wolny. Używają go na odwiedzanie się wzajemne i wspólne zabawy. Książki czytają wszystkie, stosownie do zamiłowania, żadna nie jest im zakazaną.

Do lat 10-ciu lub 12-tu dzieci uczęszczają do szkół publicznych, doszedłszy zaś do tego wieku, znaczna ich część poczyna kształcić się w szkołach zawodowych lub prywatnych, najczęściej po za miastem. O ile dotychczas życie, zabawy, pojęcia, jednakowe były u chłopców i dziewcząt, widoczna obecnie następuje zmiana. Pozostają kolegami ze szkolnej ławy, łączy ich wspólna nauka, lecz dążności ujawniają się różne, właściwe płci do jakiej należą. Chłopiec prze-

myśla o sposobach najszybszego zarabiania pieniędzy i bawi się zawzięcie w gry wyrabiające siłę fizyczną. Dziewczyna zaś dąży do nabrania ceny osobistej, gromadząc jaknajwiększą ilość wiadomości, oraz stara się wyzyskać przyrodzone dary natury, pielęgnując swą piękność, wyrabiając sobie gust i rozpoznawanie w czem jej najlepiej do twarzy. Jeżeli czuje się inteligentną oraz ładną, marzy i rozprawia o świetnym losie, jaki niezawodnie spotkać ją musi. Tak więc koleżeństwo jej z wczorajszymi kolegami, pozostaje w obrębie nauki i wykładów, lecz zrywa się coraz widoczniej w kierunku pragnień i rojeń o przyszłości.

Gdy doszli lat 16-tu lub 17-tu, walka życiowa rozłączyła ich stanowczo. „Oni“ rzucili się w pogoń za dolarami, „One“ stały się mistrzyniami udawania uczuć, które mogą przynieść korzyści materyalne w przyszłym wyborze męża; flirtują dla zabawy, nie spuszczając z oka głównego celu — upatrzenia sobie przy pomocy flirtu człowieka bogatego, lub mogącego nim zostać na pewno w jaknajszybszym czasie.

Skutkiem wysiłku pracy, jakiemu oddają się młodzi amerykanie, zewnętrzna ich postać razi nas gburowatością. Znakomicie rozwinięci pod względem muskułów, do czego od dzieciństwa dążą w ogólności, noszą ubranie swobodne, by uniknąć zmęczenia. W biurze, w magazynie, w zakładzie przemysłowym — amerykanin zrzuca

surdut, pozostając tylko w kamizelce; kapelusza prawie nigdy nie zdejmuje z głowy. Wychodząc z domu, zjada rano pożywne śniadanie, jeść bowiem będzie dopiero wieczorem, gdy wróci po całodziennej pracy. Wśród dnia, jeżeli głód mu dokucza, wbiega na chwilę do baru, zjada coś na prędce, stojący i czemprędzej śpieszy, by wynagrodzić czas stracony. Dla podniety a zarazem dla przyjemności zaprasza tego, z kim traktuje dany interes — na drink, czyli kieliszek do baru. Okazye ku temu nastręczają się niestety często i wymówić się nie ma sposobu. Amerykanin mówi prędko, przez nos, nie domawiając wyrazów dla skrócenia, odrzucając przytem słowa nie prowadzące wprost do rzeczy, do której zmierza.

W porze dnia wyznaczonej na odpoczynek, amerykanin czyta dużo, zwłaszcza dla pożytku. W olbrzymich rozmiarów dziennikach wyszukuje fakta i przyczyny, w „przeglądach" przerzuca treściwie i umiejętnie zebrane wiadomości o wszystkiem co wiedzieć należy, z łatwością sobie przyswajając najpotrzebniejsze. Konstytucyę swego kraju umie na pamięć, dozwala mu to bowiem znać dokładnie przysługujące mu prawa. Jest członkiem licznych stowarzyszeń politycznych, społecznych, dobroczynnych, urzędowych, religijnych, jest to bowiem najpewniejszy sposób zabezpieczenia od zdarzyć się mogących każdemu niepomyślnych kolei, w codziennych zaś sprawach dopomaga mu w przeprowa-

dzaniu spraw wymagających stosunków i protekcyi.

Amerykanin stara się na swój sposób, lecz usilnie stosować w życiu republikańskie zasady: wolności, równości i braterstwa. Po za temi — zasad posiada niewiele, przesądów żadnych, jak również nie ulega bynajmniej konwencyonalnym formom towarzyskim. Nie uznaje niczyjej wyższości i przewagi nad sobą, nie znosi munduru i każdego zarówno nazywa „gentelmanem“. Chętnie dopomaga będącym w potrzebie członkom rodziny lub przyjaciołom, dopomaga wszakże nie datkiem, lecz pożyczką, która ułatwić powinna dźwignięcie się z upadku.

Klasyfikacyi rzemiosł i zajęć nie czyni żadnej; zaledwie odcień różnicy istnieje dla niego pomiędzy robotnikiem żyjącym z pracy rąk a robotnikiem utrzymującym się z pracy umysłowej.

Młody amerykanin rozpoczynający karyerę, nie obciąża się przywiązaniem do miejsca lub pociągiem ku wyłącznemu jakiemu zajęciu. Jeżeli rozpoczęte w danej miejscowości zajęcia nie przedstawiają szans powodzenia, rzuca miejscowość dla innej, lub zmienia zajęcie, dopóki nie natrafi na korzystne. Żadne zajęcie nie jest zdaniem jego ubliżającem, i godność tego syna wolnej Ameryki nie cierpi bynajmniej, jeżeli skutkiem chwilowego niepowodzenia, zamiatać musi ulice przez cały dzień, gdyż nie przeszkadza mu to wieczorem przywdziać frak i biały krawat. Jeżeli dobrze

tańczy, może mieć na balu równe z innymi powodzenie.

Ciężka praca fizyczna, której podlegają wszyscy amerykanie, sprawia, iż młodzież jest prowadzenia prawie bez skazy. Prostytucya uliczna, rzecz można, iż nie istnieje a marzenia młodzieńca porywa ta lub inna z młodych panien, które zna jego rodzina.

* * *

Życie młodej amerykanki o wiele jest przyjemniejsze, jest to w całem znaczeniu tego słowa istota szczęśliwa. Jeżeli jest z rodziny biednej, znajduje z łatwością zajęcie lekkie i dobrze zazwyczaj płatne. Pracą w polu nie zajmuje się nigdy, rzadko w fabryce lub służbie. Jest więc szwaczką albo modniarką, sklepową, nauczycielką, urzędniczką w jakiejkolwiek administracyi lub handlu, przy poczcie lub w biurze telegraficznem, dziennikarką, doktorką a nawet uprawia z powodzeniem adwokaturę. Posiada wolność zupełną, jest otoczona szacunkiem, opieką prawa, życie jej płynie gładko i szczęśliwie, jeżeli bowiem jest biedną, znajomi i przyjaciele czują się w obowiązku dostarczać jej możności rozerwania się i zabawienia. Jeżeli zaś rodzinę ma dostatnią, to ojciec uważa za konieczne łożyć na jej wykształcenie (dopełnione podróżą do Europy), obsypując ją przy tem hoj-

nie pieniędzmi na stroje i świecidełka. Córka w domu rodzicielskim stanowi stronę poetyczną i wdzięku pełną.

W Europie odrzuciliśmy jako wprost szkodliwe powijacze dla niemowląt, lecz zachowaliśmy je w całej pełni dla dorastających i dorosłych panien. Uważając kobietę za przedmiot niezmiernie misterny i łatwo nadwyrężeniu uledz mogący, otaczamy ją pod tym pozorem, więzami krępującemi swobodę. W Ameryce, zapatrywanie jest wprost inne: pod względem umysłowym kobieta jest uważana na równi z mężczyzną, pod względem fizycznym, będąc od niego słabszą, powinna lepiej niż on być uzbrojoną do walki życiowej gdyż im dokładniej pozna grozić jej mogące niebezpieczeństwa, tem będzie silniejszy stawiała im opór. Dzięki tej zasadzie, amerykanki przedstawiają typ niezmiernie dodatni, łącząc przy wdzięku niewieścim zasób wiadomości obszerny, stawiający je na równi z braćmi lub mężami. Dzięki zaś wspólnemu uczęszczaniu do szkoły i na wyższe wykłady, zatraca się a przynajmniej w znacznej części zmniejsza naturalny pociąg, ustępujący prostej życzliwości koleżeńskich stosunków.

Chętnie przyznaję, iż młode amerykanki strzegą wzorowo nieskazitelności swego ciała, ale również wyznaję, iż pod względem moralnym żadna dziewiczości nie posiada. Nie są zmysło-

we, a co do wstydliwości zachodzi olbrzymia różnica między naszemi a ich pojęciami. Jeżeli to, co my nazywamy „wypadkiem“, zdarza się tylko w formie wyjątku, to natomiast panuje swoboda wielka w granicach oznaczonych przez jednego z dawnych pisarzów francuzkich „les bagatelles de la porte“. Jakkolwiek swoboda panuje wielka, ujętą jest wszakże w pewne reguły obyczajem uświęcone, rzadko przez młodzież płci obojej przekraczane; umizgi dozwolone wystarczają im w większości razy; obyczaj i kierunek wychowania mocno oddziałały na urobienie i poskromienie zmysłów.

Gdy tylko stanowisko materyalne jest zdobyte, amerykanin oświadcza się i jest narzeczonym. Pozostaje nim od sześciu miesięcy do lat trzech najwyżej; bywa narzeczonym często kilkakrotnie, wreszcie żeni się zwykle.

On ożenił się dla zaspokojenia umiejętnie podtrzymywanej przez nią namiętności — ona wyszła zamąż z miłości, lecz najczęściej dlatego, iż zapragnęła mieć własne kółko rodzinne. Ślub odbywa się zazwyczaj z niesłychaną prostotą. Po odśpiewaniu ostatniej zwrotki miłosnego duetu, rozpoczyna się życie małżeńskie, albo dobre—a więc wsparte na spokojnem przywiązaniu, albo złe, przepełnione nieporozumieniami, które uśmierza radykalnie łatwy do otrzymania rozwód.

Cechą charakterystyczną rodziny w Stanach Zjednoczonych jest indywidualizm zupełny, przy pożyciu wspólnem u jednego domowego ogniska. Ojciec, matka, każde z dzieci, ma swoje przyzwyczajenia, swoich przyjaciół, swoje cele i zajęcia oddzielne. Nasze pojęcie ojca jako głowy rodziny, matki uległej mu i kochającej, dzieci posłusznych woli ich obojga — nieznane jest w Ameryce zupełnie. Jest to prosty rezultat i wynik ogólnego systemu, opartego na poczuciu niczem niekrępowanej niezawisłości. Posiada on wielce szacowne strony: rozwinięcie samodzielnej przedsiębiorczości oraz czynu, gdyż każdy członek rodziny działa na swoją rękę, sam tylko za siebie odpowiada, nie ściągając na nikogo, prócz na siebie samego, gromu w razie niepowodzenia. Prawda też, że ustrój tego rodzaju sprzyja niepomiernie rozwinięciu się uczuć czysto egoistycznych.

W stosunkach rodzinnych przywiązanie istnieje, lecz wypływa ono skutkiem przyzwyczajenia lub też osobistej sympatyi a nie jak u nas wprost z poczucia rodzinnego, ze związków naturalnych, jakie łączyć powinny tych, którzy jedność pewną składają. W Ameryce spotykamy na każdym kroku, tak na gruncie polityki jak przedsiębiorstwa, ojca w walce zawziętej przeciwko synowi lub na odwrót; tego rodzaju zdarzenia niczyjej nie zwracają uwagi, prostym

są bowiem wynikiem stosunków miejscowych. Każda istota ludzka stanowi sama przez się całość, w niczem od sąsiada niezależną.

Od chwili zamążpójścia, amerykanka staje się o wiele poważniejszą i gotowa jest dzielić złe i dobre losy swego męża. Usposobienia zazwyczaj wesołego, stara się, by wszystkim na około niej było dobrze. Ponieważ wychodzi zamąż najczęściej dzięki temu, że „flirtu“ użyła do przesytu, niema więc żadnych pokus w tym kierunku... Prawda, że nie wszystkie podzielają tak poważny sposób zapatrywania się na przyjęte obowiązki, lecz te wyjeżdżają najczęściej z kraju, by w podróży szukać rozrywek i urozmaiceń wszelkiego rodzaju. W ogóle życie mężatki, mniej jest przyjemne niż panny. Cel życia został osiągnięty a więc i rojenia o przyszłości skończone zostały. Pozostaje jej zajęcie się domem; pod względem towarzyskim, z chwilą wyjścia zamąż, ustąpiła pierwszeństwa pannie.

* *
*

Mąż zajęty jest przedewszystkiem namiętnem upędzaniem się za interesami. Ktoś dobrze znający stosunki amerykańskie wybornie powiedział: „Tylko nieuleczalnie chory mężczyzna zgodzi się na życie z posiadanej renty. I ten jeszcze, jakby wstydząc się bezczynnego życia na miejscu, woli podróżować, być po za krajem“.

Jakby nie wielkie posiadał bogactwa, amerykanin pragnie powiększyć je zawsze. Wziąwszy tę właściwość pod ścisłą analizę, łatwo można dostrzedz, iż głównym ku temu czynnikiem jest gra, zamiłowanie awanturnicze hazardu a nie samo zamiłowanie do posiadania złota. Wir spekulacyi upaja go szczęściem, zdobyte pieniądze wydaje łatwo, nie licząc i nie mając żadnego pociągu do oszczędności.

Lata przynoszą ociężałość. Im bliżej starości, tem chętniej amerykanin zamyka się u siebie w domu. Po za godzinami, które spędza w swoim „office“ czyli kantorze, przesiaduje w domu „at home“, żadnego nie mając pociągu ku rozrywkom lub przyjemnościom towarzyskim. Dom lubi mieć obszerny, wygodny, o ile możności zbudowany wśród rozległego przynależnego doń gruntu, by w niczem nie być krępowanym przez sąsiadów. Zbytek urządzenia lubi amerykanin zwłaszcza ze względu na żonę i córki, oraz dla wyraźnego pokazania światu, iż interesa swe dobrze i pomyślnie prowadzić umiał. Silny i dobrze rozwinięty pod względem fizycznym, na starość tyje złatwością. Skutkiem zbytecznego naprężenia i zużycia sił nadmierną pracą w młodości, organizm jego cierpi na coraz gorsze krążenia krwi a nieregularnie połykane zimne zakąski, skrapiane zbyt obfitemi kieliszkami alkoholicznych napojów w barach, popsuły mu żołądek. Mimo wszystko, stoi wytrwale na sta-

nowisku. Marzeniem francuza jest usunąć się od interesów jak najrychlej a przynajmniej pędzić spokojną starość, korzystając z uzbieranych w ciągu życia pieniędzy. Amerykanin tego nie rozumie. Muskuły słabną, lecz mózg żądny jest pracy i pracuje aż do ostatniego tchnienia.

Nadeszła wreszcie śmierć, umiera. Urodziny dziecka nie przyniosły wybuchu radości, śmierć ojca rodziny nie sprowadza zbyt gwałtownego żalu i smutku. Walka życiowa, walka o byt pochłania czas cały, życie jest wreszcie nadto krótkie, by tracić chociażby cząsteczki na bezpożyteczne żale i smutki. Umarł—to zwykła kolej rzeczy! Padł na polu walki, więc ofiarę śmierci co rychlej uprzątnąć należy. W wyjątkowych tylko razach, gdy nieboszczyk stał na czele poważnego stronnictwa politycznego lub handlowego i śmierć jego posłużyć może za reklamę, pogrzeb odbywa się uroczyście. Zazwyczaj zaś odbywa się szybko, bez okazałości i bez kirowych dekoracyj. Pastor odczytuje pewną ilość modlitw nad ciałem w mieszkaniu, następnie wywozi się trupa na cmentarz, nie tracąc chwili czasu. Żona przywdziewa lekką żałobę, nosi ją parę miesięcy, czasami noszą ją i dzieci. Tak wątłe węzły serca łączyły pozostałych ze zgasłym ojcem rodziny, iż smutek ich raziłby tylko nienaturalnością...

Cmentarze amerykańskie zadziwiająco przykre i smutne wywierają wrażenie.

Każde miasto amerykańskie, chociażby tylko przelotem z pociągu kolei żelaznej widziane, sprawia wrażenie wrącego życiem zbiorowiska ludzkiego, gdzie człowiek gorączkowo bez przerwy pędzi za zdobyciem pomyślniejszego jutra, Tuż obok miasta, ściele się pole umarłych. Pole zaledwie ogrodzone a po brzegi napełnione grobami. Groby jakby zwalone jedne na drugie, porosłe chwastami, opuszczone. Ani jedna nie ciągnie się między niemi aleja lub starannie utrzymana droga, na żadnym z grobowców nie zdołasz dostrzedz kwiatka, świadczącego, iż ktoś z żyjących pamięć o spoczywających w ziemi przechował. Nigdy nikt tu nie zachodzi, nigdy znękana bólem postać niewieścia łzy tu nie uroni... Opuszczenie panuje zupełne, zapomnienie stanowcze. I wyłania się coraz wyraźniej dewiza nadchodzącego utylitarnego wieku: „Precz z umarłymi, miejsce dla żywych!“

III.

Prasa. Religie. Szkoła.

Opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych nie jest narzuconą przez prasę, lecz istnieje sama przez się. Amerykanin nie spuszcza się „na opatrznościową opiekę rządu“, lecz sam chce sprawdzać sprawy swego kraju.

Wszystkie kwestye publiczne, chociażby najpodrzędniejsze, zblizka go obchodzą i obeznany jest z niemi należycie. W większych miastach sprawy publiczne rozpatrywane są na posiedzeniach komitetów, stowarzyszeń i zebraniach publicznych. Amerykanin mówi o sprawach tych w wagonie, idąc, lub powracając z biura, wieczorem w klubie lub w hotelowym „hallu“, czyli głównej sali, wreszcie ilekroć razy wbiegnie do baru. Nawet wśród rozległych i mało jeszcze zaludnionych krain zachodnich Stanów Zjednoczonych, istnieją polityczne ligi i stowarzyszenia. Amerykanin zazwyczaj posiada o każdej sprawie ustalone zdanie. Opinia jego może być fałszywą, bezzasadną, wypływającą wprost z osobistych pobudek, lecz posiada ją niewzruszenie i wypowiada otwarcie. Okoliczność ta wytwarza niesłychanie żywotną i silną opinię publiczną, manifestującą się i nauczającą bez względu na opór lub jakiekolwiek trudności. Opinię tę zbadać, przeniknąć, odgadnąć starają się mężowie stojący lub pragnący stanąć na arenie politycznej, od niej bowiem są zawisłe wszystkie posady i wyniknąć z nich mogące korzyści.

System organizacyi politycznej, sądowej i administracyjnej, zmusza niejako każdego amerykanina do wyjawienia swego zdania i wykazania jakiemu kierunkowi sprzyja. Może nawet wyjawiać musi zdania swe zbyt często. W stolicy

Stanu, prawo powołuje każdego obywatela 20 do 25 razy rocznie do głosowania na coraz to nowych wyborach. Pomimo tej uciążliwej służby obywatelskiej, liczba obecnych wyborców stosunkowo do liczby zapisanych na liście głosujących, jest znacznie większa, aniżeli u nas w Europie, gdzie przecież wybory nie odwołują nas od zajęć zbyt często.

Różnorodność opinii publicznej nie jest tutaj zależną od warstw społecznych prawie że zrównanych, lecz od okolicy kraju, w której się zrodziła.

Wschodnia część Stanów Zjednoczonych posiada ludność złożoną przeważnie z ludzi dawno osiadłych i przechowujących niektóre obyczaje z Europy jeszcze przeniesione. Ludność tu przeważnie zamożna i posiadająca tradycye, skłonna jest do obejmowania całości danej teoryi, do przypuszczania skutków ze znanej przyczyny i obliczania mogących z czasem wyniknąć korzyści. W zachodniej części Stanów Zjednoczonych, ludność zajmuje się przeważnie rolnictwem i górnictwem, składa się ona z ludzi nowych, wciąż napływających i niepewnych swych losów, jeżeli nie na dziś, to na jutro. Opinia publiczna, interesuje się faktami doraźnego znaczenia, objawia się szorstko i gwałtownie, pragnąc jaknajszybszego rozstrzygnięcia danej kwestyi. W południowej części kraju kwestya rasy jest dotychczasowo najważniejszą. Murzyni w Stanach Zjed-

noczonych wynoszą około 10 milionów, skupiając się przeważnie w południowej części kraju. Wraz z wolnością, pozyskali pełnię praw obywatelskich, są wyborcami, lecz dotychczas korzystać z tego świeżo zdobytego stanowiska samodzielnie nie umieją i podlegają wpływom synów dawnych swych panów.

Z tak różnorodnych żywiołów wypływające opinie stanowią prawie że samowolnie o prawach krajem rządzących. Ciało prawodawcze czyli kongres, nie biorąc nigdy inicyatywy w tym względzie, uprawnia tylko wyniki wytworzone najsilniejszemi prądami opinii publicznej. Jeżeli dana kwestya przedstawia zbyt wielkie do rozstrzygnięcia trudności, wtedy opinia publiczna bez wahania usuwa ją i wykreśla. Krańcowo radykalny ten środek w częstem bywa użyciu. Tak się mianowicie stawało zawsze, ilekroć razy poruszoną była kwestya uregulowania losu zanikających plemion czerwonoskórych indyan; parciu opinii publicznej ulegając, kongres zamknął chińczykom wstęp w granice Stanów Zjednoczonych a jutro zmuszony będzie jeżeli nie zamknąć stanowczo, to silnie obostrzyć prawo wstępu dla emigrantów europejskiego pochodzenia.

Prasa, nietylko że nie kieruje, lecz wiernem jest jedynie odbiciem istniejącego prądu opinii publicznej.

Wszakże wpływ i znaczenie prasy większe są może w Ameryce aniżeli w Europie. Dzięki bo-

wiem udoskonalonemu systemowi szkolnemu, wszyscy umieją czytać; dzięki rozwojowi miast, sprawy bieżące roztrząsane są z namiętnością przez zcentralizowane w nich setki tysięcy ludzi a dzięki głosowaniu stanowiącemu podstawę ustroju państwowego, każdy wyjawia swój sposób myślenia, biorąc niejako czynny udział w rządzeniu krajem. Kwestye zasadnicze jak istniejąca konstytucya, sprawy religijne i społeczne, poruszane są przez prasę tylko wyjątkowo; sprawy bieżące, stanowiąc główny wątek zawziętych dyskusyj czytelników, stają się przez to samo głównym, jeżeli nie jedynym wątkiem pracy dziennikarskiej.

Amerykanin nigdy się nie zadawalnia czytaniem jednego tylko dziennika, jak to bywa najczęściej praktykowane przez mieszkańca starego kontynentu. Czyta więc kilka lub kilkanaście dzienników, pragnąc być jaknajobficiej poinformowanym o budzącej w nim ciekawość okoliczności. Śledzi zarazem pilnie rubrykę ważniejszych wypadków, drukowanych większemi, czasami wielkiemi literami w miarę swej doniosłości. Dzienniki amerykańskie nie silą się nigdy na artykuły literackie. Dziennika w rodzaju paryzkiego „Figaro“ niema tu wcale. Zwykły dziennik amerykański składa się z 8 do 16 stron tekstu, opisuje zaszłe zdarzenia i kwestye bieżące, podaje mnóstwo ztąd mogących wypłynąć informacyj i wiadomości encyklopedycznych, dopełnia-

nych datami, cyframi i bardzo często objaśniającemi rysunkami. Działać się stara uświadamiająco na czytelnika, nigdy zaś nie pragnie wpływać na zmianę jego przekonań. Chęć zebrania jaknajliczniejszych szczegółów o kwestyi na dobie będącej, sprawia, iż dzienniki amerykańskie podają często bezpodstawne wiadomości, nie mając czasu sprawdzenia ich źdródła; lecz czytelnicy doświadczeniem pouczeni, z niedowierzaniem pogodzić się już musieli. Niewielka jest liczba dzienników i to jedynie w Nowym Yorku i Bostonie, gdzie w redakcyach systematycznie i sumiennie przygotowują się artykuły i tekst przez wykształconych specyalistów; w większości redakcyj robotę odbywają we wszystkich działach jedni i ci sami redaktorzy. Brak świadomości o traktowanym przedmiocie, razi niemiłosiernie. Czytałem naprzykład niedawno długi i na pozór wyczerpujący artykuł o Collège de France, w którym autor twierdził, iż jest to szkoła, gdzie wychowanie pobierają dzieci arystokracyi francuzkiej!

Ulubioną formę amerykańskich artykułów dziennikarskich stanowią „interviewy"; forma ta przenikła obecnie i do naszej europejskiej prasy. Reporterzy w Ameryce zasięgają zdania o danej kwestyi u osób nietylko kompetentnych lecz u wszystkich, które pewne wybitniejsze stanowiska w mieście posiadają. Uniknąć interviewu, skryć się przed amerykańskim reporterem — niema moż-

ności. Jeżeli bowiem życzeniem jego jest dostarczenie swemu dziennikowi zdania upatrzonej przez siebie osoby a ta zdoła uniknąć przed jego natarczywością, reporter pisze bez wahania pytania swe i odpowiedzi, czerpiąc je w całości z własnej wyobraźni.

Obok niezmiernej ilości dzienników codziennych, istnieją liczne pisma peryodyczne, wychodzące tygodniowo, miesięcznie a przedstawiające wielką rozmaitość tak pod względem formatu jak i kierunku. Ilustracye pism peryodycznych bogate są i wyborne, treść więcej pozostawia do życzenia. Ceny prenumeraty są zazwyczaj niesłychanie nizkie, dzięki setkom tysięcy egzemplarzy w których się rozchodzą. Największą wziętością cieszą się. „Harpers montley“ oraz „Scribner“.

Tak w dziennikach codziennych jak w pismach peryodycznych, przeglądach (zwanych „magazine“) spotykać można artykuły dziwnej dla europejczyka treści. W jednym z nich naprzykład spotkałem spis wszystkich bogatych panien na wydaniu w mieście. Prócz portretu z nazwiskiem, notatka biograficzna podawała datę ich urodzenia, stanowisko rodziców i krewnych, ścisłe cyfry dotyczące ich majątku, oraz wyszczególnienie głównych rysów charakteru, przyzwyczajeń, talentów i t. d. jednem słowem coś w rodzaju ogłoszeń agencyj matrymonialnych.

Amerykanie lubią dowcip i uprawiają go z pewnem powodzeniem. Dowcip ich jest często ciężki, rubaszny, ale nigdy zbyt złośliwy, ani pornograficzny. Z dzienników satyryczno-politycznych najlepszym jest bezwarunkowo „Judge", podczas gdy „Life" zajmuje się, smaganiem śmieszności życia prywatnego. Światowe karykatury amerykańskie nigdy nie poruszają kwestyi wiarołomstwa, unikając przytem ściśle wszelkiej rozwiązłości. Nagość lub dwuznaczne pozy, pomijane w nich są zupełnie.

Postacią ulubioną i główną jest zawsze młoda panna, treścią zaś flirt i małżeństwo. Mimo wynikającej ztąd monotonności, dzienniki satyryczne osiągają cel swój właściwy, bawią bowiem i zajmują publiczność, dla której są wydawane.

* * *

Kościół i szkoła, jakkolwiek stanowią w Stanach Zjednoczonych dwie zupełnie oddzielne instytucye, dopełniają się wszakże wzajemnie. Szkoła kształci umysł a kościół serce i w porozumieniu wzajemnem, a zatem nie szkodząc sobie, postępują równomiernie, szkoła dla ułatwienia i przygotowania do warunków życia, kościół zaś dla dopomożenia w doskonaleniu się strony moralnej.

Jakkolwiek rząd jest republikański i demokratyczny, posiada wszakże charakterystyczną cechę konserwatywno-religijną. Posiedzenie kongresu rozpoczyna się od modlitwy a pewna ilość

dni poświęconą jest wyłącznie na składanie dziękczynnych modłów Bogu za udzieloną opiekę. Kościół a raczej kościoły są zupełnie niezależne od rządu. Przewagę nad innemi wyznaniami mająca religia protestancka, rozpada się na liczne sekty, zwane tutaj kongregacyami. Każdy taki kościół posiada zupełną niezależność wyznania, swoje dochody i duchowieństwo.

Najwięcej rozpowszechnioną jest sekta metodystów a są i takie, które liczą zaledwie paruset tylko wyznawców. Wszystkie głoszą zasady wzniosłej moralności i starają się wszczepić przekonanie, iż nie bawiąc się w poetyczne mrzonki, opierają swe zasady wprost na logicznem rozumowaniu.

Większość amerykanów jest wierzącą. Chodzą regularnie do kościoła, gdzie mówią im o życiu przyszłem, o różnicy pomiędzy złem a dobrem, gdzie wreszcie spotykają się z licznymi znajomymi w każdą niedzielę a nawet czasami wieczorem w ciągu tygodnia. Kościół stanowi dla amerykanina pewnego rodzaju przystań i wytchnienie dla gorączkowego jego życia jedyną stronę idealną, na którą sobie pozwala, może dzięki praktycznej racyi, iż świeższym się następnie czuje do walki i zabiegów codziennych.

Religia nie przybiera tu charakteru nadprzyrodzonego i tajemniczego. Amerykanin chętnie wyznaje, do którego należy kościoła, jakie posiada zapatrywania i zasady religijne.

Obrządki i uroczystości kościelne ogłaszane są i reklamowane jak wszelkie inne widowiska w chęci ściągnięcia jak najliczniejszej publiczności. Obok przybytku poświęconego modlitwie lub pobożnej konferencyi, mieszczą się sale, w których podają śniadania i ulubione przekąski, złożone z herbaty, ostryg i lodów. Niektóre kościoły budowane są w ten sposób, iż z łatwością zamieniają się w chwilach wolnych od nabożeństwa na sale koncertowe. Nikogo to w Stanach Zjednoczonych nie razi i żadnej ujmy uczuciom religijnem nie sprawia. Jest to bowiem rzeczą powszednią.

Obok rozlicznych sekt protestanckich, religia katolicka rozwija się z zadziwiającą szybkością, pierwszym katolickim księdzem w Nowym Yorku był przybyły wraz z Lafayettem kapelan wojskowy. Na początku bieżącego stulecia zjawiło się kilku misyonarzy. W roku 1840 statystyka wykazała cyfrę 35,000 katolików w Nowym Yorku, w roku 1870 liczba ich wzrosła do 525,000 a dziś przenosi 800,000, ogółem zaś w Stanach Zjednoczonych dochodzi do 10 milionów. Sądząc z ilości kościołów, klasztorów, szkół i przytułków istniejących i coraz liczniej wznoszonych, śmiało rzecz można, iż nigdzie religia katolicka nie rozwija się tak pomyślnie jak na gruncie tutejszym.

Na rozrost religii rzymsko katolickiej wpływa głównie napływ emigracyjny, przeważnie z lud-

ności katolickiej złożony. Przybyli zakładają kościoły i mają duchowieństwo swojej narodowości, pozwalające im odnaleźć pod dachem kościelnym kawałek ojczyzny, gdzieś daleko po za oceanem, w starej Europie będącej.

Prócz tego kościół katolicki ma tę nad inemi przewagę, iż na zewnątrz stosując się do miejscowych zwyczajów, nie czyni w rzeczywistości żadnych ustępstw co do swej zasady. Przyciąga zatem chwiejne umysły łaknące i poszukujące prawdy, która im w wieloraki sposób bywa głoszona przez różniące się w tłomaczeniu pisma świętego sekty protestanckie. Na łonie kościoła katolickiego znajdują wreszcie nieomylność, którą znaleźć pragnęły. Wrażliwsze natury pociąga również przepych i wytworność dekoracyjnej strony katolickiego nabożeństwa, urozmaiconego śpiewem i muzyką podniosłego pełnego miłości nastroju. Potrzebujący zaś tego grzesznicy znajdują tu jeszcze pożądane przebaczenie za popełnione winy.

Misyonarze katolicy w Chinach noszą strój i warkocz na sposób chiński, w Stanach Zjednoczonych zaś, niczem się nie różnią postacią od protestanckich clergymanów. Katolickie duchowieństwo miejscowe jest rzymskiem z przekonań lecz sercem i uczuciem pozostaje przedewszystkiem patryotyczno-amerykańskiem. W Saint-Paul w stanie Minesota arcybiskup Irland przedstawia wraz z kardynałem Gibbons doskonały

typ katolickiego księdza amerykańskiego. Arcybiskup ten z całych sił pragnie utworzyć narodowy katolicko-amerykański kościół, prowadzi w tym celu ożywioną propagandę, która go wysunęła na leadera wzrastającego w potęgę stronnictwa katolickiego.

Pewnego dnia spotkałem na proszonym obiedzie w amerykańskim domu, niezmiernie uprzejmego i sympatycznego młodego jeszcze człowieka, który mówił zajmująco o wszystkiem, wiele podróżował i dużo w podróżach swoich zauważył. Po obiedzie znaleźliśmy się obok siebie w pokoju przeznaczonym do palenia. Każdy z nas siedział wygodnie w fotelu na biegunach, i lekko się kołysząc przy cygarze, rozpoczęliśmy rozmowę.

— Musisz pan być francuzkiego pochodzenia zapytałem — sądzę o tem z łatwości, z jaką się pan wyrażasz w ojczystej mej mowie.

— Nie — odparł — jestem czystej krwi amerykaninem, tylko przez cztery lata spędzone w seminaryum Saint-Sulpice w Paryżu, nauczyłem się płynnie mówić z po francuzku.

Spojrzałem na niego z podziwieniem, nie rozumiejąc jego pobytu w seminaryum.

— Czyż pan nie wie, że jestem księdzem? — zapytał.

— Nie, nie wiedziałem a domyśleć się, było wprost niepodobieństwem.

— A jednak tak jest. Od paru lat jestem wikaryuszem przy katedrze w San-Francisco.

Z ubrania, z pozoru, ze sposobu wyrażania się, można go było wziąć za doktora, adwokata, autora, za światowca—lecz nigdy za księdza. Postanowiłem skorzystać z okazyi i zamieniwszy się chwilowo w reportera dziennikarskiego, interviuwałem mego sąsiada, pragnąc zasięgnąć niektórych wiadomości.

Okazało się, że katedra w San-Francisco zbudowaną została za pieniądze składkowe. Posiada stałego rocznego dochodu 150,000 franków a prócz tego regularnie wpływa do kasy 60,000 franków za wynajmowanie miejsc i klęczników. Proboszcz zamieszkuje wraz z kilku wikarymi piękną i wygodną plebanię, płacąc im po 5,000 franków rocznej pensyi. Zajęcia kościelne pozostawiają im wiele swobodnego czasu, który używają na kształcenie się, czytanie i podtrzymywanie stosunków towarzyskich. Chętnie i mile przyjmowani są wszędzie. Corocznie każdy wikaryusz dostaje urlop, pozwalający mu przez kilka tygodni podróżować dla rozrywki, co stanowi w ogóle szczyt szczęścia dla każdego amerykanina.

— Moje stanowisko, ciągnął dalej, bardzo jest dogodne, niewszyscy moi koledzy mogą to powiedzieć o sobie. Nasza katedra ma stałe i nie stałe dochody, tak iż część zbywających nam pieniędzy składamy naszemu biskupowi na utrzymanie seminaryów. Najsmutniejszy według me-

go zdania, jest los tych z moich kolegów, którym biskup wyznaczy na osiedlenie się, oddalony od miasta punkt z nowo tworzącą się dopiero kolonią katolicką. Posłany tam kolega musi zbierać składki i namawiać ludzi do zbudowania przybytku bożego, musi przytem myśleć, by sam miał wyżyć z czego. Pierwsze lata spływają mu w pracy i w niedostatku. Z czasem wszakże kolonia się zaludnia, więc i pieniądze płynąć zaczynają, amerykanie wiedzą bowiem dobrze, iż chcąc mieć kościół, trzeba zapłacić za jego budowę a następnie płacić na utrzymanie go w należytym porządku. Jak pan widzi, ksiądz u nas, powinien być zarazem sprytnym i dobrym „business-manem".

* * *

Nauka szkolna jest bezpłatną i obowiązkową. Stany i miasta współzawodniczą w ubieganiu się wzajemnem o jak najpomyślniejszy ich rozwój, najracyonalniejszy program, najdogodniejsze a nawet najwytworniejsze ich urządzenie. Gdy tylko powstaje nowe siedlisko ludzkie, przybierające pozór wsi lub miasteczka, natychmiast wznosi się i szkoła, uposażona zawsze hojnie względnie do zamożności mieszkańców. Stanowczo też można powiedzieć, iż oświata najbiedniejszych warstw ludności Stanów Zjednoczonych, jest bez porównania wyższą, aniżeli w którymkolwiek bądź kraju w Europie. Program nauk o wiele jest racyonalniej ułożony i zastosowany.

Podstawę zapatrywań w kwestyi oświaty stanowi reguła, iż życie jest najlepszą szkołą kształcącą istoty inteligentne. Dzięki tej regule, dziecko nie jest wyrwane z właściwego sobie otoczenia domowego; amerykanie nie zamykają dzieci w pensyonatach jak w więzieniach, nie zmuszają ich karami do nauki, nie krępują swobody i swawoli niezbędnie dziecku potrzebnej dla fizycznego rozwoju, jak również nie narzucają mu formułek zacierających indywidualne jego skłonności. W zamian mówią mu, iż dla własnego twego dobra powinieneś o ile możności korzystać z nauki wykładanej w szkole; powinieneś uczyć się i rozumieć czego się uczysz; jeżeli bowiem nie nabędziesz niezbędnych wiadomości, jakie możesz przyswoić sobie w szkole, będziesz nieukiem i mniej oświeconym od innych człowiekiem; wtedy czeka cię życie ciężkie, praca ręczna źle płatna, bo licho i nieumiejętnie wykonana; w przeciwnym zaś razie, jeżeli czas w szkole spędzisz właściwie, i spożytkujesz go na pilne śledzenie za zrozumieniem i zapamiętaniem wszystkiego, czego chcą ciebie tam nauczyć, życie będziesz miał łatwe i przyjemne, bo każda praca stanie się dla ciebie przystępną. Dziecko przejmuje się z łatwością wyłożoną mu w ten sposób zasadą i dąży usilnie we wskazanym sobie kierunku, na czem ogólny poziom umysłowego rozwoju zyskuje niepomiernie, wytwarzając coraz potężniejsze siły na przyszłość.

Zwiedzałem wiele szkół początkowych i spostrzegłem, iż programy ich mało się od siebie różnią. Uczą w nich czytać, pisać, rachować, wykładają historyę Stanów Zjednoczonych oraz geografię. Sposób nauczania jest zawsze praktyczny i do praktycznych celów zastosowany. Zadania pisane stanowią przeważnie listy treści handlowej, lub też szczegółowe rachunki z całą techniczną stroną obrobienia. Lekcya arytmetyki dostarcza sposobności do zapoznawania się z monetą krajową i zagraniczną, do obliczania kursu jej i procentów, toż samo zastosowane jest do wag i miar. Nauka historyi, wynosząc Stany Zjednoczone po nad wszystkie inne narody, pobudza dzieci do uczuć patryotycznych a położony nacisk na wolność i równość, wytwarza zamiłowanie tych zasad od lat najmłodszych, zachęcając do korzystania w przyszłości z wypływającej z nich swobody indywidualnej, ograniczonej jedynie odpowiedzialnością każdego za swe uczynki. Geografia poucza prawie wyłącznie o kraju ojczystym, lecz poucza szczegółowo, zwłaszcza o sposobach komunikacyj lądowych i wodnych jak również o produktach miejscowych. Każde dziecko wie, iż bawełna pochodzi głównie z Luizyany, tytoń z Wirginii, zboże z Kaliforni, jak również zna dokładnie jaki i gdzie kwitnie przemysł. Chłopcy i dziewczęta siedzą na ławkach razem i traktowani są zupełnie na równi. Wykłady szkolne mają

miejsce pięć razy na tydzień i tylko po kilka godzin dziennie. Jedyną karę stanowi wydalenie dziecka z sali wykładowej na krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, stosownie do uznania nauczyciela lub nauczycielki i to zawsze wychodząc z zasady, iż pozbawione jest nauki skutkiem przeszkadzania innym dzieciom chcącym z niej korzystać.

W szkołach wyższych tenże sam istnieje kierunek. Wykładają w nich język francuzki, angielski, historyę i literaturę obcokrajową w niektórych uczą łaciny, wszędzie i zawsze jednakże główny nacisk położony jest na praktycznem i pożytecznem nabywaniu wiedzy. Po ukończeniu szkoły wyższej, każdy chłopiec lub dziewczyna, przygotowanemi są dostatecznie, by samodzielnie dać sobie umiejętną radę w życiu. Obierają zaś zawód zgodny ze swemi zdolnościami i nabytą teoryą. Wiedzy ogólnej posiadają zasób dostateczny, by módz w razie chęci wstąpić dla dalszej nauki na kursa uniwersyteckie.

Amerykanie słusznie szczycą się i pysznią swojemi uniwersytetami. Są one zupełnie niezależne od rządu a większość ich powstała dzięki prywatnej hojności. Niektóre uniwersytety jak Haward, Yale, posiadają kapitał dochodzący dwudziestu milionów dolarów. Uniwersytety, oraz szkoły specyalne, mieszczą się zazwyczaj w gmachach wspaniałych, wzniesionych wśród olbrzymich należących do nich parków. W znacznej

części położone są za miastem i uczęszczająca do nich młodzież zamieszkuje budynki tuż obok głównego gmachu. Mieszkania uczniów i sale dla ich użytku przeznaczone, są nietylko dogodne, lecz zadziwiają bogactwem i wykwintnością urządzenia w drobnych nawet szczegółach. W Europie nigdzie nic podobnego spotkać niepodobna.

Pewnego dnia, zwiedzając szkołę agronomiczną w towarzystwie dyrektora, objaśniającego mi program nauk i sposób życia studenckiego, uczyniłem uwagę, iż może nabyte w szkole przyzwyczajenia do zbytku dotkliwie dadzą się uczuć jej uczniom w dalszem ich życiu. Wielu z nich bowiem nie w pałacu lecz w wiejskiej chacie zamieszka z konieczności i to w chacie wśród dzikiej natury, na dalekich od cywilizacyi zachodnich krańcach Stanów Zjednoczonych, w sąsiedztwie gruntów w Far West pozostawionych indyanom.

— O nie lękam się tego bynajmniej—odpowiedział — naszem zdaniem należy przedewszystkiem rozbudzać ambicyę w młodzieży. Przyzwyczajamy ją umyślnie do życia nietylko wygodnego lecz zbytkownego; później bowiem gdy pracą własną uczniowie nasi dorabiać się będą zmuszeni, usilną i wytrwałą ona będzie. Przyzwyczajeni do wygody i zbytku, tęskniąc za temi, zapragną posiąść wygodę i zbytek przy pomocy osobistej pracy. Osiągnięcie tego celu, podtrzyma niejednokrotnie słabnącą ich energię i pobudzi

do zwalczenia trudnych a wydarzyć się mogących okoliczności ich życia.

Dyplomy uniwersyteckie nie dają tu nikomu znaczenia lub wartości osobistej, w Stanach Zjednoczonych sądzi się ludzi względnie do ich czynów i rozwiniętej przez nich działalności.

Jedyny zarzut, jaki można uczynić uniwersytetom amerykańskim jest ten, iż zbyt wiele czasu poświęca kształcąca się w nich młodzież, na ćwiczenia gimnastyczne, pływanie, wiosłowanie, tak jak wreszcie ma to miejsce i w Anglii w uniwersytetach Oxfordu i Cambridge. Prawda, iż obyczaje takie posiadają tę dobrą stronę, że chroniąc słabszej siły umysły od zbyt wielkiego a więc szkodliwego naprężenia, dozwalają ciału nabrać rozwoju i sprężystości, koniecznej dla podołania ogromowi pracy, z którą borykać się musi każdy bez wyjątku amerykanin, od chwili gdy działalność samoistną w życiu swem rozpoczyna.

IV.

Stolice i wielkie miasta Stanów Zjednoczonych.

WASZYNGTON.

Rzec można, iż w Ameryce miasta wyrastają jak grzyby po deszczu. Wielkie i wspaniałe dziś grody, zostały niedawno na pustych polach

założone przez śmiałego przedsiębiorcę, przez towarzystwo akcyjne lub wreszcie przez gromadę szukających siedliska kolonistów. Siła inicyatywy prywatnej, cuda prawdziwe stworzyć jest w stanie, pod warunkiem, iż przeczuć i trafić zdoła na właściwy kierunek zapotrzebowania, które nie objawiało się jeszcze. Traf taki w właściwej pochwycony chwili, złotodajne przynosi korzyści i dzięki umiejętnie dobranej miejscowości, niejedno wielkie miasto istnienie mu swoje zawdzięcza. O wiele rzadziej zdarza się okoliczność, by miasto powstało i rozrosło się siłą dekretu. W Stanach Zjednoczonych mamy tego przykład na mieście stołecznem Waszyngtonie.

Jerzy Waszyngton, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, podpisał dnia 16 lipca 1790 roku uchwałę kongresu, mocą której nad rzeką Potomakiem miała powstać stolica państwa. Plan przyszłej stolicy nakreślił architekt Andrew Ellicott. Na pagórku zbudowano Kapitol, serce miasta. Od Kapitolu przeznaczonego na posiedzenia parlamentu, dziesięć Alei rozchodzi się w gwiazdę promienną. Tysiączne koła przecinać z czasem miały promienie gwiazdy, tworząc coraz to nowe ulice, a nie naruszając w niczem harmonii pierwotnej.

Myśl tego planu, powziął osobiście Jerzy Waszyngton, mąż potężnego umysłu i serca, słusznie czczony na wzór bożka przez współczesnych mu jak i późniejszych współobywateli. Na nieszczę-

ście rzeczywistość nie ziściła oczekiwanych nadziei. Miasto zaludniało się zwolna, ludzie gromadzili się w jednym tylko punkcie, zamiast osiedlać się równomiernie i w miarę potrzeby przedłużać Aleje, oraz pomnażać przecinające je koła. Rząd pobudował olbrzymie gmachy, mieścić w sobie mające główne krajowe administracye, przedsiębiorcy wybudowali wspaniałe pałace na mieszkania członków kongresu służyć mające, powstało z ziemi mnóstwo wytwornych domów i domków dla urzędników i ambasadorów zagranicznych, lecz ludność napływała do stolicy zwolna i dziś jeszcze gdy parlament, ukończywszy obrady, rozjeżdża się na coroczny wypoczynek, miasto pustoszeje zupełnie, podobniejszem się stając do grodu świeżo odkopanego, aniżeli do stolicy niezrównanie ruchliwego narodu. Aleje biegnące od Kapitolu wydają się zbyt długie i nadto szerokie, place i ogrody zbyt obszerne i liczne. W niektórych środkowych dzielnicach, dotychczas widnieją obszary niezabudowane, ulice puste są i ciche, również jak chodniki, po których pojedyncze i rzadkie przesuwają się ludzkie sylwetki. Mimo rezydującego w stolicy prezydenta, smutno tu i pusto. Waszyngton jest tylko bogatą i wspaniałą ramą Nowego Yorku, tej rzeczywistej stolicy potężnego amerykańskiego narodu.

Po kilkomiesięcznym pobycie w Nowym Yorku oraz kilku innych miastach amerykańskich, gdy

znalazłem się w Waszyngtonie, doznałem wrażenia błogiego, pożądanego wypoczynku. Ogłuszone hałaśliwością ulic, uszy moje rozkoszowały się wszechwładnie tu panującą ciszą a oczy nie spotykając co chwila szyldów i napisów spółek kupieckich, handlowych, bankierskich, błąkały się po pustych placach zadziwione, skutkiem nabytego w czasie podróży przyzwyczajenia do wprost przeciwnych wrażeń. Jakim sposobem przestrzenie gruntu mogą bezużytecznie spoczywać w środku miasta? I to gdzie?—W stolicy Stanów Zjednoczonych! Spotykani na chodnikach ludzie, posuwają się tu zwolna, nie roztrącając przechodniów i nie lecąc na oślep, byle dobiedz na czas dla pochwycenia zdobyczy. W Waszyngtonie bowiem spotykani z rzadka przechodnie należą do statecznej i wszędzie jednakowy typ wytwarzającej korporacyi urzędników rządowych. Pensya ich jest stała, równie jak godziny zajęcia, spokój i monotonna regularność ich życia, zlewa się jednolicie z całością ich istoty. Gmachy publiczne nietylko chciały nas zadziwić swym ogromem, . lecz pragnęłyby wzbudzić wrażenie estetyczne, ludzie są tu w ogóle lepiej wychowani, kółka towarzyskie lepiej dobrane, europejczycy nie są emigrantami, w ogóle wszystko i wszyscy w Waszyngtonie przypominają Europę i tutaj dopiero po raz pierwszy od kilku miesięcy poznałem wyraźnie, iż niesłusznie czułem się przygnieciony, jakby upokorzony, iż nie uro-

dziłem się w Stanach Zjednoczonych lub, że chociażby kupcem lub bankierem losy nie dozwoliły mi zostać.

Spotykani w Ameryce ziomkowie, przykre zazwyczaj wywołują uczucia. Są to po większej części ludzie, którym się życie w Europie nie udało, lub skutkiem przekroczeń i win własnych, zostało zbyt utrudnione a często wprost niemożliwe. Rozpierzchłe takie rozbitki losu wynaradawiają się czemprędzej, albo też stanowią najniższą warstwę wśród ludności miejscowej, żyją w pogardzie i nędzy. Otóż Waszyngton stanowi jedyny pod tym względem wyjątek. Mieszkający tu europejczycy, wchodzą w skład ambasad i konsulatów zagranicznych, są to więc ludzie znani, przeważnie bogaci i należący do arystokratycznych rodzin kraju, z którego ród wiodą. Dzięki tej okoliczności, znajduje się w stolicy Stanów Zjednoczonych grupa ludzi spokojnych, złożona z przedstawicieli państw europejskich. Grupa ta stanowi wzór ku naśladowaniu, którego podąża niemało amerykańskich milionerów, lecz wyznać należy, iż bez wielkiego powodzenia.

Ile razy znajdowałem się w kółku amerykańskiem i rozmowa potoczyła się o architekturze i wspanialszych gmachach, rzucano mi pytanie:

— Czyś pan widział Kapitol?

W razie odpowiedzi, że dotychczas nie byłem jeszcze w Waszyngtonie a więc go nie widziałem,

spoglądano na mnie z pewnem politowaniem mówiąc z pobłażliwością:

— Wtedy dopiero będziesz pan mógł sądzić o piękności architektury, gdy Kapitol zobaczysz. Posiadamy bezwątpienia najpiękniejszy gmach na świecie. Koszta budowy wyniosły 65 milionów.

Otóż jestem w Waszyngtonie i powoli wstępuję na pagórek uwieńczony głośnym gmachem. Idę zwolna, krok za krokiem, by nie uronić wrażenia, jakie wywrze na mnie widok całości gmachu na zewnątrz. W Rzymie zwała się tak świątynia Jowisza, będąca zarazem warownią; Kapitol rzymski jednoczył w sobie ideję bóstwa i sławy. W Waszyngtonie Kapitol łączy w swych murach prawo i sprawiedliwość, dwa pojęcia różne z jednego wszakże wypływające źródła.

Sto lat temu właśnie, 18 września 1793 r., Jerzy Waszyngton, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, położył kamień węgielny pod gmach ukończony dopiero w r. 1827, powiększony w r. 1861 a ostatecznie w całości swej dzisiejszej istniejący od r. 1865. Kilku architektów uzupełniało plan pierwotny, skutki tego są widoczne, pomimo bowiem imponującej ogromem wielkości, gmach jest niejednolity i wieleby mu zarzucić można pod względem harmonii i linij.

Portyk w stylu korynckim, poprzedza środkową część Kapitolu, po nad którą wznosi się największa w świecie kopuła. Co bokach centralnego gmachu rozpościerają się dwa olbrzymie

skrzydła, zdobne narodowemi, gwiazdzistemi chorągwiami. W czasie sesyi parlamentu, jeżeli obrady Senatu lub Izby przeciągają się dłużej niż zazwyczaj, wraz ze zmierzchem płonąć poczyna kolosalnych rozmiarów latarnia, umieszczona na szczycie kopuły. Latarnia ta służy zarazem za piedestał statuy „Wolności“ panującej po nad gmachem.

Wstępuję na schody wiodące na zewnątrz do przedsionka. Przybyłem przed drzwi ulane z bronzu. Przewodnik pobudza mój zbyt spokojny zdaniem jego zachwyt, oświadczając, iż drzwi przed któremi stojemy, kosztowały 150,000 franków! Idziemy dalej. Jestem pod kopułą i oczywiście podziwiam kolosalne jej wymiary. Wokoło mnie, snują się gromadki ludzi oprowadzanych przez przewodników i znajomych, są to amerykanie z różnych stron Stanów przybyli, dla zwiedzenia stolicy. Podziwiają bezwzględnie wszystko, zachwycając się wszakże przedewszystkiem malowidłami zdobiącemi ściany a przedstawiającemi osiem głównych wydarzeń historycznych, dotyczących amerykańskiego kontynentu w ogólności z uwzględnieniem pierwszeństwa dla Stanów Zjednoczonych. Namalowanie tych ośmiu dekoracyjnych obrazów, kosztowało 350,000 franków, przedstawiają one 193 postacie sławnych i zasłużonych mężów, lecz jakkolwiek przewodnik mówi, iż są to portrety, to jednakże dodaje zaraz, iż za podobieństwo wszystkich ręczyć nie można...

Wyznać należy, iż pod względem ilości portretów „ludzi zasłużonych“ uczyniono prawdziwe nadużycie. Wszystkie sale Kapitolu przepełnione są portretami. Prócz kolekcyi portretów prezydentów Stanów Zjednoczonych, istnieją tu wizerunki wszystkich ministrów, generałów, wyższych urzędników, sędziów i t. d. Młode historyczne Stany Zjednoczone, chciały ilością „znakomitości“ prześcignąć najstarsze narody europejskie, otóż nie bacząc na jakość, zwiększają codziennie ilość mężów wprowadzonych do wątpliwej nieśmiertelności. Tą drogą postępując nadal, wkrótce ścian w Kapitolu zabraknie!...

Pod kopułą Kapitolu, prócz ośmiu obrazów historycznych, mieści się w pośrodku sklepienia, olbrzymi wizerunek Jerzego Waszyngtona w otoczeniu wielkiej ilości figur alegorycznych. Po za rotundą znajduje się biblioteka, zawierająca 650,000 tomów i 300,000 broszur. Na prawo jest sala ogólnych posiedzeń parlamentu, na lewo sala Pomników. Nadużycie portretowe objawia się tutaj w całej pełni, tylko że nie na płótnie lecz w marmurze i bronzie. Każdy Stan nadesłał po kilka znakomitości miejscowych. Dla zwykłego podróżnego zaś, interesującą jest jedynie statua Jerzego Waszyngtona, Jeffersona, Hamiltona, wreszcie słynnego patryoty z czasów wojny o niepodległość Jonatana Trunebula, który jest ojcem popularnego dotychczas a może na

zawsze typu: „Jonatana“, którym to przydomkiem oznaczamy chętnie każdego amerykanina.

Północne skrzydło Kapitolu zajęte jest przez Senat, południowe przez Izbę deputowanych, którzy noszą tu miano reprezentantów narodu. Sale posiedzeń są obszerne, dogodne i zaopatrzone w wielką ilość miejsca dla publiczności, przepych i bogactwo urządzenia przewyższają o wiele brak gustu artystycznego. Dodatniej wyróżniają się pod tym względem: Sala posiedzeń Komitetu agronomicznego, oraz gabinet przeznaczony dla prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Cała dolna część gmachu zużytkowana została na biura obu Izb, biura pocztowe, telegraficzne, telefoniczne i sale uprzyjemniające członkom parlamentu chwile wolne od pracy. Prócz salonów przepełnionych dziennikami, znajdują się tutaj restauracya i sale kąpielowe. Nigdzie w Europie panowie senatorowie i deputowani dogodności podobnych nie marzyli posiadać w gmachu na obrady przeznaczonym!

Amerykanie z dumą zaznaczają, iż każdy obywatel Stanów Zjednoczonych ma wstęp wolny i przez nikogo i nic niekrępowany; przestąpiwszy podwoje drzwi z bronzu ulanych, czuje się w obrębie Kapitolu jakby u siebie w domu. Tak jest rzeczywiście. Wszystkie sale i korytarze stoją dla każdego otworem. Lecz wolność tak nieograniczona tylko w Waszyngtonie jest może-

bna. Kapitol jest rozmiarami olbrzymi a miasto jakkolwiek stolica, mieszkańców stałych prawie nie posiada.

Tenże sam system wolnego wstępu, zastosowany jest i w innych biurach administracyi krajowych a mieszczących się w gmachach wielkich jak koszary, stylu ciężkiego i pospolitego, imponujących jedynie swym ogromem. Urządzenie wewnętrzne odpowiada przepychem urządzeniu niektórych sal banków europejskich. Pełno tu luster, dywanów, marmurów i mebli z drzewa rzeźbionych. Siedmio-lub ośmio-piętrowe te budynki, obsługuje mnóstwo wind, zatrzymujących się na wspólnej wszystkim piętrom galeryi, przecinającej gmach przez całą jego długość. Urzędnicy, mężczyzni i kobiety, pracują wspólnie w dogodnych i obszernych salach, do których publiczność ma w każdej chwili wstęp wolny. Bez względu na hierarchię, urzędnicy wraz z naczelnikami wydziałów pracują wspólnie. Zauważyłem, iż mają wszyscy twarze weselsze i szczęśliwsze, aniżeli ich koledzy w Europie, praca urzędników jest tutaj też o wiele lepiej płatną.

Względnie do wielkości Stanów Zjednoczonych, urzędników w administracyi jest mało. Wynika to dzięki uproszczeniom pracy: listy dyktowane są stenografom piszącym maszynami, dokumenty w ten sposób zredagowane fotografują się i odbijają z klisz w potrzebnej ilości eg-

zemplarzy. Biura między sobą, porozumiewają się za pomocą telefonów. Prócz tego, każdy Stan posiada własną administracyę u siebie, w stolicy zaś rozpatrywane są jedynie sprawy interesujące ogół Stanów razem wziętych.

Ministeryum spraw wewnętrznych zwiedzałem w towarzystwie jednego z urzędników, którego przed kilku dniami zaledwie poznałem. Zwiedziłem wszystkie salę bez wyjątku i nigdzie nikt z pracujących, najmniejszej na nas nie zwrócił uwagi. W bibliotece miałem sposobność zobaczenia oryginału aktu ogłaszającego niepodległość Stanów Zjednoczonych. Cały jest napisany ręką Tomasza Jeffersona.

— Zobaczę, czy pan Blaine (minister) jest w swoim gabinecie, rzekł mój towarzysz, uchylając drzwi sąsiedniego pokoju. Niema go, ale chodźmy, pokażę panu ciekawe dokumenty historyczne, obchodzące pana jako francuza.

Piękny i wielki gabinet ministra, przepełniony był jak wszystkie sale gmachów publicznych w Waszyngtonie, niezmierną ilością portretów, zapewne poprzedników pana Blaine'a oraz następujących po sobie od lat stu pomocników ministeryalnych. Z niezamkniętej na klucz szafy, znajomy mój przyniósł wielką oprawną księgę i rozłożył na biurze ministra, w którego fotelu wygodnie siedziałem już od chwili. Księga składała się z uzbieranych latami oryginałów traktatów i umów pomiędzy Francyą a Stanami Zjednoczo-

nemi. Przeglądałem z zajęciem te stare papiery, podczas gdy mój towarzysz, siedząc na biurze ministra, pogwizdywał sobie z cicha. I powiedzieć że każdy może z równą swobodą zachowywać się tutaj, w gabinecie ministra!

Oficyalna rezydencya prezydenta Stanów Zjednoczonych, nosi miano Białego Domu, „White House. Jest to dwupiętrowy biały pałacyk w stylu jońskim, otoczony do koła wielkiemi i pięknemi ogrodami. White House jest pierwszym gmachem publicznym wzniesionym w stolicy, jest on zarazem i najprzyjemniejszem dla oka. Wygląd ma skromny, zgodny ze swem przeznaczeniem. Nie zamieszkuje go bowiem monarcha, lecz jedynie jeden z obywateli kraju.

Kilku odźwiernych stoi u wejścia dla oprowadzania podróżnych, pragnących zwiedzić White House. Oprowadzanie ogranicza się na dolnej części pałacu, mieszczącej w sobie szereg wykwintnie urządzonych salonów, przeznaczonych na przyjęcie oficyalne, oraz zwiedzić jeszcze można ogrody i cieplarnie obfitujące w pyszne krzewy i kwiaty. Drzwi, zawsze dla publiczności zamknięte, oddzielają pierwsze piętro od drugiego piętra pałacu, gdzie zamieszkuje prezydent wraz ze swoją rodziną. Ilością pokojów, rozkładem ich i urządzeniem, mieszkanie prezydenta w niczem się nie różni od zwykłego mieszkania bogatego amerykanina. Obywatel wybrany przez naród na prezydenta Konfederacyi, mieszkać tu może do-

godne, nie odczuwszy wielkiej a nawet żadnej dla siebie zmiany; po odbytej zaś służbie, wróci do pierwotnego swego stanowiska bez nabranych przyzwyczajeń do zbytecznego komfortu. Wielu amerykanów twierdzi, iż White House, zbyt skromnem jest mieszkaniem dla wybrańca narodu. Lecz mylą się, sąd podobny wydając, w prostocie bowiem siedliska prezydenta Stanów Zjednoczonych, to jest naczelnika najbogatszego na świecie kraju, leży właśnie urok, niesłychaną posiadający doniosłość.

W pobliżu Białego Domu, wznosi się wielki gmach w stylu Odrodzenia. Jest to Muzeum Corcoran, dar uczyniony miastu przez jednego z bogatszych bankierów. Muzeum Corcoran mieści galeryę obrazów, rzeźby i różnego rodzaju dzieła sztuki. Niemało jest tu płócien podpisanych przez pierwszorzędnych malarzów francuzkich. Nie ilością, lecz artystyczną wartością przedmiotów, z których się składa, Muzeum Corcoran jest jednem z najbogatszych w Ameryce.

Na zakończenie opisu miasta stołecznego, wspomnieć jestem zmuszony o rzeczy brzydkiej, bardzo brzydkiej, lecz której pominąć niema sposobu. Za taką uważam pretensyonalnej nazwy monument. W pośrodku rozległego placu, wznosi się rodzaj wieży, dosięgającej 555 stóp wysokości. Wieża ta, pusta w środku, posiada kształt obeliska. Winda umieszczona w jej wnętrzu wznosi ciekawych na płaski szczyt wierzchołka

z którego roztacza się widok na miasto. Wybudowanie pomnika, kosztowało sporą ilość milionów, które najzupełniej bez potrzeby i sensu zostały w ten sposób zmarnowane. Monument bowiem jest wprost brzydki, bezcelowy, bez stylu architektonicznego, zadziwia tylko ilością zużytego materyału.

Był czas, że amerykanie pysznili się i cieszyli monumentem, był on bowiem najwyższem w świecie dziełem wzniesionem rękoma ludzkiemi. Fakt ten wystarczał dla wzbudzenia bezwzględnego podziwu u wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych, teraz wszakże rzeczy się zmieniły... Wieża Eiffel w Paryżu o wiele jest wyższą, pomnik stracił więc dotychczasowy swój urok i amerykanie, upokorzeni w swej dumie, nazywają go od tej chwili nie monumentem, lecz obeliskiem.

FILADELFIA.

Wygląd wielkich miast Stanów Zjednoczonych jest mniej więcej jednakowy, mimo to wszakże każde z nich posiada sobie właściwy charakter. Mieszkańcy zaś stołecznych miast Stanów, różnią się tak dalece między sobą, iż w tłumie nawet rozpoznają się wzajemnie, określając miejsce pochodzenia. Amerykanie twierdzą, iż równie łatwo odróżnić mieszkańca Nowego-Orleanu, od mieszkańca Chicago lub San Francisco, jak wiskey (gatunek wódki) irlandzką od szkockiej...

Z Waszyngtonu, dzisiejszej a prawdopodobnie i w dalekiej przyszłości, centralnej stolicy wszystkich Stanów, udałem się do Filadelfii, stołecznego miasta przeszłości, to jest czasów przed uzyskaniem niepodległości.

W roku 1682 grupa kwakrów, przywiedziona przez Williama Pena, założyła miasto Filadelfię, które szybko się rozrosło i było największem w czasie gdy wybuchła wojna o niepodległość. Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych Jerzy Waszyngton, tutaj pierwiastkowo osiadł jako w stolicy i tutaj się zebrał Kongres po raz pierwszy. Obecnie Filadelfia od dawna wyzutą została z posiadanego miana stolicy całej Federacyi, lecz dzięki swej przeszło milionowej ludności, jest drugiem z rzędu miastem, co do ilości mieszkańców, oraz bogactwa i ogromu swego rynku handlowego. Tutaj się bowiem znajdują olbrzymie przędzalnie wełny i bawełny, oraz gisernie i walcownie metalów. Cudzoziemcy są tutaj liczni, zwłaszcza niemcy. Miasto pyszni się swą względną starożytnością i posiada swe tradycye. Filadelfia jest przytem jedynem miastem Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkańcy dzielą się na dwie odrębne kategorye.

Pierwsza składająca się z kupców i przemysłowców, dumną jest na wzór szlachty starego kontynentu. Wchodzący w jej skład ludzie, szczycą się swojemi przodkami a im który liczniejsze wymienić może pokolenia antenatów, tem

dumniej spogląda na tych, którzy mu w tym względzie placu dotrzymać nie mogą.

Bogate rodziny w Filadelfii z lubością wspominają o własnych przodkach, wzgardliwie mówiąc o dorobkowiczach z Nowego Yorku lub Chicago. Pomimo przywiązania do tradycyj rodzinnych, obyczaje kwakierskie, łącząc w sobie wielką prostotę z gotowością poświęcenia się dla dobra bliźnich, ustąpiły obecnie miejsca zwykłemu egoizmowi rozradzającemu się na łonie bogactwa. Członkowie kwakrów, szanują dawne tradycye, lecz w pogoni za złotem, w pragnieniach zaspakajania materyalnych rozkoszy, w niczem się nie różnią od reszty swych rodaków.

Drugą kategoryę mieszkańców, stanowią robotnicy. Są oni o wiele szczęśliwszymi od robotników w Europie. Pracują mniejszą ilość godzin za wyższą stosunkowo płacę, posiadając nieograniczoną wolność zebrań i łączenia się w potężne stowarzyszenia. Każda rodzina zamieszkuje oddzielny domek otoczony ogródkiem, kobiety zamężne ograniczają się na zajęciach domowych, dzięki czemu dzieci robotników są zdrowe i czyste. Dobrobyt widniejący tu w całej pełni powinienby zachęcić interesujących się kwestyą poprawienia losu klasy roboczej, do zbadania przyczyn i szczegółów dających tak pomyślne rezultaty w Filadelfii.

Nowy ratusz w Filadelfii uważany jest za najpiękniejszy ze wszystkich municypalnych budynków w Stanach Zjednoczonych. Bogactwo materyałów, z których jest zbudowany, oraz przepych wewnętrznego urządzenia wprost zadziwia. Na nieszczęście nie znam ilości milionów jakie kosztował, z dumy wszakże z jaką amerykanie mówią o tym ratuszu śmiało przypuszczam, że ilość wydanych dolarów znaczną być musiała.

Jednym z najwspanialszych gmachów jest Girard-College, wyższa szkoła ufundowana przez wzbogaconego w Ameryce francuza, Stefana Girarda, który, wystawiwszy budynek w stylu kościoła św. Magdaleny w Paryżu, ofiarował go miastu wraz z kapitałem 75 milionów. Procent od kapitału pokrywa wydatki kolegium, posiadającego wiekuiste zapewnienie istnienia.

BALTIMORA.

Baltimora słynie z piękności swych mieszkanek. I w samej rzeczy wyznać należy, iż większość kobiet spotykanych na ulicach Baltimory, sprawia dla oka niezwykle miłe wrażenie. Przyczyną tego zjawiska, jest następująca okoliczność: gdy lord Baltimore przybył w XVIII wieku do Ameryki i założył kolonię Marylandu, wieść o pomyślnej wyprawie lorda zachęciła wiele arystokratycznych a przyjaźnych mu rodzin angielskich, do przepłynięcia Atlantyku i skupienia się pod

jego przywództwem. Emigranci, zwłaszcza zaś kobiety, zachowały dawny sposób życia, stroju, oraz towarzyskiej wytworności obyczajów. Kolonia założona przez lorda Baltimore wyróżniała się wybitnie wśród innych, na czele jej bowiem wyjątkowym zbiegiem okoliczności stanęły rodziny arystokracyi angielskiej. Podróżnicy zwiedzający nowo zakładane przez europejczyków siedziby, jeszcze w zeszłem stuleciu wyróżniali mieszkanki Baltimory, jako kobiety niezwykłym obdarzone wdziękiem. Przed wiekiem już powstała dobra opinia, dziś się jeszcze w całości utrzymać zdołała, dzięki okoliczności, iż amerykanki przeważnie są ładne a kobietom z Baltimory dodaje jeszcze uroku, krążąca o nich po świecie legenda.

Miasto, chociaż leży w znacznej odległości od morza, posiada wszakże wielce ożywiony port, skutkiem szerokości i głębokości rzeki Patapsco, po której swobodnie w każdej porze roku, żeglują największe okręty. Z portu wypływają liczne parowce wiozące zboże do Europy, również jak tytoń, bawełnę, naftę, mąkę, konserwy, wyroby z żelaza i miedzi, rozchodząc się ztąd po całej kuli ziemskiej. Ulice sąsiadujące z portem wrą życiem, chociaż o wiele mniej gorączkowem jak w Nowym Yorku a nawet w Filadelfii.

Baltimora ma 500,000 mieszkańców. Jest miastem bogatem w całem znaczeniu tego wyrazu.

W czasie mej bytności zdarzyła się okoliczność wybornie charakteryzująca obyczaje amerykańskie.

Jedna z licznych kompanij tramwajowych, postanowiła zmienić dotychczasowo używany system pociągowy, zastępując konie maszynami parowemi. Zmiana takowa pociągała za sobą przebrukowanie ulic i położenie nowych relsów. Roboty wykonywane częściowo, trwać mogły parę do kilku miesięcy, utrudniając komunikacyę pomiędzy dwoma ważnemi punktami miasta, co wielce niepokoiło przywykłych do wygody mieszkańców. Prasa miejscowa podtrzymywała niezadowolnienie umysłów. W tem, pewien dotychczas mało znany przedsiębiorca, zaproponował kompanii tramwajowej wykonanie całej roboty w przeciągu dni sześciu. Publiczność i prasa podtrzymały propozycyę przedsiębiorcy, tak iż za umówioną z góry cenę, kompania zmuszoną niejako została do zawarcia z nim umowy. W przeciągu kilku dni przed rozpoczęciem robót, przedsiębiorca sprowadził robotników z miast sąsiednich i nagromadził odpowiednią ilość i jakość potrzebnych materyałów. W dniu i godzinie naznaczonej, tysiące robotników rozpoczęły pracę na całej linii równocześnie. Dzień i noc pracowano bez wypoczynku, po kilka razy na dobę zmieniając ludzi i konie. Publiczność, prasa, robotnicy użyci do wykonania roboty z zapałem wciąż wzra-

stającym śledzili jej postępy. Szóstego dnia linia była gotową, wszyscy mieszkańcy Baltimory klaskali z uniesieniem w dłonie a nieznany dotąd przedsiębiorca stał się bohaterem chwili, co mu niezawodnie sporą ilość milionów przyniesie w przyszłości. Na wybudowaniu linii w Baltimorze stracił materyalnie, lecz opłacił tem reklamę, która sławę mu przyniosła.

W dzień wyjazdu z Baltimory, poszedłem pożegnać się z miastem do pięknego parku Druid Hill Park, z którego rozległy roztacza się widok. Nad brzegiem jeziora wznosi się wyniosła wieża, weszedłem na górną jej platformę i wpatrzyłem się w przestrzeń, chcąc ją na zawsze utrwalić w pamięci. Na skrajach horyzontu zarysowały się wioski i pola zamiejskie. Bliżej, rzeka dzieliła się na dwa ramiona, pomiędzy któremi w porcie kołysały się setki wracających lub gotowych do podróży okrętów. Ulice proste, najeżone tysiącami kominów fabrycznych, biegną ku głównej arteryi ruchu, ku rzece. Po ulicach, placach, w porcie uwijają się w niezliczonej ilości ciemne drobne punkciki, są to ludzie kończący dzień swój pracowity. Długo tak stałem, rozmyślając nad widzianemi teraz i nad widzianemi w ogóle i odczutemi w Ameryce widokami, oraz wysuwającemi się z nich wrażeniami. Rezultat rozmyślań zasmucił mnie głęboko, jako syna Europy. Pomimo upornej walki, zostaniemy

zgnieceni siłą żywotną rozwijających się dopiero ludów tutejszych!... Brak nam wreszcie i wiary w siebie, wiary ujawniającej się tutaj wszędzie i zawsze. Oni wierzą w swą przyszłość, wierzą w swoją moralność, wierzą, iż posiadają najpiękniejsze i najhygieniczniej zbudowane miasta, wierzą, że o wiele są od nas lepszymi i cnotliwszymi...

Wśród smutnych rozmyślań zjadłszy obiad, udałem się o właściwej godzinie na dworzec kolei żelaznej. Tu przechodząc koło księgarskiego kiosku, doznałem pocieszenia. Pod olbrzymim szyldem leżały stosy książek. Na szyldzie widniał napis: „kolekcya najlepszych prac literackich tłomaczonych z francuzkiego“. Zbliżyłem się i zanotowałem sobie tytuły: „Bel ami“ Guy de Maupassanta, „Contes drolatiques“ Balzaca, „le Chevalier de Faublas“, „Nana“, „Mademoiselle de Maupin“, „La grande Iza, i t. d. wszystko w pewnym wybrane kierunku i z pewną tendencyą tłomaczone. Wyjechałem z Baltimory uspokojony dotykalnym dowodem, co czytają przeważnie ci o wiele od nas lepsi i cnotliwsi amerykanie...

V.

Kobieta i jej stanowisko w społeczeństwie amerykańskiem.

Bez wahania wyznaję, iż pod względem wdzięku i uroku towarzyskiego, amerykanki o wiele stoją wyżej od kobiet starego kontynentu. Wykształcona i dobrze wychowana amerykanka ponętną jest zaletami bystrego swego umysłu, prócz tego charakteryzuje ją śmiałość pozbawiona pruderyi i nieskrywana chęć podobania się wszystkim i zawsze. Zalotność jest znamienną cechą amerykanki. Każda stara się być „professional beauty", czyli zasłynąć pięknością, powabem, umysłem na tyle, by jak najliczniejsze kółka o jej przymiotach wiedziały. Niczem nie przypomina ona europejskiego typu półświatowej piękności, uganiającej się za hojnie darzącymi ją wielbicielami, jak również nie marzy ona na wzór zdenerwowanych pań europejskich o nadzwyczajnych romantycznych przygodach, lub zakazanych miłosnych schadzkach. Amerykanka jest tylko kobietą pragnącą wszystkim się podobać, by używać wrażeń płynących z ogólnego uwielbienia a przedewszystkiem, by módz korzystnie i z wyborem obrać sobie męża.

Flirt, sławny i uprawiany dziś na świecie całym, flirt jest wynalazkiem amerykańskim i tylko przez amerykanki mógł być wynalezionym.

Flirt, jest to słowo krótkie ale niesłychanie elastyczne. Szkicowo lecz treściwie określił je jeden z pisarzów francuzkich: „Flirt jest sztuką użycia teoretycznych rozkoszy miłosnych, bez obawy skutków i obowiązków grożących i wynikających z praktyki“.

Amerykanie przyzwyczajeni od dzieństwa do „self control“, to jest do samoistnego czuwania nad sobą, uprawiać mogą z powodzeniem sztukę flirtu. W każdej okoliczności, głowa u nich odnosi przewagę nad sercem. Powyższe słowa stosują się do płci obojga. Amerykanka zaś posiada w tym razie wyższość nad innemi kobietami, dzięki liberalnemu swemu wychowaniu. Od dzieciństwa chowała się i kształciła wspólnie i na równi z mężczyzną, traktuje go też zawsze po koleżeńsku z przymieszką zalotności. Gdy jest bardzo młodą bawi się flirtem, później używa flirtu dla zdobycia sobie męża a mając już męża — urozmaica flirtem kłopoty i nudy domowego pożycia i zajęć nieodzownych przy posiadaniu swojego „home“.

Niejednokrotnie byłem świadkiem i powiernikiem na balu rozpoczętego flirtu. Oto młoda, piękna dwudziestoletnia panna, która zaledwie dopiero przygotowywa się do wybrania sobie męża, tańczy po raz pierwszy z młodym, bogatym i utytułowanym anglikiem, świeżo z Europy przybyłym. On, nieprzywykły do śmiałego a pełnego prostoty obejścia młodej czarodziejki,

topnieje pod jej wejrzeniem i drobnemi, prawie niedostrzegalnemi dla innych, prócz dla niego, wyróżnieniami, któremi go darzy w ciągu całego wieczoru. W tańcu zwłaszcza pewna swej nad nim władzy, opanowywa go czarem powabnego swego ciała. Nie zadaje sobie ona zbyt wiele trudu, wiedząc jak łatwą anglik dla amerykanek jest zdobyczą. Pod koniec balu, szepnęła mu: „codziennie o drugiej po południu jestem u siebie; będzie mi miło widzieć i pana“. Anglik uważa te słowa za rodzaj miłosnej schadzki, przybędzie niezawodnie a ona śmieje się, że na długo nabyła wielbiciela, którego z czasem pomyśli może na męża swego zmienić.

Flirt wypełnia niemałą część życia kobiety w Ameryce. Jest on naturalnym wynikiem stosunków tamtejszych. W Europie tylko wyjątkowo flirt uprawiany jest na tej stopie. Słyszałem niejednokrotnie poważnych i wykształconych amerykanów, głoszących zdanie, iż bezwarunkowo lepszy posiadają system wychowywania kobiet niż my europejczycy. Z drugiej strony, liberalnych nawet poglądów europejczycy, krytykują system amerykański. Nie chcąc osobiście decydować w tej sprawie, zebrałem argumenta obu poglądów.

Pogląd europejskiego moralisty:

Młoda panna jest niesłychanie wątłą i delikatną roślinką. Piękność jej, uczucia właściwe kobiecie, narażają młodą osobę na tysiączne nie-

bezpieczeństwa grożące jej tak pod względem moralnym jak i fizycznym. Zabezpieczyć ją należy z całą usilnością. Wszak ona uosabnia wdzięk i poezyę naszego życia, ona jest kapłanką dobroci, ona ma do spełnienia na ziemi posłannictwo szczytne: być dobrą żoną i kochającą matką. Dla należnego przygotowania jej ku temu, strzedz ją trzeba od kału życia, od słyszenia i patrzenia na zło mogące cień chociażby rzucić na niewinną jej duszę. Gdy nadejdzie dla niej pora zamążpójścia, nie trzeba iść wbrew jej skłonnościom, lecz trzeba je umiejętnie pokierować dla własnego jej dobra. Zręcznie w należną stronę skierowana wrażliwość dozwoli jej być szczęśliwą, korzystając z doświadczenia opłaconego cudzym kosztem. Mąż dla niej przez starszych upatrzony, będzie niezawodnie dobrze i stosownie dobrany, co pewne i stanowcze zapewni jej szczęście. Z chwilą zaś jak zostanie matką, szczęście jej stanie się zupełnem, bo uczucia rozdmuchane od dzieciństwa w jej sercu, znajdą naturalnie swe zadowolnienie. Marzyć ona wtedy zacznie już tylko o losie swych dzieci o przyszłości swej córki, której toż samo zapragnie przygotować szczęście, jakiego sama dziś doznaje.

O nędzy i brudzie spotykanych w życiu, słyszała tylko z daleka, stała tak wysoko moralnie, iż nic z tej strony dotknąć jej nie zdołało. Szczęśliwa i spokojna, była życie całe szczęściem i spoko-

jem męża, którego kochała, niezmącona żadną niezdrową namiętnością, nietylko w czynie ale nawet i w myśli czuła, iż spełnia swoje przeznaczenie będąc tylko żoną i matką.

Pogląd amerykańskiego moralisty:

Kobieta staje się wątłą i słabą istotą, skutkiem zastosowanego wychowania. W imię cywilizacyi kobieta ma prawo do tego samego rozwoju umysłowego co mężczyzna a w imię tejże samej cywilizacyi, zważywszy na naturalne jej przeznaczenie, kobieta uwolnioną być powinna od wszelkich zatrudnień wymagających fizycznych wysiłków. Dotychczasowa rola kobiety była drugorzędną w społeczeństwie, przypisać to należy przewadze brutalnego prawa pięści, które ustępuje dopiero w miarę cywilizacyjnego rozwoju i bezpowrotnie niweczy nadużycia siły fizycznej. Kobieta i mężczyzna, są to dwie jednostki jednakowej wartości. Sformułowawszy w ten sposób zasadę, łatwo zestawić jej następstwa.

Bezustanne mamy przykłady, iż kobieta, odebrawszy takie same wykształcenie jak mężczyzna, z łatwością zdobywa sobie pozycyę odpowiednią do swych zdolności. Zajmowanie się interesami, „business“, wyjątkowo tylko może być dla niej dostępne, pod względem bowiem sił fizycznych, kobieta sprostać mężczyznie nie zdoła. Sprawiedliwość nakazuje, by pozostawić jej w zamian swobodę zupełną tam, gdzie dla wydostania się na wierzch potrzebne jest wykształcenie,

spryt, lub urok wdzięków osobistych. Każdy zdolny, pracowity i uczciwy mężczyzna, może marzyć jak o możliwej dla siebie rzeczywistości, iż zdobędzie milionową fortunę lub urząd chociażby najwyższy, kobieta w Stanach Zjednoczonych, prawie, że równie otwartą ma już przed sobą drogę. Jeżeli bowiem w karyerze zawodowej napotyka jeszcze pewne utrudnienia, w zamian kobieta ładna i sprytna, może najambitniejsze urzeczywistniać plany, za pomocą małżeństwa. Żaden z wielbicieli nie zapyta się jej o nazwisko, ani kim jest jej ojciec lub matka.

Dla czego kobieta niema znać życia takiem, jakiem ono jest w rzeczywistości?... Trzeba żeby je znała, trzeba jej wskazać wszystkie jego niebezpieczeństwa, jedyny to bowiem sposób, by ją uchronić od złych następstw.

Podziwiana w kobiecie naiwność wypływająca z nieświadomości, jest błędnym przesądem; świadomość i wykształcenie, postawić ją tylko mogą na równi z mężczyzną. Wówczas dopiero kobieta uzyskać może wolność zupełną, wolność dozwalającą jej rozporządzać sobą i swym losem, co się jej słusznie należy i co powinno być ogólnie przyjętem prawem.

Flirt wówczas nie przedstawia dla niej żadnego niebezpieczeństwa, bawi się w udawania miłości a kiedy sama jej ulegnie, wie dokładnie jakie pociąga to dla niej skutki. Kobieta w Stanach Zjednoczonych sama i dobrowolnie wybiera

sobie męża i tylko wolnym wyborem dobrawszy sobie towarzysza życia, może przyjmować sumienne zobowiązanie dzielenia złych i dobrych jego losów. Sama sobą rozporządziwszy, nie zrzeka się nigdy swej indywidualności, pozostaje wolną i nadal a wolność osobista powinna być udziałem i pragnieniem każdej istoty nietylko inteligentnej, lecz chociażby myśleć umiejącej.

* *
*

Spędziłem wczoraj część dnia w towarzystwie starej panny. Jest to typ w Stanach Zjednoczonych bardzo ciekawy a zarazem pospolity, albowiem ilość kobiet jest tu znacznie większą od ilości mężczyzn.

Zgrabna o ładnej cerze, ślicznych rączkach, i nóżkach, na nieszczęście nos miała niezgrabny, oczy małe i skutkiem wady wzroku nosiła od dzieciństwa okulary, co sprawiło, iż wyrzekłszy się nieprzystępnego w korzystnych warunkach flirtu i męża, postanowiła zdobyć wyższe wykształcenie umysłowe, szukając zadowolnienia w tym kierunku.

Jest ona członkiem potężnego stowarzyszenia, walczącego o pozyskanie zupełnego równouprawnienia kobiet. Teoretyczne wyznanie wiary stowarzyszenia, jest następujące: równość zupełna, niezależność każdej zdrowej umysłowo istoty, pozyskanie sprawiedliwego ocenienia zasługi, uznanie wyższości rozumu ponad wszystkie inne oko-

liczności, równouprawnienie kobiety pod względem politycznym i społecznym.

Przedstawiwszy mi cel stowarzyszenia, stara panna z wielkiem ożywieniem mówiła dalej:

— Dlaczego kobieta uważaną dotychczas była za istotę niższą od mężczyzny? Oto dlatego, iż dotychczas, mężczyzni, przesiąknięci będąc staremi barbarzyńskiemi obyczajami, uciemiężanie słabszych fizycznie uważają za prawo naturalne, które przekroczyć dozwalają wyjątkowo i zawsze z trudnością. Mężczyzni wszakże popełnili błąd wielki, błąd, który wszechwładzę z rąk im wytrąca. Od chwili jak pozwolili kobiecie nauczyć się czytać i pisać, otworzyli przed nią drzwi ku świadomości i prawdzie, po za któremi równość dla wszystkich panuje. Teraz już walka o niepodległość zbyt jest powszechną, by stłumić się dała chociażby czasowo. Sprawa nasza jest słuszną i dziwić się tylko należy, iż w cywilizowanem społeczeństwie nie jest jeszcze rozstrzygniętą, skutkiem czego wszystkie kobiety myślące a przytem tak jak ja samotne, siły całe wytężają, by godzinę sprawiedliwości przyśpieszyć i wyzwolenia połowy rodu ludzkiego co rychlej dopełnić.

Z pewnego rodzaju zadowoleniem wyliczała mi następnie ilość kobiet zajmujących się nietylko z powodzeniem lecz z pewnego rodzaju sławą, prawnictwem, medycyną i dziennikarstwem. W dwóch Stanach już zdołały pozyskać kobiety prawo gło-

sowania i niektóre zasłynęły talentem na zebraniach politycznych. Mówiła prosto, ściśle, popierając swe twierdzenia przykładami zaczerpniętemi z dziedziny wiedzy, lub objawami życia praktycznego. Broniła swych opinij z metodą i odwagą, tak iż sama stanowiła najlepszą obronę swej tezy.

* * *

Ojcowie córek dorosłych nie znają w Stanach Zjednoczonych kłopotów i trosk ojców na starym kontynencie. Ojciec w Stanach Zjednoczonych nie szczędzi pieniędzy na ich wychowanie, jedzenie i ubranie, po za tem nie troszczy się o nie bynajmniej, pozostawiając im zupełną swobodę w dobieraniu sobie przyjaciół i przyjaciółek; mogą przyjmować swych gości kiedy zechcą, podróżować same lub w towarzystwie, przyjmować zaprosiny na bale, do teatru, dawać i otrzymywać prezenta chociażby w postaci klejnotów i więcej wartościowych przedmiotów. Wyposażenie dzieci po za wychowaniem, jest rzeczą dowolną i zależną od chęci, woli, czy chwilowej fantazyi rodziców. O wyborze męża, rodzice dowiadują się najczęściej nie wprost od córki, lecz przez wspólnych znajomych. Rodzice panny są wszakże obowiązani wówczas wydać proszony obiad lub bal. Nikt się ich nie pyta o zdanie o przyszłym zięciu, ani się też nie wypowiadają z wrażenia, którego doznają.

Panna przed zamążpójściem bywa zazwyczaj kilkakrotnie narzeczoną, co jest rzeczą ogólnie przyjętą i niczyjej nie zwracającą uwagi. Przeciwne zachowanie się—wydaje się dziwnem a nawet nierozsądnem. Narzeczonych swoich zna najczęściej jeszcze z ławek szkolnych; gdy więc zdecyduje się wyjść za mąż, wie wybornie, jakie są właściwości charakteru przyszłego małżonka. Zawarcie małżeństwa mało w ogóle zwraca uwagi i rzecz śmiało można, iż w Stanach Zjednoczonych małżeństwa równie łatwo kojarzą się jak rozwodzą.

Rozwody bywają częste. I równie jak kobieta wywołała małżeństwo wybierając sobie męża, tak również kobieta występuje z propozycyą i podaniem się o rozwód. Omyliła się w wyborze, lub przekonała się że mąż nie umie prowadzić interesów, nie daje jej dostatecznej ilości potrzebnych na wydatki pieniędzy, że pije zbytecznie i t. d... zawarłszy zatem kontrakt niekorzystny, nic słuszniejszego iż pragnie go zerwać...

Otrzymawszy rozwód, ex-małżonkowie rozsyłają zawiadomienie przyjaciołom i znajomym. Przepisuję dosłownie tekst podobnego zawiadomienia, jako ciekawy dokument miejscowych stosunków.

„Państwo Z. zawiadamiają niniejszym,
„iż małżeństwo ich zerwane zostało mocą

„wyroku wydanego przez Najwyższy Try-
„bunał“.

„Pani Z. wraca napowrót do panieńskie-
„go swego nazwiska W“.

Papier zdobny był nagłówkiem wyobrażającym dwa rozerwane ogniwa.

Na szczęście, zawarcie małżeństwa, rozwód w niczem nie dotykają nikogo, prócz samych interesowanych. Najbliższa nawet rodzina nie pyta się i zdania swego nie wyjawia w tej kwestyi. Każdy odpowiedzialny jest za swe czyny, ale tylko za swoje, zatem najskandaliczniejsze rozwody, lub złe małżeńskie stosunki, nigdy dokuczliwie nie dają się we znaki rodzinie, obojętnie przyjmującej wiadomość i bliższe szczegóły zaszłego wydarzenia. Poczucie honoru indywidualnego zatarło w Stanach Zjednoczonych doszczętnie, poczucie honoru rodu, nazwiska.

W miasteczkach prowincyonalnych spotykałem często oprawne w ramy i za szkłem „świadectwo“ małżeństwa. Clergyman wydaje go na arkuszu papieru zdobnego w barwne rysunki, czasami nawet świadectwo utrwalone jest na pergaminie. Obraz taki zastępuje przechowywany często w Europie ślubny wieniec z kwiatów pomarańczowych. Symboliczny wieniec, zastąpiony został w Ameryce urzędowym dokumentem...

* * *

Chcąc się bliżej zapoznać z kwestyą kobiecą w Ameryce, uciekłem się do niejednego fortelu.

Przytoczę ten, którego użyłem w czasie pobytu w Bostonie. Jest to miasto najwyżej stojące pod względem intelektualnym, tutaj jest najżywszy w Stanach Zjednoczonych ruch i handel księgarski, tu najpłynniej i najlepiej mówią nietylko po angielsku lecz i po francuzku. Mieszkańcy Bostonu, zwłaszcza zaś kobiety, rzeczywiste posiadają wykształcenie i zamiłowanie sztuki i literatury, czytają wiele i myślą nad tem co przeczytały.

Boston nie posiada cechy ogólnej amerykańskim miastom właściwej, lecz sam przez się stanowi typ oddzielny, oryginalny.

Nie zadawalniając się licznymi znajomymi, postanowiłem zapoznać się bliżej ze sposobem myślenia kobiet miejscowych i w tym celu umieściłem następujące ogłoszenie w dzienniku „L'Advertiser“:

„Francuz, zwiedzający Stany Zjednoczone i pra-
„gnący poznać dokładnie obyczaje miejscowe,
„życzy sobie wejść w korespondencyę z młodą
„panną z Bostonu. Dla szczerości zupełnej w wy-
„jawianiu poglądów w poruszanych kwestyach,
„korespondencya niech będzie anonimową. Poste-
„restante P. O. 433“.

Nazajutrz zaraz miałem około trzydziestu listów a w końcu tygodnia liczba ich wzrosła do setki. Niektóre z nich były dowcipne i zręczne, ton ogólny przyzwoity i miły a prawie wszystkie pisane były wcale nieźle po francuzku. Ode-

brane listy rozklasyfikowałem a wreszcie zatrzymałem się nad kilkoma ciekawszemi, ostatecznie zaś wybrałem jeden, który wydał mi się najszczerszym i z jego autorką rozpocząłem ożywioną korespondencyę. Dziś jeszcze niewiem kto ona i zapewne nigdy o tem wiedzieć nie będę, korzystam wszakże z posiadanych jej listów, zamieszczając tu z nich wyjątki a że mam do tego najzupełniejsze prawo, wykazuje broniona kiedyś przezemnie teza, gdy byłem studentem na kursach prawa: „List, jest wyłączną własnością tego, do którego był pisany“.

List pierwszy. Jakkolwiek przypuszczam, że ogłoszenie pańskie jest tylko żartem człowieka szukającego zabawki, chcę się przekonać, czy tak jest rzeczywiście i tymczasowo zgadzam się na korespondencyę, mające na celu zapoznanie pana z obyczajami miejscowemi. Zgadzam się, bo mnie to bawi a powtóre kocham Francyę i często gniewa mnie nieświadomość francuzów o wszystkiem i wszystkich po za obrębem własnego ich kraju. Jako rodowita amerykanka, lubię stawiać każdą kwestyę jasno i wyraźnie a więc najpierw nie chcę, byś pan kiedykolwiek chciał się ze mną zapoznać, lub pragnął wiedzieć kim jestem. Chcę być w odpowiedziach moich na stawiane przez pana pytania szczerą zupełnie a nie mogłabym nią być, gdybym miała obawę spotkania się z panem kiedykolwiek. Wszak pan pragniesz otwartych poglądów?

Jeżeli tak, czekam na odpowiedź w postaci zapytań.

List drugi. Dziękuję najuprzejmiej za wyróżnienie, jakie pan na mą korzyść zrobiłeś, obierając mnie sobie na partnerkę zśród tylu kandydatek. Chcę wierzyć, iż pan rzeczywiście pragniesz zbadać obyczaje mojej ojczyzny i uważam pana za człowieka seryo, chociaż francuzi rzadko się takimi okazują, zwłaszcza względem kobiet. Oto i pan w liście swoim, prawie cały ustęp poświęciłeś na mówienie mi grzeczności, zakrawających na oświadczyny formalne. Wolę przeto pana ostrzedz: Jestem narzeczoną i kocham bardzo mego narzeczonego, który wkrótce zostanie moim mężem. Daj pan pokój słodkim komplimentom, bo wszystko byłoby napróżno! Serce oddałam już komu innemu...

A teraz sprobuję odpowiedzieć na postawione przez pana pytania, chociaż można je było usystematyzować lepiej a zwłaszcza logiczniej. Co myślę o kobiecie starego kontynentu? Myślę, że jest to „a goose“ (gęś)... Sąd to ostry, ale obiecałam pisać rzeczywiste moje poglądy. Jej bezwarunkowe posłuszeństwo względem rodziców dowodzi, że niema poczucia i potrzeby wolności; jej bezwzględne oddanie się i przywiązanie do męża dowodzi słabości charakteru graniczącej z głupotą; jej bezustanne poświęcanie się dla dobra swych dzieci, dowodzi, jak mało sama siebie cenić umie i może. U nas kobiety

wprost przeciwne mają dążności. Jestem kobietą, ale równie jak mężczyzna — jestem człowiekiem. Życie pragnę sobie urządzić jak najdogodniejsze, jaknajprzyjemniejsze. Będę kochać, idąc za popędem serca, będę się bawić, dogadzając sobie ile można najwięcej, wyjdę zamąż za człowieka bogatego, który mi w tem wszystkiem stanie się pomocnym.

Tak zestawiany plan życia niezawsze ziścić się daje, lecz takim jest nieodmiennie w marzeniu. Czy możesz mi pan zaręczyć, iż kobiety w Europie nigdy w ten sposób o szczęściu dla siebie nie marzą? Dlaczegóż nie formułują swych pragnień, równie jasno jak my to czynimy?

Co to jest miłość? — Jest to szał bardzo kosztowny dla mężczyzn a bardzo korzystny dla kobiet, ponieważ my, dzięki miłości, zażywamy wszystkich rozkoszy i przyjemności życia, które wy nam zobowiązujecie się dostarczyć własnem staraniem i pracą.

U nas kobieta ulega, dozwala sobie na miłość dlatego tylko, by szczęścia, przyjemności sobie przymnożyć... Począwszy od flirtu a skończywszy na małżeństwie, zawsze jeden i ten sam cel nią powoduje. Każdy stosunek miłosny przechodzi u nas następujące fazy: najpierw decyduje głowa, potem serce a wreszcie na końcu ciało. W Europie porządek jest podobno najczęściej w odwrotnym kierunku. Jak pan widzi, z mojego

punktu widzenia nie mogłam dokładniej określić kobiet europejskich, jak... mianem gęsi.

List trzeci. Jesteś pan niepoprawny w zasypywaniu mnie grzecznemi słówkami i... nadto ciekawy. Ale uwzględniam ciekawość, bo jest ona może wywołaną tą słuszną okolicznością, iż chcesz pan wiedzieć, jakie to amerykanki stare czy młode, bogate czy ubogie, posiadają poglądy zbliżone do moich. Jestem angielskiego pochodzenia, chociaż z przymieszką krwi obcej, jestem przystojna, lata moje są pomiędzy 20-ym a 30-ym rokiem, jestem zalotną i gruntownie wykształconą. Rodzice moi byli i są bardzo bogaci, miałam zawsze najlepszych nauczycieli, czytałam wszystko co chciałam, byłam dwa razy w Europie i zwiedziłam ją dość szczegółowo, pracowałem nad wykształceniem mego umysłu usilnie, tak jak tylko w Bostonie kobiety pracować nad sobą umieją. Nie jestem bynajmniej nerwową ani marzycielką; jestem zdrowa, silna, wstaję rano, jeżdżę codziennie konno, słynę ze zręczności w grach wymagających wyrobienia ciała, umiem myśleć i lubię wszystko obliczać cyframi. Opierając się zawsze na logice i obliczaniu, można posiąść szczęście a więc rozstrzygnąć to najtrudniejsze w życiu zadanie. Obliczanie powinno być podstawą naszych myśli i całego naszego istnienia.

Musisz przecie pan przyznać, że amerykanki o wiele stoją wyżej umysłowo od waszych ko-

biet mdłych jak cukierki, które są pannami, żonami, matkami ale nie... ludźmi. A stojemy wyżej, jeszcze dlatego, iż kobieta jest człowiekiem wolnym w wolnej Ameryce, bo jest istotą umiejącą myślić i obliczać myśli i uczynki swoje. My też jesteśmy często ładne i zalotne, ale czyż piękne oczy, bujne włosy, lub wdzięczna kibić, niemogą należeć do istoty inteligentnej i swoją indywidualność ceniącej? Prawda, że wolność nasza nie od dawna datuje się, nie jest jeszcze zupełną, lecz niewątpliwie, wkrótce pozyskamy ją w całości, cywilizacya bowiem nie zatrzymuje się w swym pochodzie i dzień naszego wyzwolenia blizkim jest obecnie. Widzę atoli, że wpadłam w ton kaznodziejski, więc się powstrzymuję, bo wymową clergymanów nie zachwycam się bynajmniej. Czy wiesz pan o tem, że tak jak wiele innych kobiet, tak i ja jestem zdania, iż my o wiele wyżej stojemy od mężczyzn! Mamy nawet na to dowody; dziewiędziesiąt dziewięć razy na sto, potrafimy narzucić wam naszą wolę, ujarzmić was naszemi kaprysami. A gdy chcemy niewierności się dopuścić, to na pewno liczymy, i liczymy nieomylnie, tak iż nawet spostrzedz tego nie jesteście w stanie...

List czwarty. Czynisz mi pan zarzut, iż listy moje są zbyt treściwe, zbyt szorstko wypowiadające poglądy, bez zwykłego szczebiotania kobiecego a zatem posądzasz mnie pan o zmowę z moim narzeczonym i że właściwie nie ja, lecz

on jest autorem listów, które panu posyłam. Ależ mój panie, ja niemam chęci ani czasu do zapisywania arkuszy papieru dla pańskiej przyjemności. Co znów do posądzania mojego narzeczonego o zastępstwo w pisywaniu tych listów, to wyznaję, iż wydało mi się ono wprost śmiesznem, bo narzeczony mój aniby chciał, aniby nawet umiał pisać o interesujących pana kwestyach. Przypuszczasz pan, iż zgodziłabym się wyjść zamąż za człowieka, który zdolnymby był marnować czas na korespondencyę z nieznanym mu francuzem!?... Umiejąc i lubiąc pisać listy tego rodzaju, nie przedstawiałby on żadnej pewności, co do właściwego swego przeznaczenia, i rachunki mojej szwaczki niezawsze byłyby płacone... Jestem o wiele praktyczniejszą i rozsądniejszy uczyniłam wybór. Mój narzeczony ma lat 28 i posiada dobrą posadę w jednym z tutejszych domów handlowych. Zaoszczędził już dość pieniędzy na wygodną podróż, którą mamy odbyć po ślubie, ma nawet dość odłożonego kapitału, by dom urządzić wykwintnie, tak jak lubię i żądam. Wyjdę za niego wtedy, gdy będzie wspólnikiem domu, w którym obecnie pracuje, bo wtedy dopiero będzie w stanie opłacać raty Towarzystwa ubezpieczenia, w celu zapewnienia mi wygodnego bytu w razie swej śmierci. Jak pan widzi, kocha mnie on bardzo, a ponieważ jest przewidującym, mam pewność zupełną, iż nigdy mi pieniędzy skąpić nie będzie... Wolność będę

z nim miała zupełną i ręczę panu, iż nigdy jej nie nadużyję. Przywiązanie nasze jest wzajemne i na pewnych znanych nam podstawach, twierdzić mogę stanowczo, iż dobrze nam będzie razem. Co zaś do strony sentymentalnej, to najzupełniej wystarczy mi pies lub francuzkie, pełne czułości powieści, które często nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Jednem słowem wiem i rozumiem, iż spotykają się w życiu miłosne uczucia, oraz że należy cenić przymioty duszy etc., lecz przedewszystkiem w małżeństwie trzeba szukać i znaleźć spokój i możność zaspokojenia przyzwyczajeń, do których nawykliśmy od dzieciństwa, lub też przyswoić sobie pragniemy. Wreszcie analizowanie uczuć i teoretyczne rozkoszowanie się niemi, czyż daje gwarancyę, że za nieodzowne w życiu mamy je uważać?...

List piąty. Trudno się nam porozumieć wzajemnie. Różność naszych poglądów i zapatrywań wynika skutkiem różności rasowej. Człowiek rasy łacińskiej rzadko jest w stanie porozumieć się z człowiekiem rasy anglo-saksońskiej. Zmysłowość rasy, do której pan należysz, jest tak wielka, iż nawet w listach przebija ona ustawicznie; ani na chwilę nie zapominasz pan, iż piszesz do kobiety i zamiast pytać się i dopominać o coraz nowe objaśnienia, bawisz się w prawienie mi komplementów, wprost dla mnie śmiesznych. Wszak my się nawet nie znamy z widzenia, rozmawiajmy więc o rzeczach mogących

interesować nasze umysły, usuwając raz na zawsze i stanowczo wszelkie niezdrowe dociekania i dobadywania szczegółów, odnoszących się wprost do naszych osobistości. Wreszcie, jeżeli pana nie moje poglądy lecz moja osoba przedewszystkiem zaciekawia, przestańmy pisywać, nie łudząc się dalej bezcelowością naszej korespondencyi. Mogę wszakże oddać panu pewną usługę a mianowicie: przesłać całą listę młodych panien sentymentalnych i głupich, jakich nie brakuje nigdzie, nawet w Bostonie! Nie będziesz pan potrzebował rozwijać zbyt długich i zawiłych teoryj, by zgodziły się z panem flirtować, korzyść przeto wielką osiągniesz z zamiany...

List szósty. Zapytujesz mnie pan, co myślę o instytucyi małżeństwa?... Przykro mi bardzo, lecz muszę pytanie to pozostawić bez odpowiedzi. My w Stanach Zjednoczonych unikamy starannie dyskusyi w kwestyach, które uważamy za zbyt śliskie. Piszę dziś krótko, bo niezwykle jestem zajęta. Jedna z moich dobrych znajomych zdecydowała się wyjść zamąż, okoliczność tego rodzaju wywołuje zazwyczaj seryę przyjęć, mam więc zaprosiny na dziesięć „tea parties“, dwadzieścia obiadów i trzydzieści wieczorów. Może nieco przesadzam, lecz czynię to przez ustępstwo i uprzejmość dla pana, który jesteś rodakiem Tartarina.

List siódmy. Dlaczego francuzi w ogólności używają złej opinii za granicą?

Rzecz bardzo prosta... Oto potrafili z niezwykłym talentem wyidealizować, upiększyć rozwiązłość obyczajów, dzięki czemu dzierżą w swem ręku monopol zepsucia. Czy wiesz pan z czego znamy Francyę najlepiej?... Z wina szampańskiego, z operetek dowcipnych, lecz wielce niemoralnych, z powieści pornograficznych, sukien i kapeluszy, wreszcie z kobiet frymarczących ciałem i mężczyzn przybierających tutuły, do których żadnego nie posiadają prawa. Wiem dobrze, iż Francya inną jest w rzeczywistości, i że ją w złem świetle przedstawiają te wyżej wymienione jej towary eksportowe, w każdym razie wy o sobie, macie zbyt wygórowane pojęcie. Pod względem nauki my, amerykanie, stoimy już dziś wyżej od ludów europejskich; prawda, iż stało się tak, dzięki waszemu doświadczeniu, waszym wynalazkom, lecz myśmy je rozszerzyli, udoskonalili i nadali im impuls niezrównany! Pod względem sztuki przewyższacie nas niewątpliwie. Pod względem literatury, Francya ma pretensyę przodowania wszystkim innym narodom starego i nowego kontynentu. My w Bostonie niezupełnie jesteśmy tego zdania. Oto nasze poglądy: dzieła, mające na celu badania historyczne oraz prace treści filozoficznej najlepsze są w Niemczech; książki treści specyalnej, lub religijnej i społecznej są najlepiej opracowywane w Anglii. Wyższość ustroju poetyckiego Francya dzieli z innemi narodami południowemi, pozostają wam

zatem w wyłącznem posiadaniu powieści, w ogóle utwory literackie, wymagające sporej dozy wrażliwości i obrazowo uprzytomniającej wyobraźni. Zarzucamy wam wszakże niemoralność. Każda powieść francuzka składa się z trzech głównych postaci: męża, żony i kochanka. Celujecie w urozmaiceniu epizodów zachodzących pomiędzy temi trzema osobami, lecz zawsze jest to potrawa jednakowa, podana tylko z coraz odmienną przyprawą i to coraz pieprzniejszą. Autorowie francuzcy uważają się za subtelnych psychologów i badaczów epoki, w której żyją a my po prostu uważamy ich za ludzi zdolnych, lecz chorych i siejących po świecie zarazę swej choroby. Przecież można zająć czytelników, nietylko erotyczne lub brudne sceny życia opisując, najlepszy mamy tego dowód na Thackerayu! Na pewno powiesz pan, iż poglądy moje są zacofane i znamionujące umysł pierwotnie tylko oszlifowany, lecz chciałeś pan wiedzieć prawdę więc ci mówię co za prawdę uważamy nietylko w Bostonie, lecz w całych Stanach Zjednoczonych.

List ósmy. Co myślę o Paryżu?... Niewiem czy pan znasz przysłowie amerykańskie, które powiada „kobiety, które przez całe życie sprawowały się wzorowo, Bóg w dobroci swojej, posyła po śmierci do Paryża w nagrodę.“ Parę lat temu przepędziłam cały miesiąc w Paryżu i wyznaję, iż zachwycona byłam pięknością i urokiem stolicy Francyi. Ulice paryzkie po-

ciągająco na mnie oddziaływały swoją czystością, pięknością domów, wspaniałością magazynów a przedewszystkiem radowałam się, widząc wszystkich wesołych, uśmiechniętych; sama czułam się szczęśliwszą, ulegając upajającej atmosferze paryzkiej. W dniu wyjazdu żałowałam, iż tylko miesiąc w tem czarodziejskiem mieście pozostać mogę i na pocieszenie wyrysowałam w swoim albumie siebie z sercem przeszytem strzałą, złożoną z liter P. A. R. I. S. W Bostonie rozmawiam często o Paryżu z jedną z moich kuzynek, która kilka lat tam spędziła, prawie wyłącznie w celu zapoznania się z życiem i obyczajami miejscowemi. Otóż zachwyt mój wielce osłabł pod działaniem słów mojej kuzynki. Ja, w czasie miesięcznego mego pobytu, miałam sposobność zapoznania się ze stroną tylko zewnętrzną, która jest niezrównanie pociągająca, kuzynka zaś moja zapoznała mnie z obyczajami, nędzą przedmieści, z poniżeniem, w jakiem dotychczas pozostają w Europie robotnicy, nie wyłączając klasy pracującej w Paryżu, klasy osobnej i pełnej nienawiści dla tych, którzy się nad nią wywyższają. Wiem także, iż piękne domy paryzkie podzielone są na maleńkie mieszkania i pokoiki bez żadnej wygody dla zamieszkujących w nich ludzi. Powiedzieć, iż łazienek przy mieszkaniach nie uważają paryżanie za rzecz nieodzowną! Od tej chwili gdy modlę się w nie-

dzielę, prosząc Boga, by mi inny raj po śmierci obmyślił...

VI.

Geneza Stanów Zjednoczonych. Konstytucya.

Każdy naród cywilizowany przechodził następujące fazy rozwoju, nim doszedł do dzisiejszego stanu kultury: stan barbarzyństwa, pasterstwa, rolnictwa a wreszcie przemysłu i sztuki. Każda taka epoka, nie oddzielając się zbyt szorstko jedna od drugiej, łączyła się z następującą, dążącą ku wyższej i doskonalszej cywilizacyi. Organizacya społeczna odpowiadała rozwojowi cywilizacyjnemu. Horda słuchała wodza, ulegając najsilniejszemu, następnie feodalizm ulegał rządom absolutnym, przekształcającym się w formę rządów liberalnych.

Stany Zjednoczone w wyjątkowych pod tym względem powstały warunkach. Ludzie zagarniający sobie ziemię obecnych Stanów Zjednoczonych, przynosili z sobą elementy nagromadzonego wiekami doświadczenia cywilizacyjnego i jakkolwiek zrywali z tradycyami i chcieli nowe stworzyć życie, nie potrzebowali przebywać mozolnej fazy form pierwotnych. Rezultatem tego jest rozwój państwa gwałtowny i podziwu godny.

W głównych zarysach, pomijając najważniejsze wypadki historyczne jak wojna o niepodle-

głość, wojna Stanów północnych z Południowemi, geneza powstania Stanów Zjednoczonych tak streścić się daje: każda grupa kolonistów, przybywszy do Ameryki, obierała sobie siedlisko o ile możności ustronne, niszcząc prawem mocniejszego żywioły miejscowe. Każda grupa, osiadłszy, obierała sobie zajęcie najstosowniejsze do danej miejscowości. W ogóle początkowe życie kolonistów pełne było trudów i niebezpieczeństw, wyrabiając w nich energię, inicyatywę, przedsiębiorczość. Przebywszy pierwsze najcięższe chwile, zaczęły się wykazywać potrzeby i zamiłowania. Powstawały one i rozradzały się rozmaicie, stosownie do klimatu, gruntu i flory, z uwzględnieniem nadto obyczajów rasowych, koloniści bowiem składali się z różnych europejskich narodowości. W każdej miejscowości powstawały inne teorye co do zapatrywań poszczególnych. Teorye te, wszedłszy i utrwaliwszy się w formie obyczajów, urobiły się następnie w prawa, któremi posługiwała się dana okolica. Skutkiem stopniowego lecz gwałtownego zaludniania się, okolice owe czyli stany, zbliżały się ku sobie, zagarniając coraz znaczniejsze obszary gruntów, aż wreszcie granice się zetknęły. Stan każdy zachował wszakże odrębność, dzięki prawom, któremi się rządził i jakie, będąc urobione dla miejscowych jedynie warunków, jemu tylko przysługiwać mogły z korzyścią. Stosunki wszakże między stanami powstawały, potęgowały się z dniem

każdym. Mimo więc, iż każdy stan pragnął zachować indywidualną właściwą sobie odrębność, zrodziła się myśl łączności. Rezultatem jej dojrzenia była federacya Stanów, uznanie spisanej konstytucyi, oraz władzy jednego dla wszystkich stanów prezydenta, w asystencyi Senatu oraz Izby reprezentantów narodu.

* * *

Narody zwykły stawiać u szczytu swych instytucyj rodzaj bóstwa, manifestując w ten sposób atawistycznie dawno przebrzmiały kult fetyszyzmu. Taki fetysz jest uosobnieniem ojczyzny, czci go i kocha naród cały, gotów w każdej chwili życie swe narazić dla ratowania go w potrzebie. W krajach o rządzie monarchicznym, bóstwem takiem jest człowiek z krwi i kości w postaci monarchy; czasami zdarza się, iż bóstwo jest tylko zmateryalizowaną abstrakcyą, jak naprzykład Rzeczpospolita we Francyi przedstawiana w postaci młodej pełnej siły kobiety. W Stanach Zjednoczonych fetyszem jest czysta abstrakcya, jest nim bowiem akt ogłoszenia niepodległości oraz konstytucya. Tekst konstytucyi czczony jest jak świętość najwyższa przez każdego obywatela Stanów Zjednoczonych, dzieci uczą się go w szkole, a przy każdej ważniejszej uroczystości publicznej bywa głośno czytany, co zajmuje 23 minuty. Konstytucya ułożoną została w roku 1788 i jakkolwiek niemało przybyło do niej nowych artykułów, duch jej pozostał

równie wzniosły i rozumny, świadcząc wymownie o szlachetności uczuć tych, którzy skreślili ją pierwotnie.

Stany Zjednoczone składają się ze Stanów i Terytoryów. Każdy stan posiada swoją niezależność i własny samorząd, lecz, należąc do federacyi, wchodzi w skład całości narodowej i ulega prawom przez konstytucyę zakreślonym. Rządzenie i czuwanie nad dobrem ogólnem Stanów, złożone jest w ręce władz: wykonawczej, prawodawczej i sądowej. Władza wykonawcza, opierając się na prawach zawartych w konstytucyi, zajmuje stanowisko pierwszorzędne. Drugie po niej zajmuje Ciało prawodawcze, równie jak pierwsze działające w duchu konstytucyi.

* * *

Prezydent Stanów Zjednoczonych, obierany jest wprost przez naród za pośrednictwem delegatów wysyłanych w tym celu przez każdy stan od siebie. Prezydent obierany jest na lat cztery, z zastrzeżeniem, iż po raz drugi lecz nie więcej może być ponownie na tę godność wywyższony. Pensya prezydenta wynosi 250,000 franków, co w kraju tak bogatym a stosunkowo drogim jak Stany Zjednoczone, jest sumą skromną, dozwalającą mu zaledwie na przyzwoite utrzymanie, zwłaszcza skutkiem ciężarów reprezentacyjnych, które prezydent ponosić musi z urzędu. Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych Jerzy Wa-

szyngton mógł otaczać się zbytkiem, lecz działo się to dzięki osobistej wielkiej jego fortunie. Na posiedzenia kongresu udawał się w powozie zaprzężonym w sześć rasowych koni, lecz następca już jego, Jefferson, przybywał na posiedzenia jednokonnym wózkiem, którym sam powoził i konia przed pałacem sam przywiązywał do kółka!...

Prezydent Stanów Zjednoczonych nie jest czem innem, jak tylko wysokim urzędnikiem, pewnym, iż na urzędzie pozostanie lat cztery. Można jeszcze porównać go do dyrektora wielkiej kompanii handlowej, którą zarządza ku dobru akcyonaryuszów, znając swą odpowiedzialność przed nimi. Władza prezydenta Stanów Zjednoczonych, dość ograniczona na wewnątrz, staje się decydującą we wszystkich sprawach dotyczących polityki zewnętrznej.

Prawa i obowiązki prezydenta streścić się dają w sposób następujący:

Jest jedynym przedstawicielem państwa; ma naczelne dowództwo nad armią lądową i morską; posiada moc zawierania traktatów z państwami ościennemi; zwołuje Izby; oficyalnem poparciem swem decyduje zatwierdzenie danego prawa; naznacza ze swego ramienia wszystkich głównych urzędników w całej Federacyi; nadto posiada prawo „veto“, to jest: może opierać się uchwale zatwierdzonej przez kongres, odsyłając takową napowrót Izbom. Położone przez prezyden-

ta „veto“ przeforsowane może być jedynie wtedy, gdy Izby, chcąc koniecznie daną uchwałę przeprowadzić, zwołają się na posiedzenie zbiorowe, czyli złożą kongres, dwoma trzeciemi głosów oświadczający się za pominięciem „veto“.

Prezydenci Stanów Zjednoczonych, szczodrze zawsze korzystali z przysługującego im prawa „veto“. Obecny prezydent Cleveland, w pierwszym roku swego urzędowania, odesłał kongresowi 115 uchwał, czyli „billów“.

Gabinetu ministrów, w znaczeniu jakie nadajemy temu wyrażeniu w Europie, niema w Stanach Zjednoczonych. Ministrowie są tu właściwie sekretarzami prezydenta, który ich dobiera i mianuje dowolnie, wyznaczając im przynależny dział urzędowania. Ministrowie nie uczestniczą w obradach kongresu, są oni jedynie wysokimi urzędnikami stanowiącymi radę przyboczną i wykonawczą prezydenta.

Jest ich siedmiu: 1) Sekretarz państwa, będący zarazem ministrem spraw zagranicznych, piastuje urząd pomiędzy nimi najwyższy. 2) Minister finansów. 3) Minister wojny. 4) Minister marynarki. 5) Minister sprawiedliwości, będący zarazem prokuratorem generalnym. 6) Minister poczt i telegrafów. 7) Minister spraw wewnętrznych. Ten ostatni nie posiada zbyt rozległej władzy i znaczenia, skutkiem niezależności Stanów, posiadających samorząd każdy oddzielnie. W atrybucye ministra spraw wewnętrznych wchodzi zarząd

dóbr państwa, nadzór nad kolejami żelaznemi, oraz regulowanie kwestyj często wytaczanych przez resztki dogasających plemion czerwonoskórych indyan.

Solidarność pomiędzy ministrami nie panuje żadna i usunięcie się jednego, w niczem nie obowiązuje pozostałych kolegów do porzucenia urzędu. Ministrowie odpowiedzialni są tylko względem prezydenta, który znów odpowiedzialnym jest jedynie przed narodem.

* * *

Artykuł pierwszy konstytucyi Stanów Zjednoczonych mówi: władza prawodawcza spoczywa w ręku kongresu, dzielącego się na Senat i Izbę reprezentantów narodu.

Prócz władzy prawodawczej, Senat posiada jeszcze i władzę wykonawczą a mianowicie: potwierdza traktaty zawarte przez prezydenta, oraz nominacye wyższych urzędników państwa; prócz tego Senat stanowi trybunał w razie zdrady stanu.

Posiedzenia Senatu przypominają w wielu szczegółach obyczaje angielskie. Mówca np. przemawia wprost ze swego fotelu i zwraca się bezpośrednio do prezydenta. Posiedzenia Senatu nacechowane są spokojem i powagą.

Prawie bez wyjątku, każdy senator posiada milionową fortunę i grono ich stanowi arystokratyczny element miejscowy; na urząd senator-

ski wielu jest zawsze kandydatów posiadają oni pierwszeństwo przed ministrami.

Izba reprezentantów narodu wręcz inny przedstawia charakter, jest ona czysto demokratyczną. Posiedzenia słyną hałaśliwością, zachowanie się członków wiele pozostawia do życzenia, nikt zdaje się nie słuchać mówcy, nie przywiązując znaczenia ani do słów jego, ani do urzędu jaki piastuje.

Sala posiedzeń Izby mieści się w południowem skrzydle Kapitolu. Oświetlenie pada z góry przez oszklony dach a tuż pod nim obiega salę galerya, mogąca pomieścić 2,500 obywateli, chcących uczestniczyć w obradach. Fotele reprezentantów oddzielone niewielką od siebie przestrzenią, ustawiane są w półkole zwrócone ku trybunie prezydenta. Fotele okręcają się na śrubach i przed każdym stoi rodzaj biurka. Trybuna prezydenta jest olbrzymia i cała z marmuru. Naokoło sali, po za fotelami i trybuną, ustawione są miękie kanapy dla publiczności, która rozmawia głośno w czasie posiedzenia Izby, je, pije i pali.

Zwiedzałem sale posiedzeń Izby w wielu bardzo krajach. Pod względem powagi i uroczystości zachowania się deputowanych, pierwsze miejsce należy się Holandyi, ostatnie zaś bezwarunkowo Izbie reprezentantów Stanów Zjednoczonych.

Członkowie Izby reprezentantów są w znacznej części adwokatami i jak mi niejednokro-

tnie mówiono, adwokatami średniej wartości, zdolni bowiem ludzie wolą zajmować się klientelą o wiele większe przynoszącą im zyski. Wnioskodawca nowego prawa, może rozwijać projekt swój dowolnie, inni zaś mówcy mają czas ograniczony. Mogą mówić nie dłużej jak godzinę, w niektórych zaś wypadkach tylko pięć minut. Mówca ma zawsze prawo ustąpienia głosu komu zechce z kolegów, lecz na czas ściśle ograniczony. Na szczęście istnieje prawo przemawiania w kwestyi formalnej, inaczej bowiem nigdyby nie można załatwić najważniejszych kwestyj bieżących; przeciętna cyfra roczna przedstawionych do rozpatrzenia praw nowych lub dodatkowych, dochodzi do przestraszającej cyfry 7,000.

* * *

Najmozolniejsza część pracy prawodawczej załatwianą jest przez „Komitety“. Corocznie, natychmiast po zebraniu się Izb na nowo, prezydent ustanawia 54 komitety, z których każdy składa się z jedenastu lub trzynastu członków. Każda nowa propozycya prawa, odsyłana bywa do odpowiedniego komitetu, który, przejrzawszy ją, składa treściwy raport Izbie. Zatwierdzone przez Izbę reprezentantów prawo idzie pod głosowanie Senatu a następnie, w razie możności decyzyi Izb, przedstawione zostaje komitetowi Senatu, czyli komitetowi konferencyjnemu, złożonemu z trzech senatorów i trzech reprezen-

tantów, panowie ci rozstrzygają kwestyę decydująco.

* * *

Załatwianie się z budżetem, stanowi główną sprawę we wszystkich parlamentach. Po uchwaleniu wydatków, zachodzi zawiła kwestya, jak z niemi zrównoważyć dochody. Zwykle te ostatnie nie pokrywają dostatecznie pierwszych. W Stanach Zjednoczonych rzecz się ma na odwrót, dochody państwa bowiem, wpływające głównie z cła od towarów przywożonych, przewyższają o wiele rozchody. Dla zapobieżenia przepełnieniu skarbu, „komitet pensyj“ hojnie udziela zapomogi i stałe emerytury zasłużonym żołnierzom wojny secesyjnej, jak również czuwa nad losem wdów ich oraz dzieci. W roku 1887 pensye tego rodzaju przewyższyły cyfrę 375 milionów.

* * *

Każdy ze sfederowanych Stanów posiada swoją instytucyę i trybunały sądowe. Po nad wszystkiemi trybunałami Stanów istnieje władza sądowa najwyższa i dla całej federacyi wspólna, zwana „Sądem najwyższym“. Jest to ciało najważniejsze ze względu na uznanie i szacunek jakim jest otoczone.

„Sąd najwyższy“ pozostający pod prezydencyą „chief justice“ (naczelnika sprawiedliwości,) składa się z dziewięciu członków stałych, w razie

śmierci zaś, dobieranych przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, z zatwierdzeniem Senatu. Są to jedyne w Ameryce figury oficyalne, noszące mundur. Sąd najwyższy rozstrzyga najważniejsze sprawy tak dotyczące spraw państwa na wewnątrz jak i na zewnątrz. Władza jego rozciąga się zarówno w kwestyach dotyczących marynarki jak i traktatów z państwami zagranicznemi. Główną zaś jego rolą jest czuwanie nad nienaruszalnością konstytucyi. Jakieby nie było prawo uchwalone i zatwierdzone przez Izby nieodwołalnie, może być zwalone, jeżeli „sąd najwyższy“ uzna to za potrzebne. Władza nieograniczona spoczywająca w rękach „sądu najwyższego“ nigdy dotychczas nie wywołała najlżejszego oporu lub niezadowolnienia, dzięki oględności, z jaką postępuje prezydent Stanów Zjednoczonych oraz Senat, przy obiorze nowego członka. Osobistości wchodzące w skład „sądu najwyższego“, oceniając i przejmując się ważnością piastowanego urzędu, stoją niewzruszenie na stanowisku absolutnej bezstronności. Składem swym stanowią zasadę, niezbędną dla miarkowania zapędów młodego a zatem burzliwego narodu; wsparci na konstytucyi, czuwają nad jego bezpieczeństwem.

* * *

Podział terytoryalny Stanów Zjednoczonych na Stany i Ziemie czyli Terytorya, mające samorzą-

dy oddzielne i sobie właściwe, przedstawia niejakie podobieństwo ustroju ze związkiem kantonów szwajcarskich w Europie. Rozległość i ludność stanów jest rozmaita. Stan Texas np. posiada 265,780 mil kwadratowych, podczas gdy Stan Rhode Island ma rozległości zaledwie 1,250 mil. kwadr. Stan New-York liczy przeszło 6 milionową ludność, gdy stan Nevada ma tylko 65,000 mieszkańców. Każdy posiada własną konstytucyę, zastosowaną do potrzeb miejscowych. Pierwotna wszakże różnica, istniejąca pomiędzy konstytucyami sfederowanych stanów, dąży coraz wyraźniej ku pewnemu ogólnemu zidentyfikowaniu się, dzięki coraz ściślejszym stosunkom, wywiązującym się wskutek tożsamości wspólnych interesów całej Unii.

Na czele władzy wykonawczej każdego stanu, stoi wybrany drogą głosowania gubernator Prócz gubernatora, każdy stan posiada dwie Izby, swoje prawa cywilne, karne, handlowe, jak również odnośne trybunały. Ustrój państwowy przedstawia więc charakter zupełnej niezawisłości, ograniczonej jedynie prawami konstytucyi federalnej.

„Ziemią“ czyli „terytoryum“ nazywa się stan niezupełnie jeszcze uformowany. Terytorya nie mają swych przedstawicieli w składzie kongresu, to jest nie wysyłają do Waszyngtonu ani senatorów, ani reprezentantów, nie biorą też udziału przy wyborze prezydenta. Wyżsi urzędnicy „terytoryów“ są mianowani przez władze federalne.

Ludność zamieszkująca terytorya posiada tylko miejscowe prawa polityczne. Z biegiem czasu, a więc rozrostu ludności, podniesienia się kultury i bogactwa, terytorya dopełniają swą organizacyę wewnętrzną i zamieniają się na stany. Dwa terytorya nie posiadają dotychczas żadnej rzecz można organizacyi: Alaska, kraina śniegów i prawie bezludna, oraz Arkanzas, zamieszkany przez czerwonoskórych indyan.

Prócz stanów i terytoryów istnieje jeszcze dystrykt Kolumbii, wśród którego wznosi się miasto stołeczne Waszyngton. Dystrykt Kolumbii jest wspólną własnością całej Unii, choć jest w rzeczywistości zupełnie niezależnym.

Dystrykt ten nie posiada ani Izb, ani rady miejskiej lub lokalnej, administracya spoczywa w zupełności w rękach trzech komisarzy, mianowanych wprost przez prezydenta.

* *
*

Cała machina polityczna i administracyjna Stanów Zjednoczonych, złożona z tylorakich części składowych spoczywa całkowicie na systemie elekcyjnym. Ruch przedwyborczy dzieli się w Stanach Zjednoczonych na dwa polityczne obozy: demokratów i republikanów. W rzeczywistości zaś, prócz tych dwóch stronnictw, istnieje wiele pomniejszej doniosłości, lecz pragnących ustawicznie zaznaczyć swoją żywotność. Każde stronnictwo posiada na celu: zagarnięcie władzy,

czyli przewagę swego wpływu nad innemi. Chęć dopięcia tego upragnionego przez wszystkich celu, wywołuje ustawiczne wzajemne współubieganie i walkę. Dla wzmożenia się na siłach, to jest przyciągnięcia ku sobie jak najliczniejszych stronników, poruszane są w właściwym kierunku nietylko kwestye polityczne i społeczne, lecz, i to przeważnie, interesa miejscowe, wykazujące wyniknąć mogące korzyści. Wpływy prywatne poszukiwane są z zadziwiającą zręcznością. Wobec ilości różnorakich wyborów, wobec ilości stronnictw politycznych i społecznych, mogących wywołać chaotyczne rozprzężenie umysłów, wytworzyła się warstwa specyalna ludzi, uprawiających politykę i z niej żyjących jak z rzemiosła, tak jak szewc żyje z szycia butów, lub kowal z kucia młotem.

Politycy z rzemiosła są to zazwyczaj ludzie, którym się nie powiodło na polu „businessu“. Dzielą się na dwie główne kategorye: wielkich i małych.

Polityk „wielki“ pragnie przedewszystkiem posiąść mandat na reprezentanta stanu i wejść w skład kongresu, lub pozyskać posadę gubernatora. Zadaniem jego jest zdobycie pożądanej ilości wpływów, by dojść do owej posady przedstawiającej się w jego umyśle w formie kapitału, mogącego wielkie przynosić procenty. Posiadłszy bowiem posadę a zarazem odpowiednią władzę, używać jej będzie na korzyść syndykatu kupców,

przemysłowców i t. d., do których sam należy, lub którzy mu zapewnią w danym razie odpowiedni udział w zyskach. Interesa trzeba zawsze jako interesa traktować i z amerykańskiego punktu widzenia, „polityka“ zakresu „business“ bynajmniej nie przekracza.

Polityk „mały“ nie dąży tak wysoko. Początkowo był adwokatem, dziennikarzem a często księdzem. Rzuciwszy swe zajęcie dla uprawiania polityki, przypuszczając większe na tem polu zyski, rozpoczyna swą nową karyerę od początku, to jest staje się agentem wyborczym. Celem zaś jego pragnień jest posada administracyjna. Nawet w razie powodzenia, zyski polityka tej kategoryi nigdy nie mogą być wielkie, mimo to wszakże, znaczna stosunkowo jest ilość ludzi chętnie rzucających się na tego rodzaju przedsiebiorstwo. Objaw ten przypisać należy wspólnemu wszystkim amerykanom zamiłowaniu do hazardu, jest tu bowiem niepewność a zarazem możność pozyskania posady płatnej gorzej lub... lepiej. Polowanie na posady jest więc spekulacyą, mogącą przynieść mniejsze lub większe zyski.

* * *

Politycy z rzemiosła przedstawiają wielką rozmaitość typów. Zależnem to jest od stanu, w którym działalność swoją rozwijają, od gatunku reklamy, którą się posługują, wreszcie od posady,

której otrzymanie stanowi cel wszystkich ich życzeń i dążności.

Poznałem niejakiego pana Johnsona, stanowiącego typ dość często napotykany. Ów pan Johnson ukończył szkoły, znał dobrze łacinę a nawet nieco język francuzki. Usposobienia spokojnego i melancholicznego, był najpierw pastorem purytańskim. Z powierzchowności wybornie nadawał się ku temu zawodowi. Z twarzą bladą i surową, osadzoną na wysokiej, cienkiej i niezgrabnej postaci, stworzonym się być zdawał do długiego, staroświeckiej formy tużurka, używanego przez prowincyonalnych pastorów. Ożenił się z kobietą o wiele od siebie starszą, brzydką, lecz zawziętą purytanką. Całą swą młodość strawił na dociekaniu tekstów biblijnych, starając się je stosować do praktyki życiowej. Pragnął, by słuchacze głoszonych przez niego kazań odnosili korzyści duchowe jak największe, nie pomijając wynikającego czy wyniknąć ztąd mającego podług teoryi pana Johnsona zdrowia fizycznego, dozwalającego w prostem następstwie na oddanie się ciągłej i wytrwałej pracy, prowadzącej do pozyskania nietylko dobrobytu, lecz obfitych korzyści materyalnych. Zasadą jego była powściągliwość w różnem zastosowaniu. Powściągliwość np. w piciu, dostarczyła mu wielkiej ilości materyału do ułożenia przeszło dwudziestu kazań, które olbrzymie wywarły wrażenie na wszystkie bez wyjątku... dewotki w ogóle trunków nieużywające.

Z wiekiem wzmogła się ambicya w spokojnym za młodu Johnsonie. Dochody kościelne nie zwiększały się, podczas gdy rodzina o jednego członka zwiększała się regularnie corocznie. Postanowił zmienić uprawiany dotychczas „business“. Skrócił poły tużurka, głowę począł trzymać prosto (za młodu pochylał ją, jakby wiecznie pogrążony w zamyśleniu) i obrał politykę, jako nowe pole działalności. Zamiast głosić kazania ku zbudowaniu swych owieczek, zaczął je pisać w formie artykułów dziennikarskich, nie zmieniwszy nawet ulubionego swego tematu o dobrodziejstwie, wynikającem z powściągliwości w ogóle, z wyłuszczeniem okoliczności poszczególnych. Z pastora przemienił się w dziennikarza moralistę, w patryotę. Stanął pod sztandarem stronnictwa oponentów, obliczył bowiem, iż ztąd większe mogą dlań spłynąć korzyści materyalne. Po niejakim czasie rozszerzył zakres dodatnich wpływów powściągliwości, przez nią bowiem Stany Zjednoczone zajmą nietylko pierwszorzędne, lecz jedyne uznane stanowisko cywilizacyjne w Ameryce i na całej kuli ziemskiej. „Już dziś — powiada w jednym ze swych artykułów — obywatele Stanów Zjednoczonych powszechną zwracają uwagę swoją wyższością umysłową i obyczajową. Stany Zjednoczone to prawdziwa ojczyzna gentlemenów! Jeszcze jeden wysiłek a powściągliwość stanie się umiłowaną przez nich cno-

tą, znikną na zawsze przyćmione siłą duchową te nędzne państewka starej Europy, bez przyczyny właściwej dumne swą przegniłą cywilizacyą, będącą w rzeczywistości wyuzdaniem i głupotą, dozwalającą im gnuśnieć i podlegać tyranii i despotyzmowi!"...

W tym duchu pracując usilnie i wytrwale, nabył pan Johnson wkrótce wielkiej biegłości w kwestyach dotyczących spraw zagranicznych. Nastąpił dzień tryumfu dla stronnictwa, do którego należał i otrzymał posadę dyplomatycznego reprezentanta stanu. Po czeroletnich rządach prezydenta, obranego dzięki wpływom stronnictwa, nastąpiła zmiana prezydenta, obranego tym razem z przeciwnego obozu, pan Johnson utracił swą posadę i znów był dziennikarzem-apostołem... I tak popłynęło w dalszym ciągu życie pana Johnsona; naprzemian: raz był dyplomatą a po czterech latach znów dziennikarzem. W jednym z ostatnich swych artykułów przepowiada, iż „wkrótce ludność Stanów Zjednoczonych wzrośnie do cyfry 150 milionów a ilość posiadanego złota ogołoci zeń resztę świata, przez inne zamieszkanego narody"...

* *
*

Sposoby podtrzymania danego kandydata przy wyborach są zawsze mniej więcej jednakowe we wszystkich stanach. Wyborcy, chcący przeprowadzić daną osobistość, zawiązują „ring" czyli

ligę. Na czole ligi staje „boss“, rodzaj przywódcy, otoczonego licznymi pomocnikami, odgrywającymi rolę adjutantów. Ci wchodzą w porozumienie z przedsiębiorcami i pod-przedsiębiorcami wyborów, składającymi się z ludzi wygadanych, łatwych w obejściu, chętnie uczęszczających do „barów“ a w razie potrzeby mogących rzucić gdzie należy i jak należy, większą lub mniejszą ilością pieniędzy.

Liga trudni się zebraniem potrzebnych zawsze przy wyborach pieniędzy. Zbiera je za pomocą dobrowolnych składek, lub też nałożonego przez siebie podatku na tych, którzy w razie przeprowadzenia upatrzonego kandydata, liczą na takie lub inne przyobiecane lub upragnione posady. Czasy takie formowania się ligi nietylko wrą życiem, lecz wywołują prawdziwe zaburzenia. Po zorganizowaniu się należytem, występuje prasa, podtrzymywana pieniędzmi ligi. Boss stara się o jak najliczniejsze pozyskanie stronników i pieniędzy w tym celu nie szczędzi. Prócz pieniędzy, rzuca obietnice, zwołuje meetingi lub manifestacye na ulicach miasta. Częstokroć kandydat zawdzięcza swoje zwycięztwo zręcznie przygotowanej i puszczonej reklamie. Odgrywa on rolę towaru zachwalonego przez kupca, lub papieru giełdowego świeżo puszczonego w obieg...

W Stanach Zjednoczonych istnieje cała biblioteka broszur, mieszczących przepisy, jak należy przygotowywać wybory. Katechizmy tego ro-

dzaju są przeróżne, treściwe i szczegółowe. Istnieją również agencye dostarczające dziennikarzy, mówców, nowe pomysły reklamy a złe języki twierdzą, że dostarczają nawet... wyborców! „Politycy“ w Stanach Zjednoczonych stanowią charakterystyczne kółko ludzi, kółko czysto miejscowe i tutaj tylko możliwe. Urobili oni wielką ilość wyrażeń przez siebie tylko używanych. Działalność swoją prowadzą otwarcie, co nikogo to tutaj nie razi.

* * *

Zmiana prezydenta, oddziaływając na cały ustrój administracyjny, posiada wielką doniosłość dla wszystkich stanów Związku. Poprzedzająca ją kampania przedwyborcza najwięcej też jest ożywioną i ogólną. Jest to rodzaj wojny, jedyny w swoim rodzaju, tak skutkiem swej przyczyny, jak również ilości swych uczestników. W rzeczywistości rzecby można, iż kampania przedwyborcza prezydenta trwa w Stanach Zjednoczonych stale, nieustająco. Gdy tylko prezydent zostaje obrany, zaczynają się stawiać wnioski, co do przyszłych wyborów, wysuwają się nowi pretendenci, zwalczani przez jednych, popierani przez drugich. Stan taki trwa całe lat trzy, podtrzymywany przez prasę, polemizującą z sobą na temat dla publiczności zawsze miły, bo podniecający apetyty wszystkich. W czwartym roku obozy przeciwne bardziej wrogie przybierają pozy-

cye. Walki obozowe miast pojedynczych rozszerzają zakres i walczą z obozami miast innych, szerzy się walka, ogarniając całe Stany i staje się ogólną, wzrastając w zaciętości aż do dnia elekcyi delegowanych, mających głosować i stanowić o wyborze prezydenta.

Dwa ostatnie miesiące przed ostatecznym wyborem prezydenta, przedstawiają ciekawy wybuch namiętności ludzkich. Wybory stanowią wątek wszystkich rozmów i artykułów dziennikarskich, reklamy pełne są aluzyj lub niespodziewanych wybryków fantazyi miejscowej a zawsze ze ściśle określonym kierunkiem wyniesienia popieranego przez siebie kandydata. Zwykle kandydatów jest kilku. Rozrzucają oni po całym Związku drukowane swoje wyznanie wiary i przekonań, ściągając i wywołując w ten sposób zachwyt swych zwolenników a oburzenie stronnictw przeciwnych. Przebiegają kraj cały w towarzystwie licznych swych agentów, głosząc mowy na zebraniach, niejednokrotnie zaś z platformy wagonu kolejowego i pędząc coraz dalej, by co największe przebyć przestrzenie i niedać się ubiedz wzajemnie. Czyniona propaganda przechodzi w fazę fantastycznych rozmiarów, zwłaszcza dla nas, mieszkańców starej Europy.

* *
*

„Procesya“, czyli pochód uroczysty po ulicach miasta, stanowi ulubioną przez amerykanów for-

mę manifestacyi publicznej. Używają jej dla uczczenia historycznej rocznicy, objawienia swej radości lub wreszcie wykazania swych opinij.

Każdy bez wyjątku klub odbywa od czasu do czasu swoją „procesyę". W tym celu obiera wśród członków swych komisarzy, wynajmuje orkiestrę, zakupuje chorągwie z napisami zastosowanemi do okoliczności i w godzinie i dniu oznaczonym z góry za pomocą miejscowych gazet, oraz niezliczonej liczby afiszów, członkowie klubu ustawiają się rzędami i w porządku, uroczyście ruszają naprzód, przebiegając „procesyą" główne ulice miasta. W Stanach związkowych wschodnich, procesye odbywają się zazwyczaj a przynajmniej przeważnie bez wywołania hałaśliwych zajść ulicznych. Rzecz się dzieje przeciwnie w stanach zachodnich. Procesya reklamująca swe przekonania publicznym spacerem, spotyka się z procesyą uformowaną umyślnie w celu opozycyjnym. Następuje starcie na słowa, pięści, wreszcie wystrzały, guzy i rany padają niezliczone, a trupy częstokroć do kilkunastu dochodzą! W procesyach tego rodzaju biorą udział najznakomitsi nawet obywatele miejscowi. Ani wiek, ani urząd lub milionowa fortuna nie powstrzymuje ich od dziwacznego tego pochodu. Przywdziewają na taką uroczystość odświętne szaty, wstęgi lub wieńce opatrzone napisami, niosą chorągwie, mimo deszczu i błota, śpiewając zwrotki ułożone na dany temat i śpieszą za or-

kiestrą, hałaśliwością instrumentów ogłuszającą uszy przechodniów a cóż dopiero tych, których wiedzie ona w pochodzie!

Jakkolwiek dziwnym wydaje się nam ten obyczaj i wątpię, by kiedykolwiek mógł zyskać w Europie uznanie, wyznać wszakże muszę, iż czasami procesya imponujące wywiera wrażenie. Zwą ją wtedy „paradą“. Niekiedy owe „parady“ bywają nader okazałe ilością osób udział w nich biorących. W roku 1864 odbyła się w Nowym Yorku parada złożona z 60,000 osób, maszerujących korporacyami! Najliczniejsza korporacya „businessmenów“ składała się z 25,000 członków obecnych. Grupami postępowali bankierzy, adwokaci, przemysłowcy, wszyscy zgodnie manifestując w imię jednej i tej samej idei. Parada przybiera wówczas znaczenie wyższe, budzi uczucia patryotyczne, oraz zamiłowanie zasad demokratycznych.

VII.

Przymioty i wady amerykańskiego charakteru.

Często spotkać się można ze zdaniem: „amerykanin jest to anglik, pozbawiony swych przymiotów“. Bezzasadność tego zdania jest najzupełniejszą. Gdy przed wielu laty, pierwszy okręt angielski oparł się o ląd Ameryki północnej nie-

daleko Plymouth Rock, indyanie, niemogąc wymówić słowa „englisch", którem nowoprzybyli przedstawiali się tubylcom, przemienili je na „yangeese", zkąd powstało dziś jeszcze używane słowo yankee. Używane ono jest przeważnie w Europie; w Stanach Zjednoczonych i w ogóle w Ameryce, miano yankesów noszą tylko mieszkańcy Nowej Anglii.

Ludność Stanów Zjednoczonych jest wynikiem tak rozlicznego skrzyżowania się ras i narodowości, iż musi odmienny i tylko sobie właściwy posiadać charakter indywidualny. Klimat, kraj, warunki bytu, też nie pozostają bez wpływu. Prawda, iż większość mieszkańców jest pochodzenia angielskiego, lecz dziś mało już anglosaskiej krwi w nich płynie; skład jej skutkiem warunków zmienił się bezpowrotnie. Tak więc amerykanin nie jest ani lepszym, ani gorszym od anglika, lecz jest innym, odmiennej narodowości człowiekiem — jest amerykaninem.

* *
*

W Stanach Zjednoczonych nikt się nie zajmuje sprawami i szczegółami życia swoich sąsiadów. Jedyny pod tym względem wyjątek stanowią reporterzy, spełniający z urzędu wprost przeciwną rolę.

Panującą zasadą jest: każda istota ludzka stanowi jestestwo oddzielne i od innych niezależne. Tego rodzaju pojęcie wytworzyło przekona-

nie żywo i głęboko zakorzenione, iż każdy używać może i powinien jak największej swobody i wybierać najdogodniejsze dla siebie warunki bytu, nie troszcząc się bynajmniej o nikogo, prócz o własną osobę. Tak szeroko pojęte i zastosowane pojęcie swobody i prawa niezależności wywołuje wiele uczuć ujemnych, sprzyja bowiem rozwinięciu się egoizmu, lecz wpływa dodatnio na urabianie się charakterów oryginalnych, samodzielnych, nic niemających wspólnego z ogólną, cechą charakterów europejskich, które zawsze i bezustannie skrępowane względami przyjętych form i obyczajów szematycznie jednaki przybrały i starają się przybrać wygląd, w obawie, by w niczem nie odróżnić się jedne od drugich.

Amerykanie starają się o rzecz wręcz przeciwną. Najwyższym bowiem komplementem jest powiedzieć komuś, iż jest wielce oryginalny. Usiłowania w tym kierunku śmieszne częstokroć wywołują zdarzenia. Niedawno np. w jednem z miast prowincyonalnych odbył się ślub na welocypedach! Na główny plac miasta przybyli państwo młodzi i pastor, wszyscy troje, niezsiadając z welocypedów, załatwili rytualny obrządek zaślubin i zaraz po odczytaniu modlitwy, udali się w dalszą podróż. W Europie ślub tego rodzaju ośmieszonym byłby przez wszystkich, w Ameryce mówiono o nim wiele, dzienniki zapisały niemało szpalt o szczegółach życia państwa młodych, pastora, umieściły ich portrety,

lecz nikomu na myśl nie przyszło, by pomysł zakochanej pary ośmieszyć; przeciwnie, oryginalność jego ogólnie podziwiano. Specyalność zajmowania się i wyszukiwania oryginalnych pomysłów w tym rodzaju przyjęły na siebie dzienniki Stanów Zachodnich i Środkowych. Posłyszawszy o zdarzeniu najbłahszej doniosłości, lecz nacechowanym oryginalnością, wysyłają reporterów dla zbadania bliższych szczegółów na miejscu, by następnie delektować niemi swoich czytelników...

* * *

Amerykanie odznaczają się hojnością. Lecz jest to hojność specyalna; rzucają pieniędzmi w sposób szulerów, nieprzywiązujących zbyt wielkiego znaczenia do łatwo nabytego złota. Codziennie ryzykują utratę nabytego już majątku; w razie niepowodzenia, amerykanin bez chwili wahania rzuca się w wir nowych interesów i spekulacyj, w razie powodzenia sypie złotem w około, nierozumiejąc znaczenia i potrzeby oszczędzania. Dla niego oszczędność równoznaczna jest skąpstwu. Ugania się on za zdobyciem złota, pędzony żądzą zdobyczy, posiadanie bowiem mniejszą stanowi dlań rozkosz.

Nigdy nie słyszałem, by amerykanin zalecał swoim dzieciom oszczędność, podczas gdy bezustanie i od lat najmłodszych, mówi im o obowiązku zarabiania pieniędzy, sam zaś nigdy nie myśli o zmniejszeniu swych wy-

datków, lecz o pomnożeniu swoich dochodów. Prawie każdy amerykanin przechodził w swem życiu ciężkie chwile niedostatku; mówi o nich przy zdarzonej sposobności i chętnie w imię przebytych trudów dopomaga będącym w potrzebie krewnym, przyjaciołom a nawet prawie obcym sobie ludziom, o których uczciwości lub rzutkości wie z wiarogodnych źródeł. Solidarność tego rodzaju istnieje na przestrzeni całych Stanów Zjednoczonych, za wyjątkiem kilku miast najludniejszych, gdzie ludzie mniej mają sposobności do wzajemnego oceniania swych zdolności, gdzie giną w tłumie nagromadzonych i życiem gorączkowem trawionych jednostek. Natomiast na prowincyi, każdy młody człowiek posiadający opinię uczciwego i zdolnego pracownika pewnym być może znalezienia potrzebnego kapitału i kredytu dla wprowadzenia w wykonanie przedsięwzięcia, które obmyślił za środek do zdobycia fortuny. Posiadający ją zaufają mu z łatwością i dopomogą kapitałami, które rzadko kiedy tracą, częstokroć zaś wzbogacają się pomysłem początkującego młodzieńca, przypuszczonemi będąc do udziału w zyskach. Szczera i powszechna hojność i gotowość w dopomożeniu rozpoczynającemu karyerę, słusznie wzbudzać w nas powinna uczucie prawdziwego uwielbienia. Bogactwo Stanów Zjednoczonych po części ztąd właśnie wypływa.

* * *

Hojność stała się cechą narodową amerykanina. Objawy jej są rozmaite. Hojnym jest dla pożytecznych instytucyj, hojnym w niesieniu pomocy przyjaciołom, hojnym w tysiącznych objawach codziennego życia. Odbija się ona w całej pełni w stosunkach domowych, w życiu prywatnem. Gościnność amerykańska niema sobie równej. Zwykły egoizm bez śladu zastąpionym jest przez uprzejmą życzliwość. W miarę rozrostu swego majątku, amerykanin otacza się komfortem, z którego korzysta nietylko on i najbliższa jego rodzina, lecz jego przyjaciele i znajomi. Dom jego przestronny, zazwyczaj licznych gości mieści pod swym dachem, często całe miesiące wyczekujących w tem schronieniu lepszych dla siebie czasów, by przy zdarzonej okazyi wywdzięczyć się swemu chwilowemu gospodarzowi wzajemnością i ugościć u siebie w razie wypadku. Dziś jest on bogaty, nic więc naturalniejszego jak zwalenie wszystkich kosztów na niego; wdzięczność za okazywaną hojność, nie jest bynajmniej obowiązkową; hojność i gościnność bowiem, stały się naturalnemi przymiotami amerykańskich obywateli.

* * *

Podług obyczajów europejskich, gdy ktoś nieznany przybywa do nas w Paryżu, Londynie i t. d. z listem rekomendacyjnym od wspólnego znajomego lub przyjaciela, przyjmujemy tego kogoś

grzecznie, oddajemy mu jego wizytyę, zapraszamy raz lub kilka razy na obiad, lub do teatru i dumni jesteśmy ze skrupulatnie w naszem pojęciu spełnionego obowiązku.

Jak amerykanie pojmują znaczenie listu rekomendacyjnego, dowodzi następujący przykład z życia wzięty. Dla dogodności opowiadania, nazwijmy podróżującego francuza Duranem, że zaś rzeczy miały się tak a nie inaczej, ręczę, jakby tu o mnie samego chodziło. Pan Duran, po kilkomiesięcznym pobycie w Jackville'u, postanowił przenieść się na czas jakiś do Williamville'u, w celu zbadania miejscowych warunków bytu. Jeden ze znajomych z Jackville'u dał mu przeto list rekomendancyjny do p. P. C. Brown, jednego z właścicieli firmy Thompson Brown et Comp. w Williamville'u. Uprzedzony depeszą, Brown przybył na spotkanie Durana na dworzec kolei żelaznej, powitał jak przyjaciela i nim p. D. miał się czas opatrzeć, znalazł się w pałacu Browna; został przedstawiony pani i pannom Brown, wreszcie zaprowadzony do wytwornego pokoju z łazienką i salonikiem, przygotowanym na jego intencyę. Brown oświadcza Duranowi, iż mieszkanie to oddaje mu na wyłączną używalność przez cały czas jego pobytu w Williamville'u, uprzedza o godzinach śniadania i obiadu, ofiaruje swoje usługi w miarę potrzeby w rzeczach ważniejszych, jeżeli zaś p. D. chodzi przeważnie o poznanie ciekawości miasta, o stosunki towarzy-

rzyskie, to pani i panny Brown najchętniej mu w tem dopomogą. I rzeczywiście, w trzy dni po przybyciu Durana do Williamville'u, miało miejsce w domu państwa Brown uroczyste przyjęcie, na które goście zostali sproszonemi za pomocą licznie rozesłanych kart treści następującej:

„Państwo P. C. Brown mają zaszczyt prosić (pana lub panią) o przybycie do ich domu na wieczór dzisiejszy, wydany dla uczczenia pana Durana z Paryża“.

U drzwi głównego salonu, pan Duran stał tego wieczoru tuż obok rodziny Brown, która, witając przybywających, zapoznawała ich natychmiast z gościem z Paryża. Wszystkie znaczniejsze osobistości miasta przedefilowały przed zdumionym tą uprzejmością francuzem, który w następstwie niejednokrotnie jeszcze doznawał podobnych dowodów gościnności amerykańskiej. Nazajutrz po wieczorze u państwa Brown, wieczorze trwającym do późnej nocy, p. D. otrzymał niezliczoną ilość kart wizytowych z zaproszeniami na bale, obiady, garden-partie, tea-partie, jednem słowem paryżanin miał otwarte dla siebie domy wszystkich bogatszych ludzi w Willamville'u. Pobyt w Stanach Zjednoczonych w tych warunkach, porównać można do najrozkoszniejszych marzeń wyobraźni. Tego rodzaju gościnności nie zapomina się nigdy!

* * *

W całej rzec można Europie panuje wszechwładnie obyczaj, iż o kwestyach pieniężnych, o interesach, jakkolwiek myślimy często, rzadko kiedy mówić nam o nich należy, pozostawiając tę specyalność bankierom, przemysłowcom i kupcom. Po za specyalistami tego rodzaju, kwestye pieniężne poruszane są jak najrzadziej, tajemniczo, głosem przyciszonym, jakby należało tylko mówić ukradkiem o rzeczach tak poziomych i nas niegodnych. A jednak czyż kwestye pieniężne pozostawiają nas obojętnymi? Nie, zajmujemy się niemi, myślimy prawie bezustannie—czuwamy tylko, by nikt tego po nas nie odgadł! Tej właściwości naszego wychowania i obyczajów, amerykanie bynajmniej nie uznają i trudno byłoby im dowieść, iż niemają racyi. Pieniądz dla amerykanina jest tem, czem rzeczywiście być powinien, to jest widomą wartością pracy i jej wyniku. Ktoś zdobywający pieniądze za pomocą wysiłku swoich muskułów, swojej inteligencyi, umiejętnego obliczenia popartego powodzeniem, nigdy właściwego celu swych zabiegów ukrywać niepowinien, bo żadnej ujmy nikomu to nie przynosi. W Ameryce często zdarzyło mi się słyszeć: „Patrz pan, ten oto człowiek, wart jest dziesięć milionów dolarów“ i amerykanin pokazujący mi takiego szczęśliwca, sam jest dumny z niego, tak jak np. paryżanin pokazujący nowo przybyłemu do Paryża cudzoziemcowi Pasteura, doktora Charcot lub Aleksandra Dumasa!...

Prawie w każdem miasteczku amerykańskiem istnieje orkiestra złożona z amatorów, między którymi są ludzie wielkie posiadający fortuny. Amatorzy zbierają się dla swojej przyjemności w wynajętej w tym celu sali raz lub dwa razy do roku i występują z koncertem publicznym, którego dochód przeznaczony jest na pokrycie wydatków, jakie ponosili przez rok cały. Toż samo zastosowanie praktycznych występów publicznych, istnieje nietylko na polu muzyki, lecz jest ogólne we wszystkich stowarzyszeniach amatorskich, uprzystępniając wstęp do nich mniej zamożnym. Niejednokrotnie bywałem obecny, zwłaszcza na popisach publicznych towarzystw gimnastycznych, gdzie aktorami w cielistych trykotach byli milionerzy miejscowi! Młodzi ci ludzie, bawiąc się cały rok wedle swoich upodobań, nabierali zręczności i siły ciała, jeżeli zatem bierze nas chętka popatrzenia na wykonywane przez nich ćwiczenia, nic słuszniejszego jak zapłacić za swe miejsce, tak jak na każdem innem widowisku.

Organizacya każdego towarzystwa wymaga największej dozy pracy od swojego sekretarza. Po niejakim czasie urzędowania, sekretarz z takich lub innych względów uznaje, iż dogodniej mu będzie zrzucić się z urzędu i pozostać nadal w warunkach zwykłego członka. O postanowieniu swem zawiadamia towarzystwo naprzód a członkowie, w miarę zasług, jakie położył, robią mię-

dzy sobą składkę i ogłaszają bankiet pożegnalny. Prezes towarzystwa zaznacza w przemówieniu położone przez sekretarza zasługi i zwróciwszy się do bohatera chwili wręcza mu „czek“ w imię wdzięczności koleżeńskiej. Czek na sumę od tysiąca do kilkunastu tysięcy dolarów, względnie do towarzystwa, w którem pożegnanie sekretarza ma miejsce, przyjęty jest z wdzięcznością, wypowiedzianą w krótszych lub dłuższych słowach. Oklaski towarzyszą wybitniejszym chwilom uroczystości.

* * *

Źródłem dobrobytu i bogactwa Stanów Zjednoczonych jest głęboko zakorzenione uczucie w każdym amerykańskim obywatelu, iż powinien pracować i pracą zdobyć sobie jak najlepsze stanowisko, lepsze od stanowiska zajmowanego przez sąsiada. Zarówno w mieście jak na wsi, uczucie to ożywia tu każdego, wytwarzając siłę twórczą, ruch i postęp. Nikt tu nie próżnuje, pracując od lat najmłodszych do ostatniego swego tchnienia. We Francyi np. podziwiamy rozsądek człowieka, który, doszedłszy pracą do pewnego dobrobytu, porzuca zajęcie, ogranicza swe potrzeby w stosunku do zdobytego kapitału i przenosi się na wieś, by w ciszy i spokoju przepędzić ostatnie lata swego życia. W Stanach Zjednoczonych, człowiek tego rodzaju uważanymby był za niedołęgę, żyjącego kosztem społeczeństwa; do-

póki bowiem człowiek może się oddawać jakiejkolwiek pracy, powinien pracować, każda, chociażby słaba siła korzystną jest dla ogółu, zatracać jej zatem niewolno i nikt też o tem w Ameryce nie myśli.

Ambicya i pragnienie zdobycia majątku wytworzyły się w Ameryce do pewnego stopnia przymusowo, z konieczności. Ojciec zdobył majątek pracą osobistą, uważa więc za rzecz naturalną, by syn jego uczynił toż samo. Ojciec dopomoże synowi w pierwszej chwili, postawi go nawet na nogi, lecz nigdy żadnemu, najbogatszemu nawet ojcu w Ameryce nie przejdzie przez myśl, by syn jego mógł nic nie robić i korzystać z nieswojemi rękoma zarobionych pieniędzy. Niema w Amemeryce synów próżnujących, dzięki środkom dostarczanym im przez rodziców, niema też w Ameryce ludzi bezużytecznie czas swój marnujących. Od lat najmłodszych chłopiec wie, że tylko sam na siebie liczyć powinien, hojność ojca niedługo na niego sypać będzie dobrodziejstwami; doszedłszy też do właściwego wieku, a w Ameryce wcześnie on nadchodzi, chłopiec rozpoczyna karyerę z musu, by żyć miał z czego, by nie wyróżnić się od innych swych towarzyszów. Raz zacząwszy pracować, budzi się w nim ambicya pracowania korzystnie a otrzymane wyniki tej pracy pchają go wciąż naprzód, chwili tchnienia mu niedając, każdy odpoczynek bowiem mógłby go pozostawić w tyle za innymi. Wcześnie rozpoczęta praca,

podbudzana współzawodnictwem prowadzącem do przełamywania największych trudności, przynosi wczesne doświadczenie i dokładną znajomość obranej specyalności. Jakże dziwić się, iż w tych warunkach pozostając, amerykanie dochodzą do dobrobytu i zupełnej niezależności materyalnej za młodu, w wieku gdy w starej Europie biedny nawet młodzieniec uważa za rzecz naturalną, żyć kosztem swej rodziny. Kraj, złożony z obywateli zapatrujących się na swe zadanie życiowe z punktu amerykańskiego, musi pod względem ekonomicznym wysunąć się naprzód, musi otrzymać rezultaty dodatnie, amerykanie twierdzą, iż z tychże samych przyczyn, nikt im nie sprosta i pod względem moralnym.

* *
*

Amerykanin z namiętnością kocha Amerykę, uwielbia ją i jej mieszkańców, podziwiając się niejako osobiście w tej bezgranicznej miłości. Każdy cudzoziemiec spotyka się co chwila z pytaniem zakończonem w ten sposób:

— Cóż pan myślisz o Ameryce? Nic podobnego nie macie w waszej Europie!...

Wyrażenie „all the world“ (świat cały) powtarza się co chwila w rozmowie z amerykanami, lecz stosują je oni tylko do Stanów Zjednoczonych, reszta świata stanowi, ich zdaniem, nic nieznaczący dodatek. Prawie każdy naród posiada swoją dumę i zarozumiałość, nigdzie wszak-

że może nie manifestują się one z taką natarczywością, pewnością nieomylną posuniętą do naiwności, jak w Ameryce. Uczucie to jest wielce cennem ze względu na obowiązki, jakie nakłada, stanowi ono potężną podnietę ujawniającą się zawsze dodatnio, zadawalniając zaś patryotyzm, przynosi pewną dozę szczęścia i uspokojenia.

Względnie do wieku, amerykanin jest zadziwiająco wcześnie dla nas człowiekiem dorosłym, niezależnym i na swoją rękę działającym. Objaw ten jest wynikiem praktycznego wychowania, jakie otrzymał. Umie on pracować, przezwyciężać swe skłonności, usunąć do czasu to jest do zdobycia pozycyi, wszystkie przyjemności, wygodę i spokój. Na racyonalnych podstawach otrzymane wykształcenie szkolne dozwala mu z posiadanym zasobem wiadomości stanąć do walki z życiem, do pozyskania wiadomości specyalnych w obranym zawodzie. Niezależność, którą posiada od dzieciństwa, wyrabia w nim wcześnie poczucie odpowiedzialności a wcześnie znów zdobyte doświadczenie wyrabia w nim niezachwianą pewność siebie. W razie niepowodzenia, posiada niezłomną siłę woli i odwagę powetowania poniesionej straty, cecha ta jest u niego naturalna i widoczna w każdej porze życia.

Amerykanie cenią niesłychanie siłę fizyczną. W jednym z teatrów, gdzie miejsca na występy gościnne Sary Bernhardt kosztowały po 25 franków,

w parę tygodni później popisywał się siłacz i takież miejsca płacono po 50 franków!

* * *

Nigdzie kobiety nie są otoczone takiemi względami i szacunkiem jak w Ameryce. Amerykanin traktuje kobietę na równi z sobą, uważa za rzecz naturalną, iż żona jest różnych z nim poglądów, przyznaję bowiem racyę: że każdy ma właściwą sobie indywidualność. W małżeństwie staje się niewolnikiem pracującym dla zaspokojenia jej potrzeb — jeżeli jest biednym, jej zbytku — jeżeli jest bogatym. Amerykanka, wyszedłszy za mąż, nie pracuje nigdy, zajęcia domowe wystarczają na zapełnienie czasu, mąż zaś potrzebny dla zapewnienie dochodów.

* * *

W stosunkach towarzyskich amerykanin jest swobodny, może nawet zbytecznie, uprzejmy do familiarności, w ogóle nie uznaje i nie znosi żadnego przymusu.

Siedząc w fotelu, zakłada chętnie nogi na stół, bo chwilowo znajduje tego rodzaju pozycyę ciała za najdogodniejszą. W ubraniu często bywa zaniedbany, kapelusza prawie nigdy nie zdejmuje z głowy, kłania się i wita ruchem ręki, kiwnięciem głowy lub słowem, często niedbale rzuconem. Widziałem między innymi, pewnego członka kongresu przygotowywującego przyszłe swoje

wybory; objeżdżał miasto na wozie od wożenia towarów, zatrzymywał się na rogach główniejszych ulic, zrzucał kurtkę gdy mu było gorąco i, stojąc w pośrodku wozu w kamizelce, wygłaszał przed tłumem swoje opinie polityczne, skończywszy przemówienienie, wkładał zdjęte ubranie i jechał dalej do następującego natłoczonego ludźmi rogu ulicznego. Nikt z publiczności się nie dziwił i nikomu na myśl przyjść nawet niemogło, by w takowem zachowaniu się członka kongresu było coś ubliżającego dla powagi parlamentu.

Słyszałem nieraz milionerów przechwalających się, że nigdy nie mieli w swojej garderobie fraka, inni zaś z dumą wspominali o trudnych chwilach początkowej swej karyery, jak dla kawałka chleba pracowali w kopalniach, lub nosili ładowne paki na okręty w porcie. Sposób, w jaki te szczegóły życia opowiadali, widocznie był skierowany ku uwydatnieniu osobistych i wyjątkowych ich zdolności, widniała z każdego słowa duma i poczucie, iż nie każdemu jest dane z niczego dojść do milionowej fortuny. Z tymże celem zaznaczenia swej wyższości, nie zmienili dawnego sposobu ubierania się i obejścia towarzyskiego. Śmiesznem to jest niezawodnie, lecz początkującym na drodze dojścia do fortuny, przykłady tego rodzaju dodają otuchy a zatem nie są bezpożyteczne.

Jakże dziwnem wydaje się wobec pojęć tego rodzaju, rozpowszechnione zamiłowanie do tytułów. Każdy amerykanin nieużywający tytułu wojskowego, przybiera inny i jest: doktorem, sędzią, profesorem i t. d... Do tytułów tego rodzaju dochodzą z łatwością. W Stanach zachodnich każdy obywatel, który był żołnierzem w czasie wojny secesyjnnej, jest obecnie majorem, jeżeli posiada majątek niewielki, w miarę zaś zwiększania się ilości posiadanego złota, ranga jego stopniowo się wzmaga i znajomi nazywają go pułkownikiem lub generałem. Kapitanów jest obfitość niezmierna. Tytułu tego bowiem używają nietylko liczni wojskowi, lecz i dawni strażacy, dyrektorowie kopalni lub jakiegolwiek przedsięwzięcia, oraz żeglarze, chociażby tylko połowem ryb kiedyś byli zajęci. Do tytułu doktora rości sobie prawo każdy posiadający jakikolwiek dyplom naukowy a profesorami mianują się wszyscy nauczyciele, chociażby szkółek początkowych; przywłaszczają go sobie również nauczyciele muzyki, rysunków, tańca, wreszcie właściciele bud jarmarcznych sztuki magiczne uprawiających.

Żony używają tytuły swych mężów i na kartach wizytowych wypisują: „Pani doktór X“, „Pani profesor X“, „Pani sędzia X“, i t. d. Byłem świadkiem, jak gospodyni domu przedstawiała przybyłą damę: Madame assistant Fish commissionner Smith, (Pani pomocnik komisarza przedsiębiorstwa rybołówczego (firmy) Smith).

Zdarzają się komiczniejszego pochodzenia tytuły. Znałem pewnego amerykanina noszącego tytuł marszałka. Po bliższem zbadaniu racyi do szumnego tego tytułu, przekonałem się z własnego jego opowiadania, iż przed laty był organizatorem „procesyj“ w pewnej zapadłej mieścinie czy wiosce. Widziałem również zadziwiający tytuł wydrukowany przy nazwisku pod listem do jednego z dzienników: Grand potentate of the ancient Arabie order of mystic shrine (Wielki potentat byłego arabskiego orderu mistycznego relikwiarza)!

Naiwna i śmieszna żądza noszenia tytułu posiada wszakże w Ameryce dobrą stronę praktyczną, w każdym bowiem wielkiem mieście, napotykamy setki osób tegoż samego nazwiska, rozmaitość tytułów ułatwia nam trudne bliższe ich rozróżnienie i określenie.

* * *

W czasie jednej z mych podróży wodnych po wielkich amerykańskich rzekach i jeziorach, zapoznałem się ze strojną i wiekową damą, która przy obiedzie zasiadała po prawej ręce kapitana okrętu. Na karcie wizytowej miała wypisane: Pani Senator X... Po obiedzie rozmawiałem z nią na pokładzie okrętu. Mówiła dużo, głosem dobitnym, rozkazującym. Opowiedziała mi w krótkości historyę swego życia. Według jej słów, pochodziła ze znakomitej i bogatej ro-

dziny, mającej rozległe posiadłości w południowych Stanach. Ojciec jej był senatorem a mąż jest nim obecnie. Skutkiem urzędu męża, zamieszkuje stale w stolicy w własnym pałacu, w którym się znajduje jedna z największych sa- balowych w Waszyngtonie. Powiedziała mi nawet wymiary owej sali, lecz dobrze ich niepomnę. Podróżowała wiele, znała prawie całą Europę, zwłaszcza Paryż, gdzie przebywała czas dłuższy.

— W Europie często spotykałam zadziwiające sądy i opinie o naszych obyczajach amerykańskich. Przypisać to należy własnej waszej nieostrożności, iż wielu wzbogaconych raptownie ludzi jeżdżących do Europy, przyjmujecie w towarzystwach, najmniejszej nie zasięgnąwszy o nich wiadomości. Spotykałam w salonach paryzkich rodziny amerykańskie, które nigdyby nie były mogły marzyć w Ameryce, by spotkać się ze mną w towarzystwie. Ze stanowiska, jakie tu posiadam, zaledwie do kuchni mojej, wstępu bym im dozwolić była mogła. Nasze poczucia arystokratyczne daleko są silniej rozwinięte, aniżeli przypuszczać to możecie w Europie. Prawda, iż świat nasz jest nieliczny, rodziny bowiem arystokracyi amerykańskiej zamieszkują wyłącznie w Waszyngtonie, trochę się ich znajduje w Stanach wschodnich i w Stanach południowych. Reszta zaś ludności jest bardzo mięsza-

na, głównie składa się ona z nowo przybyłych emigrantów.

Obecnie pani Senator X. podróżuje dla dopełnienia edukacyi swej córki, ładnej siedemnastoletniej blondynki. Zwiedziwszy Stany Zjednoczone, ma zamiar popłynąć do Europy, by pokazać córce dwory panujące. Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem i dumnem spojrzeniem, rzuconem około siebie. Co chwila pani X. wspomina o swojem zięciu, mężu najstarszej córki. Zięć jest dyplomatą, przed którym najświetniejsza widnieje karyera, jest on a zwłaszcza stanie się niezadługo gwiazdą pierwszorzędną w konstelacyi gwiazd jej rodziny. Z pełnym pobłażliwości uśmiechem pani Senator X. mówi mi łaskawie, iż jestem jedynym człowiekiem, z którym może w czasie swej podróży rozmawiać, reszta bowiem ludzi zebranych na okręcie, nie należy do towarzystwa jej właściwego. Podziękowałem za tyle uprzejmości, lecz w duchu postanowiłem zbadać, kim jest właściwie ta wielka dama amerykańska. Kapitan okrętu objaśnił mnie szczegółowo. Dama mianująca się Senatorem X. była irlandką i żoną podrzędnego „polityka“ mającego dom w Waszyngtonie, ale dom zwyczajny, który wynajmuje przyjezdnym. Zięć zaś pani X. został mianowany niedawno sekretarzem przy ambasadzie boliwijskiej. Tak więc świetność rodu i majątku, była tylko blagą rzuconą podróżującemu europejczykowi!

* * *

Pijaństwo stanowi kapitalną wadę społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. Nigdzie, w żadnym kraju nie jest ono tak rozpowszechnione jak tutaj. Niezaprzeczalnym tego dowodem są niezliczone towarzystwa wstrzemięźliwości. Pijaństwu oddają się wszyscy, młodzi i starzy, bogaci i biedni.

Postanowiłem zbadać przyczyny tego nałogu i znalazłem następujące: naturalny pociąg do trunków, odziedziczony po przodkach, przeważnie anglikach; potrzebę sztucznego podtrzymania sił przy nadmiernej pracy; rozpajający gatunek używanego trunku, to jest alkoholu nazwanego „wiskey“ albo „gin“, a zastępującego tu wino, którego jest mało; w ogóle brak trunku wzmacniającego i orzeźwiającego, woda bowiem jakkolwiek dobra i chłodna, wykluczyć potrzeby napoju w rodzaju wina, piwa, jabłecznika i t. d. nigdy nie zdoła, zwłaszcza w narodzie zużywającym forsownie swe siły fizyczne i umysłowe. Wreszcie do przyczyn rozpowszechnienia nadmiernego trunków, zaliczam jeszcze przyjętą i ściśle przestrzeganą zasadę, iż dzieci pić powinny wodę bez żadnej alkoholicznej przymieszki. Owoc zakazany zawsze urok ma największy... Dzieci marzą o możności napicia się wiskey lub ginu a gdy tylko wydostaną się z pod ścisłego nadzoru domowego, piją bez miary, dla użycia, dla przyjemności a w dalszym ciągu z przyzwyczajenia i potrzeby.

Pijaństwo i w ogóle picie trunków źle jest uważane w kobiecie. Większość też kobiet powstrzymuje się od nałogu i nigdy nie oddają mu się publicznie. Pełne są wszakże wyrozumiałości dla swych mężów i co najwyżej nakładają na nich pewien rodzaj haraczu w postaci prezentów, które czynią je skłonnemi do przebaczania, w razie bezprzytomnych powrotów mężów w domowe progi.

Jeżeli jednak ładne amerykanki chętnie przyznają się otwarcie, iż lubią „Ice cream“ (lody), to przyznają się pod sekretem, iż lubią również „Coctail“, który przyrządzają wyśmienicie zabrawszy się w zaufanem kółku, zwłaszcza między sobą.

* * *

Często szkicowałem kilku zdaniami spotykane typowe sylwetki amerykańskie; z licznych moich szkiców podaje te, które napotykałem najczęściej.

Amerykanin jest wysoki barczysty z silnie rozwiniętemi członkami. Głowę trzyma prosto, nawet hardo. Twarz ma ociężałą, oczy żywe, inteligentne. Ubranie nosi luźne, nie zwraca on bowiem uwagi na wytworność lecz na wygodę jedynie. Jest uczciwy a wiele wymagając sam od siebie, wymaga też wiele od innych; jest łagodny, hojny, ufny w siebie, gardzi przyjętemi formami i postępuje wedle własnego uznania; posiada wyrobiony wcześnie zmysł praktyczno-

ści, ku której wytęża cały zasób swych zdolności umysłowych. Lubi gwar, upędza się za powodzeniem. Prawie bezustannie pozostaje w przekonaniu, iż ułożył wreszcie plan nieomylnego i szybkiego zdobycia milionowej fortuny.

Amerykanka jest szczupła, ładna, wytworna w ubraniu i upodobaniach, lubi się bawić, stroić, a przedewszystkiem lubi własną swą osóbkę. Wykształcenie posiada staranne, zasób wiadomości większy od mężczyzny. Jest łagodna, wesoła i zalotna — będąc panną, poważnieje — wybrawszy sobie męża.

VIII.

Tu i owdzie koleją żelazną.

Linie kolei żelaznych gęsto się krzyżują na przestrzeni Stanów Zjednoczonych a ku dogodności podróżujących kompanie kolejowe współzawodniczą z sobą wzajemnie, obniżając ceny, mnożąc udogodnienia w rozkładzie jazdy, obsłudze, komforcie wagonów, chcąc każda jaknajwiększą ilość osób ku swoim dworcom przyciągnąć. Pierwszenstwo w chwili obecnej należy się pod każdym względem kompanii „Pensylvania Railroad“, której pociąg „Vestibuled Limited Express“ są najszybsze, najtańsze i obliczone tylko na pewną ograniczoną cyfrę podróżnych.

Przestrzenie Stanów Zjednoczonych są wielkie, lecz amerykanie przebywają je często i chętnie, pod warunkiem wszakże, by podróż odbywała się w warunkach dogodnych z pewnym nawet zbytkiem. Inżynierowie wysilają się na zadowolnienie wymagań publiczności. Pociągi zwane Vestibuled Limited Express, kursujące pomiędzy Nowym-Yorkiem i Chicago stanowią wzór pod względem zaprowadzonych udogodnień. Olbrzymie wagony osadzone są na kołach z masy papierowej w ten sposób, iż ruchu i wstrząśnienia nieodczuwa się prawie żadnego, jak również niewydają one najlżejszego hałasu. Najmniejsze kąciki wagonu spożytkowane są dla dogodności podróżnych a wszystkie szczegóły obmyślane są z niezrównaną praktycznością i systematycznością dobrze złożonego zegarka. Wagon przeznaczoczony na sypialnię w nocy, stanowi podczas dnia wykwintnie urządzony salonik. Restauracya wydaje obiady, śniadania i porcye o każdej porze dnia, może przyrządzenie potraw pozostawia nieco do życzenia pod względem jakości, lecz w zamian jakiż zbytek i czystość panuje w kuchni i w zastawie stołów w jadalni! Służba złożona jest z młodych murzynów, przybranych w całości biało, z bukiecikami świeżych kwiatów na górnej wyłodze kurtki. Po śniadaniu lub obiedzie, podróżni przechodzą do salonu przeznaczonego dla palących. Ściany są wyłożone lustrami a licznie rozstawione wygodne fo-

tele zapraszać się zdają do spoczynku, lub rozmowy, ustawione są zaś w ten sposób, iż każdy widzi przesuwający się po za oknami wagonu krajobraz, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Obok salonu dla palących, znajduje się biblioteka, której książki są zostawione swobodnie ku rozrywce podróżnych, w pośrodku stoi stół, opatrzony wszelkiemi przyborami do pisania z papierem listowym i kopertami o cyfrach kompanii. umywalnie, water-closety, oświetlenie, godne są najbogatszych pałaców; łazienka licznych w czasie dłuższej podróży ściąga amatorów. Wraz z pociągiem, jeździ stale fryzyer i co dziwniejsze, prawie bezustannie jest zajęty...

* *
*

Widziany przez okna wagonu krajobraz, zmienia się co chwila. W miarę oddalania się od Nowego Yorku, miasta są coraz rzadsze a pola z mniejszą starannością uprawne. W pobliżu Harrisbourga, stołecznego miasta stanu Pensylwanii, zauważyłem niezwykle dziką i ponurą okolicę. Tor kolejowy pnie się po wązkiej drożynie wykutej w prostopadle zsuwającej się w przepaść skale, na dnie przepaści szumi i rwie się po kamieniach rzeka, którą chwilami tylko dostrzedz można, tak dalece wąwóz jest ścieśniony a tor kolejowy po nad łożysko rzeki wzniesiony. Olbrzymie łomy granitu spuszczają się nieregularnie tuż po nad pociągiem, są to resztki pozosta-

łe skał, gdy dla przeprowadzenia szyn biegnącego dziś po nich pociągu, inżynierowie rozsadzali cały bok wąwozu. Śmiałość pomysłu i wykonania linii kolei w podobnych warunkach zadziwić musi najwytrawniejszego turystę, ogarnia go również niepokój, obawa połączona z chęcą jaknajprędszego przebycia strasznego wąwozu, katastrofa bowiem zdaje się grozić co chwila i nastąpi tam ona prędzej lub później, daty jej tylko nie można oznaczyć ściśle. Chcąc użyć pełni wrażeń, obrałem sobie miejsce w ostatnim wagonie pociągu i to nie wewnątrz lecz zewnątrz, na schodkach platformy. Nic mi zatem nie zasłaniało krętego i ponurego wąwozu. Po jednej stronie mogłem dotknąć ściany granitowej galeryi, po której sunął nas pociąg, po drugiej zaś roztwierała się przepaść bezdenna. Najmniejszy skrawek ziemi nie zdawał się relsów od niej przedzielać, ułudne chociażby stanowiąc bezpieczeństwo. Z miejsca, które sobie obrałem, widzę dno wąwozu. Korytem wązkiem, pełnem zakrętów, rzeka huczy złowrogo, przebywając spieniona i zdyszana coraz to nowe a straszniejsze zawały, w postaci skał kiedyś oderwanych i na dno rzeki zwalonych. Miejscami naturalne tarasy rozszerzają nieco górną lub dolną część wąwozu. Tarasy, zależnie od swej wysokości, pokryte są bujną zielonością, rozlicznego gatunku roślin. Pociąg nasz posuwa się zwolna a dzwon umieszczony na lokomotywie, wciąż przeciągłe wydaje

dźwięki dla uniknięcia spotkania na bezustannych zakrętach. Zwierząt innych, prócz ptaków, prawie nie napotyka się nigdy w straszliwym wąwozie. W górze po nad naszemi głowami wąwóz zacieśnia się chwilami zupełnie, skały zdają się z sobą łączyć fantastycznie wyciągniętemi członkami, porosłe są gdzieniegdzie drzewami, z których każde, zwalone z tej wysokości na pociąg, najzupełniejszą przyniosłoby mu zagładę. Widzialne w górze niebo ponurem się być wydaje. Doznaję ulgi nieznanej, opuściwszy tę przepaść zgwałconą i zużytkowaną w swej tajemniczej dzikości, przez cywilizacyę dla wygody podróżnych.

* * *

W czasie podróży w wagonie zapoznałem się z młodem małżeństwem, jadącem w tę samą co i ja stronę. Państwo Jones są młodzi, mniej więcej w tym samym wieku, on jest inżynierem i jedzie do Stanów zachodnich by objąć dyrekcyę nad budową linii kolei żelaznej, ona towarzyszy mężowi. Pan Jones wyraża się poprawnie, miły jest w obejściu i mimo, iż ma lat zaledwie 25, mówi stanowczo i z wielką znajomością praktyczną, zwłaszcza o przedmiotach dotyczących jego fachu. Widać po nim wyraźnie, iż od lat już długich sam sobie daje radę w życiu i że śmiało spogląda w dalszą swoją przyszłość. Ona zaś jest ładna, drobna i szczupła, pełna

prostoty w obejściu a każde jej zdanie wyraźnie świadczy o rozległych wiadomościach, które zdołała systematycznie uklasyfikować w swej głowie. Wypowiedzianą opinię popiera dokumentami, bynajmniej nie pozując na uczoność. Rozmowa nasza toczy się swobodnie, przeskakujemy często z jednej kwestyi do drugiej, najczęściej wszakże mówimy o krajach wspólnie nam znanych. W pierwszym roku po ślubie państwo Jones zwiedzili Europę, dość szczegółowo znają Francyę, zwłaszcza Paryż, który poznawali z przewodnikiem w ręku, żadnej ciekawszej rzeczy nie pomijając z obowiązku, a jak mi zaręczali—ze szczerej dla Francyi sympatyi. Pan Jones zachwycał się nad wykonaniem niektórych robót inżynierskich we Francyi, często wszakże czynił uwagę, iż koledzy jego francuzcy zbyt wiele poświęcają czasu dla przyozdobienia i upiększenia dokonanej roboty.

— U nas takie rzeczy zupełnie są zbyteczne. Ornamentacya robót inżynierskich stanowczoby się nie opłaciła.

Zadziwiał się nad niezrozumiałą dla niego potrzebą czy zwyczajem rzeźbienia mostów, przyozdabiania dworców i gdyby nie wrodzona mu grzeczność, powiedziałby chętnie, iż wydawanie pieniędzy w sposób tak bezużyteczny, jest wprost śmieszne i nierozsądne.

— U nas, mówił, przedewszystkiem dbamy o pożytek, prędkość i taniość. Te trzy słowa

stanowią dewizę każdego inżyniera amerykańskiego.

Chcąc poznać bliżej zapatrywania p. Jonesa, odrzekłem:

— My zaś staramy się, by rzecz była trwała, lecz zarazem i piękna.

Odpowiedział spokojnie, powtarzając poprzednie swe słowa:

— U nas stanowczoby to się nie opłaciło...

Miałem pod ręką statystykę wypadków kolejowych we Francyi oraz w Stanach Zjednoczonych, w peryodzie ostatnich lat trzynastu. Nie powołałem się na nią, niechcąc zrobić panu Jonesowi przykrości. Statystyka bowiem twierdzi, iż w przeciągu lat 13, skutkiem wypadków na kolejach, przypada jedna śmierć na 2,840,000 podróżnych, podczas gdy we Francyi śmierć ponosi jeden podróżny na 24,000,000. Jasno ztąd wynika, iż dziewięć razy bezpieczniej jest jeździć francuzkiemi, aniżeli amerykańskiemi kolejami...

W ogóle państwo Jones stanowili bardzo miłe towarzystwo w podróży, zarzucam im tylko, iż wozili z sobą szkatułkę grającą, którą co jakiś czas nakręcali, wsłuchując się w jej brzęczenie, muzykę dla nich stanowiące!

Wozili wszakże i znakomicie opracowane dzieło geograficzne, oprawne na wzór mszału z klamrami. Często otwierałem tę księgę i za każdym razem ciekawe napotykałem fakta i spostrzeżenia, w oryginalny sposób ustawione. Wyczytałem

np., iż jeden ze stanów Unii—Texas, równa się swym obszarem trzem wielkim krajom europejskim razem wziętym: Francyi, Anglii wraz z cesarstwem Niemieckiem! Przestrzeń zaś dzieląca San Francisco od Nowego Yorku, równa się po trzykroć wziętej odległości pomiędzy Londynem a cieśniną Gibraltarską. Główna okolica eksploatacyi kopalni węgla, większą jest od Francyi złączonej wraz Anglią. Pojęcie o wielkości zmienia w Stanach Zjednoczonych wymiary, olbrzymiejąc do niebywałych w Europie proporcyj!

* *
*

W narzeczu indyjskiego plemienia Sioux, „Niagara“ znaczy „Król wód“.

Z wycieczki mojej do słynnego wodospadu obiecywałem sobie więcej o wiele przyjemnych wrażeń aniżeli doznałem, przybywszy na miejsce. Jadąc tam, odczytałem sobie pięknie wypowiedziane wrażenia i zachwyty Chateaubrianda. Obecnie, żaden już poeta nic podobnego na widok Niagary nie dozna, za co ręczyć mogę, przebywszy całe dwa dni w pobliżu wodospadu.

Jest to zawsze jedno z najwspanialszych widowisk natury, lecz praktyczność amerykańska otoczyła Niagarę taką ilością kolosalnych i nieprzeczę że wygodnych hoteli, ogrodów kwiecistych, dróżek wyżwirowanych, wind unoszących dla ogarnięcia całości widoku, mostów, altanek na

sztucznych tarasach i t. d., iż Niagara sama wydaje się nam dziełem wydoskonalonej maszyneryi teatralnej, nic wspólnego z naturą niemającej. Wywołuje ona poczucie potęgi i wielkości, lecz na marzenie, zachwyty poetów—miejsca nie ma tu stanowczo.

W blizkiej przyszłości Niagara ostatecznie z poezyi odartą zostanie. Inżynierowie amerykańscy bowiem obliczyli, iż siła jej wodospadu równa się sile 17 milionów koni parowych, co jest zarazem cyfrą siły hydraulicznej wszystkich rzek i rzeczek całej np. Francyi! Praktyczność amerykańska boleje na widok tak potężnej a dotychczas bezpożytecznie marnującej się siły i odpowiedni przedsiębiorcy puścili akcye codziennie potężniejszego „Towarzystwa Niagary“, mającego zastosować praktycznie ten olbrzymi motor naturalny. Malowniczość krajobrazu zniweczoną zostanie doszczętnie, lecz ogół zyskać może materyalnie, słusznie jest więc, by piękno ustąpiło pierwszeństwa. Na ten temat słyszałem wiele humanitarnych przemówień i nim wodospad Niagary w kluby ujętym zostanie, niemało potoków wymowy w tym kierunku popłynie, zatapiając się w monotonnych nurtach praktyczności resztę atawistycznych poczuć o pięknie i jego wpływach dodatnich, poczuć, które na gruncie amerykańskim wątpię, by odrodzenia kiedykolwiek doznały...

* * *

Zwiedzając większe miasta prowincyonalne, nie omieszkałem nigdy przejść się po alejach zamieszkanych przez bogatszą część ludności. Po ludnych, ruchliwych handlem i przemysłem środkowych ulicach miasta, spokojne i cieniste aleje, pociągająco na mnie działając, wywoływały całe szeregi spostrzeżeń poprzednio uczynionych, lecz hałaśliwością gwaru ulicznego zagłuszonych i nieledwie zatartych. Oczy moje, zmęczone widokiem kilkunasto-piętrowych budynków, służących na magazyny, składy i biòra, rojnych jak ule, z lubością zatrzymywały się na pałacykach, lub skromniejszych domkach podmiejskich, z radością witając zieloność drzew i krzewów, zamiast zwykłych olbrzymich afiszów polichromią kolorów krzykliwych, wstręt do farb, oraz do sztuki malarskiej wywołujących już zdaleka.

We wszystkich miastach Stanów Zjednoczonych, aleje podmiejskie, zabudowane prywatnemi domami ludzi pracujących w mieście, wielce są do siebie podobne. Po bokach szerokiej alei, ciągną się ogródki, oddzielone od chodnika żelaznemi, lub drewnianemi sztachetami, mającemi około metra wysokości. Ogród składa się z trawnika nizko strzyżonego i przeciętego szeroką ulicą, wiodącą do domu i okrążającą go w około; po jednym, lub obu jej brzegach ciągnie się trotuar, wyłożony kamieniami lub marmurem, najczęściej sztucznym. Ulica wyznaczona jest dla powozów,

mających swe wozownie i stajnie po drugiej stronie domu.

Tak większe, jak i mniejsze domy i domki, budowane są lekko, każdy z nich stoi oddzielnie; przybierają one w ogóle kształty oryginalne, dziwaczne, częstokroć śmieszne a zawsze pretensyonalne. Obok szaletu szwajcarskiego, wznosi się meczet turecki, tu znów rodzaj średniowiecznego bastyonu, fortecy, zamku w miniaturze a wszystkie, bez wyjątku wszystkie, te budynki i budyneczki silą się na wyraźną dążność imponowania sąsiadom, imponowania z pańska, z butą feudalną. Przeważnie zbudowane są z drzewa, lecz pospolitość materyału, z którego zostały wzniesione, zakrywają starannie pokostem wapna zmięszanego z czarną farbą, nadając sobie pozory starych odwiecznych gmachów, o grubych kamiennych murach. Okna okalają białe firanki w kolorowe desenie, spięte po bokach szerokiemi wstążkami.

Ciemno szara barwa domów i domków, otoczonych czysto utrzymanemi ogródkami, cisza panująca do koła—przypominały mi zawsze cmentarze, zwłaszcza cmentarze paryzkie w dnie powszednie, gdy publiczności prawie nie ma a rzadko ukazujący się przechodzień śpieszy w milczeniu i zapada niewidzialnie po za zręby pomników. Napróżno usiłowałem sobie uprzytomnieć, iż w domach tych mieszkają milionerzy a przynajmniej ludzie zupełny posiadający dobrobyt, że we wnę-

trzu „home“ oczekuje na powracającego męża ładna i strojna żona i dzieci, wrażenie jednak cmentarnego spokoju i smutku nie opuszczało mnie nigdy, tak dalece różną jest atmosfera, otaczająca wesoły francuzki domek, pełen śmiechu, pieśni i okrzyków rozbawionych dzieci, od powagą tchnących domostw amerykańskich. W miastach francuzkich pusta nawet ulica drga życiem, brzmi po niej zdala płynący odgłos katarynki, fałszywie śpiewanej zwrotki, mignie w oknie uśmiechnięta kobieca główka; tu nic podobnego nie przerywa nigdy monotonnej, solennej ciszy. A przepraszam! Cztery razy na godzinę przejeżdża tramwaj...

* * *

Pociąg kolejowy, którym jechałem, dojeżdżając do dworca kolei u jednego z miast w stanie Nowy Meksyk, wyskoczył z szyn, co tak dalece często się zdarza na kolejach amerykańskich, iż nikt na podobny wypadek nie zwraca najmniejszej uwagi. Wiedziałem z doświadczenia, iż służba kolejowa nie załatwi się z ustawieniem olbrzymich wagonów, jak za godzin kilka, postanowiłem je użyć na poznanie miasta.

Ale gdzież jest owe miasto, oznaczone na karcie kolejowej a posiadające obszerny dworzec, na którym jesteśmy?

Rozejrzawszy się bacznie, dostrzegłem w pewnem oddaleniu kilka chałup, zbitych z desek na prędce a po nad ich drzwiami napis wielkiemi li-

terami „Saloon“, czyli oberża... Podążyłem ku najbliższej chacie, w celu zasięgnięcia bliższych wiadomości o mieście.

W młodości mej czytałem z najżywszem zajęciem powieści i podróże na tle obyczajów amerykańskich, najwybitniej pozostały mi w pamięci wspomnienia zdarzających się przygód w części Stanów Zjednoczonych zwanych „Wild West“. W dzikich tych stronach ważną rolę odgrywał szynkarz. Był to zazwyczaj człowiek rasy białej a trzymana przez niego oberża stanowiła prawdziwą jaskinię łotrów wszelkiego zabarwienia skóry, poczynając od czerwono-miedzianych indyan, murzynów i mulatów, aż do równie białych jak gospodarz opryszków, którzy, u niego się zbierając, wymieniali i sprzedawali swe zdobycze, najczęściej zbrojną ręką wydarte przebywającym w okolicy kolonistom. Opisy tego rodzaju okazały się prawdziwe, miałem teraz sposobność przekonać się o tem osobiście.

Przy drzwiach wejściowych stał wielki bufet, za którym siedział pan domu, jakby za wałem fortecznym. Olbrzymiego wzrostu, całą twarz miał zarosłą bujną czarną brodą, ubrany był w czerwoną flanelową koszulę, której rękawy wysoko zakasane, odsłaniały potężne i muskularne ramiona i ręce, kapelusz filcowy o szerokich skrzydłach miał włożony na tył głowy i na bakier, odsłonięte zaś czoło nosiło głęboką i świeżą ranę, niedawno widocznie zadaną butelką, czy topo-

rem, dla ściślejszego uregulowania obrachunku... Spróbowałem z nim zawiązać rozmowę... Zapytałem czy miasto jest ztąd daleko? Karczmarz odpowiedział mi ochrypłym i silnym głosem, lecz trudnym do zrozumienia dyalektem a raczej mieszaniną słów angielskich, hiszpańskich a może indyjskich.

— Miasto nie jest jeszcze wybudowane.

Na ponowne moje pytania, raczył mi dać bliższe objaśnienia. Słupy telegraficzne, rury wodociągowe, przyrządy do oświetlenia elektrycznego, szyny tramwajowe już są, przybyły koleją od dni kilkunastu. Afisze i anonse dziennikarskie już też swoje zrobiły, ogłaszając o założeniu nowego wielkiego miasta, lecz w ostatniej chwili niektórzy przedsiębiorcy nie stawili się na słowie, skutkiem czego domy nie stanęły na czas i trzeba było na miesiąc powstrzymać przybycie zapowiedzianej ludności.

Ze spokojną miną olbrzym dorzucił:

— Jak pan będziesz tędy wracał za parę miesięcy, to miasto już zastaniesz. Za trzy miesiące będziemy mieli 10,000 mieszkańców.

Słowa te wypowiedział spokojnie, z zupełną ufnością, że tak być musi, bo podobne rzeczy już nieraz w życiu widywał.

Zkąd przybędą ci zapowiedziani mieszkańcy, w jaki sposób żyć będą początkowo pragnąłem się dowiedzieć, lecz do oberży wtoczyło się mnóstwo ludzi, przeważnie podróżnych, przyby-

łych tymsamym co ja pociągiem a którzy, nie wiedząc co z sobą począć, przyszli do karczmy, dysponując sobie podanie przeróżnych trunków wymagających specyalnego przygotowania, czem się natychmiast zajął nasz gospodarz.

Pozostawiony sobie, zacząłem rozglądać się po izbie. W pośrodku stał wielki stół bilardowy, pokryty dziurawem i poplamionem suknem. Koło pieca stały stoliki i stołki a w głębi garstka ludzi grała zawzięcie w „monte“, okalając brudny i kulawy stół, pokryty starą końską derą z porozrzucanemi na niej tłustemi, wyszarzanemi kartami. Przed każdym z grających leżał stos złota i dolarów, przedstawiający wartość kilku tysięcy franków. Na ziemi tu i owdzie, spało kilkunastu cow-boysów (pastuchy bydła) odpoczywając po grze i pijaństwie, które na nowo mieli rozpocząć zaraz po przebudzeniu się. Malowniczy ich strój, złożony z szerokich spodni i wysoko sięgających butów, z kolorowej koszuli i szeroko-skrzydłych kapeluszy, odbijał o czarną podłogę izby. Ściany oblepione były jaskrawemi afiszami a wśród nich, naprzeciwko siebie, widniały dwa wielkie, również jaskrawe portrety, jeden z nich przedstawiał rysy pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Jerzego Waszyngtona, drugi zaś postać Matki Bozkiej.

„Saloon“, w którym się znajdowałem, stanowi pospolity typ amerykańskiej oberży, w zapadłych i mało zaludnionych miejscowościach roz-

ległych dzikich krain, które niezawodnie szybko się rozwiną, by stanąć w poczcie innych, kwitnących już bogactwem i cywilizacyą stanów Federacyi. „Saloon" jest pierwszym ku temu szczeblem, na głuchem dotychczas pustkowiu.

Dążąc ku San-Francisco, pociąg nasz przebywa coraz dziksze okolice. Jedziemy powoli i od dwudziestu godzin krajobraz żadnej prawie nie uległ zmianie, wciąż trwa pustkowie, poprzecinane nagiemi skałami, wśród których płyną spokojne rzeki i strumienie. Kraina ta pozostawioną została indyanom, lecz ludzkiej postaci nie dostrzegłem od dawna, wilk tylko, od czasu, do czasu zrywa się przestraszony hukiem zbliżającego się pociągu.

Jedziemy zwolna, z ostrożnością, albowiem opryszki, czyhający na podróżnych, mają zwyczaj wyjmowania relsów na pewnej przestrzeni, co powoduje wypadki a przynajmniej zatrzymanie się pociągu, a tej właśnie chwili wyczekują oni w ukryciu, by rzucić się i zrabować pasażerów. Naokoło mnie wszyscy opowiadają sobie wspomnienia tej treści; jakkolwiek nie wieziemy przy sobie pieniędzy, tylko przekazy bankowe, o czem panowie bandyci wiedzą wybornie i rzadko też kiedy rzucają się na „Express", wolę nie widzieć ciekawego i charakterystycznego ich stroju i sposobu operowania nas; śpieszno mi dojechać do stacyi, lub jakiego ludniejszego stanu, niż Nowy-Meksyk i sąsiadujący z nim Arizona. W zeszłym tygodniu,

dwukrotnie bandyci zatrzymali i zrabowali pociągi na tej linii. Amerykanie mówią o tego rodzaju zdarzeniach obojętnie, jak ludzie przywykli nietylko do podróży, lecz i do wypadków w niej, oraz niebezpieczeństw.

Wreszcie posługujący murzyn oznajmia, że wkrótce dojedziemy do stacyi. Wychodzę na platformę, by nic nie przepuścić z nadarzającej się rozrywki a zwłaszcza, by zaspokoić ciekawość, narzucającą mi wciąż pytanie: jakiego to rodzaju ludzie mogą żyć w tak dzikiej, opuszczonej i nędznej krainie?

Zadziwiający widok przedstawił się moim oczom. Pociąg zatrzymał się przed długim budynkiem z desek, w którym żyją nieszczęśni urzędnicy kompanii kolejowej, znaczna przestrzeń gruntu przed budynkiem, stanowiącym zarazem dworzec i biuro, wyłożoną była rodzajem pomostu, a na nim stała, biegała, tańczyła, wyła i śpiewała cała banda indyan. Było ich przynajmniej z pięciuset różnej płci i wieku, w strojach narodowych z piórami na głowie, pierścieniami przetkniętemi przez nosy, jednem słowem byli to indyanie jak na obrazkach, lub w obozie pułkownika Cody, znanego całej Europie pod nazwą Buffalo-Bill.

Tylko indyanie stojący przed naszym pociągiem nędzniejszy, wprost żebraczy przedstawiali widok. Patrzyli na nas, jakby litość pragnąc wy-

wołać. Jakże oni są niezgrabni, źle zbudowani i niedołężni!

Uczynili na mnie wrażenie zwyrodniałego plemienia ludzkiego, dogorywającego skutkiem braku sił fizycznych. Zestawieni z nimi w mej pamięci kanacy australscy, krzepko i dziwnie odbijali tak budową ciała, jak wyrazem oblicza. Między najmłodszemi tu zebranemi kobietami, nie dostrzegłem ani jednego typu o rysach regularnych, o twarzy ładnej, lub pociągającej.

Zbierają się oni zawsze gromadami przed nadejściem pociągu, w chęci zarobku. Kobiety sprzedają kamyki połyskujące i różnobarwne, drobne przedmioty lepione z gliny i na wartości pieniędzy znają się wybornie. Za przedmiot najdrobniejszy żądają dolara, lecz ostatecznie sprzedają za kilka centymów. Mężczyzni na życzenie podróżnych strzelają z łuku, lecz niestety, muszę wyznać, iż strzelają źle i niezręcznie. Tak więc piękność indyanek, zręczność indyan, istnieją tylko w legendach!

Upadek ich moralny równa się łatwiej dostrzegalnemu upadkowi fizycznemu. Bunty między nimi coraz są rzadsze, postęp naszej cywilizacyi nie trwoży i nie wzburza już zwyrodniałych potomków samoistnej niegdyś rasy; jeżeli się zdarzają jeszcze zamieszki buntownicze, to jedynie przeciwko komisarzom rządowym, okradającym ich bez miłosierdzia, z wyznaczanych im przez

Kongres zapomóg stałych i corocznych. Z tego też tylko żyją, do pracy bowiem nie dają i nie chcą się nakłonić a jeżeli parę godzin spędzić się zgodzą nad robotą, to jedynie w celu przepicia zarobionych pieniędzy. Liczba indyan zmniejsza się corocznie i wkrótce nastąpi chwila, gdy ci dawni władcy olbrzymiego kontynentu, znikną na zawsze z całej jego powierzchni.

Nieszczęśni! a jeżeli są między nimi zdolni do ocenienia tej zagłady w imię cywilizacyi szerzonej przez silniejszych, jakież ci upokarzające wyprowadzić musieli wnioski, dla wszystkich bladych twarzy!...

* * *

Na jednej ze stacyj kolejowych w stanie Arizona, stacyi tak jak inne w tych stronach, wystawionej w formie szopy z desek, pośród pustyni, wsiadł do naszego pociągu młody cow-boy w olbrzymich butach, szerokich hajdawerach i kapeluszu filcowym, wielkim jak parasol. Za pasem miał rewolwery potężnych rozmiarów, oraz nóż niepospolitej długości. Ze stroju i postawy, zwłaszcza w otoczeniu wykwintnie urządzonego salonu kolejowego, cow-boy czyni na mnie zawsze wrażenie operetkowego bandyty, tak dalece malownicze i charakterystyczne przedstawia zjawisko. Zaczyna do nas mówić, lecz nikt go nie rozumie, tak zepsutym mówi językiem, najbardziej

do hiszpańskiego zbliżonym. Żargon cow-boyów nie jest mi obcy, odpowiedziałem mu więc w jego mowie. Uszczęśliwiony, rozpromieniony, rzucił się na fotel tuż przy mnie i nie dalej jak w pięć minut, byliśmy w zupełnie dobrych i zażyłych stosunkach. Nazywał mnie nie inaczej jak „campanero“ (towarzyszu), co jest najwyższą oznaką czułości, jaką ludzie okazują sobie w pustych stepach rozległych krain Stanów południowych.

Mój cow-boy przedstawia czysty typ miejscowy. Wysoki, silny, dość powolny i jakby ociężały w ruchach, trzyma głowę bardzo wysoko zadartą, oczy ma łagodne, z błyskami niezłamanej woli i energii. Na stacyi musiał napić się na drogę czegoś mocnego, jest nawpół pijany i rozmarzony, skłonnym go to czyni do zwierzeń, do rozmowy, co bynajmniej nie jest w obyczajach cow-boysów w stanie trzeźwości. Ludzie ci zmuszeni są czasami żyć sam na sam całemi miesiącami w towarzystwie koni i powierzonego im stada, prosta więc rzecz, iż odwykają mówić, lecz język rozwiązuje się im z niesłychaną łatwością, dzięki dobrze alkoholizowanym trunkom.

Postanowiłem przeprowadzić rodzaj interviewu z siedzącym przy mnie „campanero“. Rzecz była niełatwa, albowiem, nie odpowiadając wręcz na stawiane pytania, zasypywał mnie potokiem słów bezładnych z samych przymiotników złożonych a częstokroć urozmaiconych przekleństwami o czysto lokalnym kolorycie. Nasi towarzysze podró-

ży wzniecają w nim wstręt i oburzenie bez żadnej widocznej dla mnie przyczyny. Wreszcie z najwyższą wzgardą mianuje ich wszystkich obelżywem w jego pojęciu mianem... anglików. Nieco uspokojony, opowiada mi teraz swoje życie. Urodził się i wychował na wsi wśród stepów i bydła, którego chowem zajmuje się prawie wyłącznie cała ludność tej części Stanów południowych.

— Jestem prawdziwym „caballero“, bo nigdy nie pracowałem inaczej, jak na koniu.

Słowa te wymówił z dumą, zaznaczając swą wyższość nad resztą ludzi. Właściwie, zajmował się przeprowadzaniem wołów ze stepów do bydłobójni, oddzielaniem ze stada sztuk wyznaczonych na rzeź i chwytaniem na lasso młodych, nienapiętnowanych jeszcze jednolatek.

— Urodziłem się na południu, gdzie wszyscy ludzie mówią po hiszpańsku i gdzie nie ma jeszcze anglików.

I znów potoczył nienawistnie namiętnemi oczyma, po nierozumiejących jego mowy towarzyszach podróży.

Przyczynę tej nienawiści zbadałem w dalszym ciągu rozmowy. Anglik, podług niego, jest człowiekiem wyzyskującym jego pracę, jako właściciel stada, oraz grabicielem zysków z pracy osiągniętych, jako właściciel szynku i sklepu, gdzie każdy cow-boy kupować musi niezbędne dlań przedmioty.

Opowiedział mi również o celu swej podróży. Od lat całych pracował z zamiarem zebrania większej nieco sumki pieniędzy, by ruszyć z niemi do jakiego wielkiego miasta i żyć czas jakiś życiem ludzi bogatych, których czasami tam widywał. Otóż obecnie ma huk pieniędzy i na poparcie swych słów wydostał z różnych kieszeni ubrania stosy całe biletów bankowych. Przyznał, iż nietylko pracą do nich doszedł, lecz, i to przeważnie zawdzięcza je szczęściu, jakie mu sprzyjało przy grze w „monte“.

— Otóż teraz mogę żyć jak chcę i jak dawno tego pragnąłem. Słuchaj, rzekł z poufałym giestem, podobasz mi się bardzo i uważam cię za mojego „campanero“, trzymaj się mnie, będziemy się razem w mieście bawili, mam pieniędzy na dwóch, będę wszędzie za ciebie płacić.

Pokusa była wielka, wyznaję, bo niezawsze zdarzyć się może okazya przypatrzenia się zblizka hulance cow-boya, lecz podziękowawszy mu uprzejmie za okazywaną mi przyjaźń i hojność, odmówiłem stanowczo, co niemałe wywołało zdziwienie, połączone z niezadowoleniem i obrażoną miłością własną. Rozstaliśmy się zupełnie chłodno i z pewnym z jego strony żalem.

* * *

Dążę teraz koleją ku północy, ku górom Skalistym, tak pełnym wspomnień, zaczerpniętych z książek czytanych w pierwszych latach młodo-

ści. Iluż z nas pragnęło żyć wśród ich dolin i lasów, życiem miejscowych myśliwych, przebywających każdodziennie mnóstwo zadziwiających przygód.

Krajobrazy w górach Skalistych wydały mi się w rzeczywistości równie ponętne jak widywane niegdyś oczyma wyobraźni ich szczyty i przepaście. Wśród tych lasów dziewiczych, człowiek czuje się daleko po za światem i ludźmi. Ciemność kniei, malowniczość dolin i przepaści, łomy skał i pnie olbrzymich rozmiarów, owite splotami zieleni, czarujące czynią wrażenie. Wydaje się chwilami, iż natura, niepojętym wysiłkiem twórczym, przeistoczyła chwilowo zwykłą swą harmonię. Wązkie potoki, płynąc pomiędzy szczelinami skał, prawie z sobą zwartych a jakby siłą strumieni przeciętych, wprawiają w podziw i zdumienie; to znów w pośród lasu niespodziewanie wystrzela w górę na setki metrów skała w kształcie piramidy a nic poprzednio ani w około nie tłomaczy osobliwego jej pojawienia się.

Pamiętam również zadziwiającą skałę cienką z dołu, rozszerzającą się stopniowo, wreszcie zagiętą w górze, olbrzymią, po nad przepaścią, w której huczał spieniony potok, przewalający swe wody z łoskotem, w chmurach rozpryśniętej wody. Skała ta utrzymująca się od wieków w niezrozumiałej i niczem niedającej się wytłomaczyć równowadze, nachylona wciąż nad wod-

ną przepaścią, stanowi, mojem zdaniem, z niczem niezrównane cudo natury.

Amerykańscy paleontologowie odnaleźli w łańcuchu gór Skalistych szkielety i szczątki zwierząt zamierzchłych epok, kopalne te okazy przedstawiają wielką rozmaitość, o kształtach dotychczas nieznanych.

Tor kolejowy zapuszcza się w coraz dzikszą i wyżej wzniesioną okolicę. Jedziemy czas jakiś wzdłuż źródeł Rio-Grande, rzeki przebywającej przeszło 200,000 mil angielskich, przed ujściem swem do zatoki Kalifornijskiej. Dojeżdżamy do szczytów tak wyniosłych, iż tylko inne szczyty oko ogarnąć jest w stanie. Spiętrzone, bezładne kształty porozrywanych i powichrzonych górskich łańcuchów, sprawiają ztąd wrażenie skamieniałego w chwili uraganu morza. Całe dwie doby przepędziłem w wagonie, wśród czarujących widoków gór Skalistych. Co chwila posługujący nam murzyn, objaśniał w paru słowach ukazujące się nowe krajobrazy. Wyniosłość i potężna masa tych gór, przygniatające zaczęła na mnie wywierać wrażenie i rad byłem bardzo, gdy stopniowo szczyty usuwać się zaczęły, zastąpione mniejszych rozmiarów wzgórzami, wśród których dostrzedz można już było rękę ludzkiego przemysłu. Pierwsze chaty a dalej fabryki – pokrzepiające obudziły uczucia, tak dalece groźną w swym majestacie jest bezmierna cisza, wśród gór Skalistych despotycznie panująca.

VII.

Pobyt mój u mormonów, ich apostołowie i historya.

Sekta mormońska powstała około roku 1820. Przeistoczyła się ona przez ten peryod czasu, tak jak się przeistaczają wszelkie pomysły ludzkie tego rodzaju, w każdym jednak razie istnieje, posiada licznych wyznawców a zatem chociażby z tego względu, zasługuje na uwagę. W tym celu zwiedziłem stan Utah, gdzie leży stolica obecna tej sekty, Salt-Lake-City (Miasto Słonego jeziora) i bynajmniej wycieczki mojej nie żałuję.

Józef Smith, założyciel sekty mormońskiej, urodził się w roku 1805 a mając lat 15, powziął pierwszy myśl założenia nowej religii. Wczesne powołanie do tak ważnych celów, trzeba przypisać mistycznej naturze Smitha, podniecone czytaniem namiętnem biblii, komentowaniem jej tekstu, zagłębianiem się w jej symbolach, jak wreszcie jest to ogólnie w zwyczaju u narodów anglo saksońskiej rasy, czemu właśnie przypisać należy tę rozmaitość, oraz ilość powstałych i wciąż powstających między niemi sekt religijnych. Żadne objaśnienie nie zadawalniało młodego zapaleńca a przypatrzywszy się bliżej niezgodzie i sporom, wynikającym pomiędzy sektami,

tłomaczącemi każda na swój sposób legendy biblijne; z początku chwiejny pomiędzy przyjętemi i uznanemi przez nie prawdami, zdecydował się na krok stanowczy; odrzucił formułki przyjęte i sam wprost do Boga zwrócił się z prośbą o natchnienie. Miało to miejsce w roku 1820. Zaczął miewać widzenia i z praktycznością amerykańską skorzystał ze sposobności, by interviewować niebiańskie, zjawiające się przed nim istoty. Za ich pośrednictwem Bóg mu rozkazał rzucić poszukiwanie prawdy w religiach istniejących a szukać jej ukrytej na strunach złotych w granitowej szkatule. Józef Smith odnalazł ten skarb w objawionem sobie miejscu. Na tablicach wyryte były znakami egipskiemi prawdy, a przy nich spoczywał klejnot nadzwyczajny, oznaczony mianem Urim-Thummin. Były to okulary z dwóch dyamentów złożone. Za ich pomocą mógł odczytać niezrozumiałe dla siebie znaki; zawierały one prawdy rozpowszechniane później przez niego a stanowiące dzisiejszą księgę świętą mormonów.

Przyznać należy, iż księga mormońska zestawiona jest zręcznie i stanowi poniekąd dopełnienie biblii. Zawiera ona objawioną historyę zamierzchłych wieków amerykańskiego kontynentu i dowodzi w sposób stanowczy, iż indyanie pochodzą z prostej linii od synów Izraela. Objawione prawdy zawierały również szczegóły odnoszące się do organizacyi nowego kościoła, powołanego do wskrzeszenia dawnych tradycyj, zatar-

tych, zniweczonych lub przeistoczonych tylowiekowemi naleciałościami. Credo nowej religii, mało się różniącej od pierwotnego katolicyzmu, nakazywało, by na jej czele stał wódz wszechwładny posiadający najwyższe świeckie i duchowe prawo, władzę zaś jego dopełniać miała rada, złożona z dwunastu apostołów.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie wszystkie powstające sekty religijne stawiają sobie założenie godzenia wierzeń religijnych z logiką i nauką, Józef Smith począł głosić doktrynę nacechowaną naiwnym mistycyzmem. Apostołował z zapałem i w roku 1830 kościół mormoński mógł już ogłosić swoje istnienie, na zasadzie organizacyi zupełnej pod nazwą: „Church of Jezus-Christ of latter day Saints“ (Kościół Jezusa Chrystusa podług świętych dni ostatnich).

W dni owe, prorok miał tylko sześciu uczniów, będących jego apostołami, lecz apostołami tak żarliwymi, iż pociągali tłumy, wśród których zyskiwali gorących współwyznawców. Gdy wierni doszli do liczby kilkuset, zbudowano pierwszą świątynię w stanie Missury, lecz wkrótce musiano pierwotne to siedlisko opuścić, pod naciskiem niezadowolenia ogółu ludności miejscowej. Przenieśli się do stanu Illinois i założyli miasto Nauxoo, rządzące się własnemi prawami z zupełną niezależnością. Nauxoo obierało swoich urzędników i uważało się za miasto wolne. Spokój trwał krótko; mieszkańcy bowiem stanu Illinois

podburzeni przez swych clergymenów, niechętnie patrzących na nową sektę, mogącą im wytworzyć zawsze niekorzystną konkurencyę, zaczęli tworzyć przeszkody, stawiać trudności, wreszcie opierać się energicznie przeciw samorządowi wolnego miasta Nauxoo. Józef Smith, stojący na czele władzy duchownej i świeckiej miasta bronił się czas długi i, chcąc zaznaczyć swoją niezależność, spełnił pewne wykroczenia przeciwko prawom stanu Illinois. Czyn ten wywołał zażalenie przesłane do kongresu w Waszyngtonie, z którego rozkazu gubernator stanu Illinois powstrzymał działalność proroka, osadziwszy go w więzieniu. Niezadługo zaś więzienie osaczone zostało przez tłumy, żądne przy pomocy rozpowszechnionego w podobnych okazyach prawa „lynchu“, wymierzyć przynależną im sprawiedliwość. Józef Smith utracił życie; jedni, to jest zwolennicy jego, mówią, że został zamordowany, inni zaś przeciwnie, że został stracony jak sprawiedliwość nakazuje.

Jakim człowiekiem był Józef Smith w rzeczywistości? Pomimo zadziwiających opowieści o złotych sztabach, granitowej szkatułce, brylantowych okularach o przymiotach nadzwyczajnych —nie można go uważać za pospolitego szalbierza, lecz za upojonego własnemi marzeniami mistyka, działającego z dobrą wiarą. Pomysł o cudowną siłę posiadającym klejnocie „Urim Thummin“ miał w jego pojęciu dodatnio podziałać na masy, zwró-

cić ich uwagę i przyciągnąć zwolenników dla nowej doktryny. Jego egzaltacya religijna, dość była potężną, by mógł mówić z niezaprzeczoną dobrą wiarą o widzeniach, które miewał, o objawieniach czynionych mu wprost przez Boga. W każdym razie był człowiekiem niepospolitym, chociażby z tego tylko względu, iż w przeciągu lat kilkunastu założył i zorganizował sektę liczącą w chwili jego śmierci w roku 1833 przeszło 150,000 wyznawców i założył wśród pustkowia miasto, liczące w tejże epoce 16,000 ludności.

Założyciel sekty mormonów zszedł z tego świata wprawdzie marnie, nie doczekawszy się dla swego dzieła doczesnych korzyści, lecz rzecz się miała inaczej dla jego następcy, wybranego przez wiernych z pomiędzy apostołów. Nowy wódz naczelny Brigham Young doszedł do sławy i wielkiego znaczenia.

Prześladowani w stanie Illinois mormoni postanowili opuścić niegościnną krainę i udać się na Zachód.

Przeszło 20,000 wiernych skupiło się pod przywództwem Brighama Younga i rozpoczęło wędrówkę, szukając spokojnego, niezaludnionego jeszcze kraju. Ludność ta wiozącа z sobą cały swój dobytek, ciągnęła olbrzymią karawaną pośród najróżnorodniejszych przygód. Przebywszy koczowniczem trybem życia przeszło 400 mil, karawana zatrzymała się z rozkazu wodza w okolicy Wielkiego Słonego jeziora w stanie Utah. Po-

dług planu proroka powstało miasto Salt-Lake-City; pierwsze fundamenty położono 24 lipca 1847 roku.

Stan Utah prawie był bezludny a wyniosłe góry i wielkie pustynie oddzielały go zupełnie od reszty świata. Brigham Young pojął, jak dalece korzystnemi są tego rodzaju warunki dla nowo powstać mającej kolonii. Przy braku komunikacyi z resztą świata, kolonia miała na długo zapewniony spokój zupełny. Kongres waszyngtoński mógł lata całe nic o niej nie wiedzieć a w danym razie opozycya przeciw jego rozkazom łatwiejszą była tutaj, aniżeli w stanach mniej od stolicy odległych.

* *
*

Dzisiejsze stosunki w Stanie Utah wielce są odmienne. Koleje żelazne znacznie się do tego przyczyniły. Pierwsze miasto w Utah, gdzie liczba mormonów jest dość znaczna, nazywa się Ogden i liczy około kilkunastu tysięcy mieszkańców. Ztąd do stolicy mormońskiej jest już niedaleko. Ogden i Salt-Lake-City, połączone są linią kolei żelaznej. Jadąc nią, miałem po jednej stronie łańcuch gór dość wyniosłych i malowniczych, po przeciwnej zaś ciągnęły się pola niezwykle dobrze i starannie uprawne. Nie były to już zwykłe w Ameryce niezmierzone przestrzenie, ledwie że przeorane i tylko w żyźniejszych częściach obsiane, lecz pola w rodzaju

naszych pól w środkowej Europie spotykanych; oddzielone żywopłotem i gęsto przytykające do zagród gospodarskich, złożonych z domu mieszkalnego i kilku budynków dla bydła, zboża i narzędzi rolniczych. Zagrody tonęły w zieloności bogatych, rozległych sadów. Pociąg zatrzymywał się co chwila, jechaliśmy bowiem linią czysto lokalne dobro mającą na celu a wioski malowniczo rozrzucone po wzgórzach, coraz żywiej przypominały Europę, tak ogólnym swym wyglądem, jak też szczegółami budowy swych domostw. W godzinę po wyjeździe z Ogden, przybyłem do Salt Lake City; mimo swego nazwiska, stolica mormońska jest przeszło o dwanaście mil odległą od Wielkiego-Słonego-Jeziora.

Na pierwszy rzut oka, stolica mormońska niezwykle dodatnie sprawia wrażenie. Domy jej rzucone się być zdają pośród olbrzymiego parku, poprzecinanego szerokiemi, starannie utrzymanemi alejami, na których skrzyżowaniu roztaczają się skwery pełne pysznych, różnobarwnych kwiatów. Wodotryski i strumyki wody bieżącej roznoszą chłód i orzeźwiają powietrze.

Wśród tej zieleni, wody i kwiatów, ludzie mniej się śpieszą, mniejszą gorączką zysku są ogarnięci, aniżeli w innych wielkich miastach Stanów Zjednoczonych. Pomiędzy tramwajami wciąż się spotyka wozy wiejskie, często wołami ciągnięte a ludzie im towarzyszący typowe mają miny i ociężałe ruchy wieśniaków.

Po bliższem wszakże poznaniu miasta dostrzegłem, że i tutaj znajduje się cała jego część wyłącznie poświęcona „businessowi“, gdyż wzorem innych miast amerykańskich, wznoszą się monumentalne domy napełnione wrzawą, ruchem i gorączkowem pędzeniem za zdobyczą. Tuż obok dzielnicy handlowej, położonej w środkowej części miasta, znajduje się wielka przestrzeń gruntu otoczona grubym i wysokim murem; nosi ona nazwę „Temple Block“; w pośród drzew i kwiatów wznosi się tam kilka świątyń i gmachów wyznaczonych na obrządki religijne. W zachodniej części tego skweru mieści się świątynia pierwotna, w największej czci u wszystkich mormonów pozostająca. Na zewnątrz sprawia ona oryginalne wrażenie. Zbudowana w kształcie elipsy, nizka, pokryta drewnianym półokrągłym dachem, podobniejsza jest do hipodromu, aniżeli do świętego przybytku. Wnętrze jej pomieścić może 10,000 wiernych, na ławach drewnianych od góry do dołu obiegających ją do koła. W pośrodku na wzniesieniu stoją organy, oraz miejsca dla dostojników kościoła. W południowo zachodniej części skweru wznosi się potężny gmach, cały z granitu. Jest to „Sala Zebrań“ (Assembly-Hall). Kształt gmachu przypomina krzyż łaciński, z pośrodku którego strzela ku niebu wyniosła wieża, będąca dzwonnicą. W Assemly Hall odbywają się obrządki religijne dostępne tylko dla wybrańców.

Nowe Tabernaculum (każda świątynia mormońska nosi nazwę Tabernaculum) zajmuje środkową część skweru. Mormoni twierdzą z powagą, iż nigdzie na świecie całym od czasu króla Salomona, wspanialszej, piękniejszej i bogatszej świątyni, żaden nieposiadał naród, duma ich w tym kierunku posuniętą jest do śmieszności. Rzeczywiście zaś świątynia nie posiada żadnego charakterystycznego stylu, zadziwia jedynie wielkością swych rozmiarów i grubością granitowych murów. Kształtu czworokątnego, ma 186 stóp długości na 99 stóp szerokości. Jeden z jej szczytów zdobny jest trzema wieżycami, najwyższa dosięga stóp 200. Budowa świątyni zajęła lat 30 a koszta wyniosły przeszło 50 milionów; cyfry te przyczyniają się w znacznej części do pobudzenia zachwytu i dumy wszystkim amerykanom właściwej w podobnym wypadku! Gdy świątynia ukończoną została w roku zeszłym, uroczystość inauguracji zgromadziła w mormońskiej stolicy nietylko wyznawców, lecz i znaczną część mieszkańców stanu Utah, którzy w entuzyazmie swym w niczem nie ustępowali wiernym. Wieczorem dnia tego, gdy po raz pierwszy statua archanioła Gabryela zabłysła na szczycie granitowego gmachu i oświetlenie tysiącznych lamp elektrycznych uwydatniło monumentalne rozmiary ukończonego dzieła, patryotyzm ogarnął serca zebranych, poczuli bowiem w radosnem

uniesieniu, iż żaden stan Unii nie posiada nic okazalszego ani bogatszego!

Przebiegając korytarze, galerye i platformy dachu świątyni, zadziwiony byłem jej rozległością i siłą budowy, przeznaczonej długie przetrwać wieki; lecz podziwiając te strony techniczne, tem jawniej widziałem zupełny brak artystycznego poczucia u narodu, który zadziwia siłą, potęgą, bogactwem swych pomysłów, a który nigdy się jeszcze nie wzniósł na wyżyny sztuce właściwe. Wolałem też patrzeć na roztaczający się z dachu świątyni rozległy i wspaniały widok, tembardziej, iż za pomocą windy dostałem się na szczyt najwyższej wieży, zkąd podziwiać mogłem symetryczność harmonijną miasta, zagłębionego w morzu zieloności. Podziwiałem również bogactwo wiosek i pól okolicy podmiejskiej, która niedawno jeszcze była dziką pustynią a dziś stanowi jedną z pereł i ozdób Stanów Zjednoczonych. Wciąż myślom moim towarzyszyła historya rozwoju tego nowego i względnie nielicznego narodu, za jaki się sekta mormońska uważa, mormoni bowiem są właściwymi twórcami wszystkiego co mnie otacza i w podziw wprawia.

Ilekrotnie dotychczas słyszałem o mormonach, zawsze jedne i te same frazesy towarzyszyły ich określeniu: „mormoni są to zadziwiający sekciarze, których religię stanowi pojmowanie jaknajwiększej ilości żon!“ i wybuchy śmiechu usuwały możność wszelkiego poważniejszego

zastanowienia się nad nimi. Ogólnie krążącą tę legendę, może byłby już czas dopełnić innemi, pozytywnemi danemi.

Kraj przez mormonów zamieszkany jest dziś połączony kolejami z resztą krain w skład Stanów Zjednoczonych wchodzących. Podlegają oni w zupełności prawom narzuconym im przez władze federalne, lecz nim uledz im zostali zmuszeni, stanowili już to, czem są dzisiaj, to jest naród pracowity i moralny, co w zupełności zawdzięczają religii, której wierzą ślepo, słuchając z ufnością przedstawicieli jej z dostojników kościoła złożonych. Poligamia mormonów nie posiada bynajmniej owego haremowego charakteru, jaki jej tak chętnie, zwłaszcza w Europie, nadajemy. Każdy, kto poznał bliżej ich stosunki, wyznać jest zmuszony, iż lubieżność i rozwiązłość wcale się wśród nich nie zdarza.

Poligamia nie stanowi bynajmiej podstawy ich religii. Pierwsze w tym kierunku objawienie miał Józef Smith w roku 1843 a publicznie ustanowił ją w roku 1852 Brigham Young, drugi z kolei prorok mormoński. Święte księgi mormońskie twierdzą, iż poligamia zgodną jest z podaniami biblijnemi. Przechowane w nich tradycyę o patryachalnych małżeństwach: Jakóba, Dawida — jasno dowodzą, iż ludy ówczesne praktykowały poligamię.

Nie będąc bezwarunkowym zwolennikiem zasad religii mormońskiej, zmuszony wszakże jestem

wyznać, iż poligamia przyczyniła się znacznie do spotęgowania ich znaczenia i wydała niemało dodatnich rezultatów.

Kaznodzieje mormońscy, dotykając w swych przemówieniach kwestyi małżeństwa, używają wyrażeń wzniosłych, posługując się często poetycznemi przenośniami. Słuchając raz kazania, zapisałem sobie następujące zdanie, które wydało mi się streszczać w sobie charakter ich stylu: „Akt miłości jest najwznioślejszy ze wszystkich aktów religijnych. Człowiek jest wtedy współpracownikiem Boga samego, i, jako noszący w sobie twórczy pierwiastek, nie powinien nigdy kalać misyi, którą spełnić ma zlecone. Nie powinien nigdy widzieć w kobiecie źródła rozkoszy zmysłowej. Kobieta winna być dla niego świątynią, w której składa najpiękniejsze swe modły“...

Zarzucamy mormonom poligamię, lecz w naszych społeczeństwach czyż jednożeństwo wyklucza ją tak dalece? My tylko ukrywamy to, do czego oni się jawnie przyznają. Nasz system o wiele jest niemoralniejszy, wytwarza bowiem prostytucyę, z której tyle zła wielorakiego wynika! Mormoni słusznie się szczycą, iż między nimi prostytucya nie istnieje a wszystkie kobiety posiadają mężów.

Brigham Young, ogłaszając świętość zasady wielożeństwa, nie przestał uznawać potrzeby możności rozwodu. Kościelna ceremonia obrządku ślubnego jest u mormonów ta sama co do formy

jak używana w kościele protestanckim. Gdy mormon zaślubia nową żonę, powinien przedewszystkiem uzyskać zezwolenie ostatnio poślubionej małżonki, która w czasie obrządku ślubnego w kościele, łączy prawą rękę swego męża z prawą ręką nowo wybranej. Akt ten jest nieodzowny i wchodzi w zakres ceremonii religijnej.

Żony nazywają się wzajemnie siostrami a potomstwo ich, z jednego pochodzące ojca, uważa się za rodzeństwo przyrodnie.

Dzięki egzaltacyi religijnej, którą wzniecać umieją, kierując nią i koncentrując dla swego osobistego pożytku, apostołowie mormońscy gromadzą swe żony w około jedynego domowego ogniska. W ogóle zaś mormoni, chcąc uniknąć sporów, mogących wyniknąć pomiędzy żonami, rozdzielają swe rodziny, mieszcząc każdą żonę w osobnym domu czy chacie, gdzie zamieszkuje ona wraz z dziećmi dość zawsze licznemi. Zwiedziłem sporą liczbę takich domków. Są one w ogóle wielce skromnie umeblowane, prawie że tylko niezbędne sprzęty w nich się znajdują; ściany pokryte są sentencyami moralnemi wypisanemi wielkiemi literami; kobiety ubrane są skromnie, nawet ubogo. Wiejący z każdego kąta chłód i powaga — świadczą wymownie, jak dalece mieszkający wśród tych murów ludzie, dalekimi są od traktowania poligamii w sposób rozwiązły a z naszemi pojęciami zgodny. Kobiety i dzieci pracują bezustannie, odrabiając robotę

wyznaczoną im przez ojca rodziny, a widząc gospodarstwa rolne w stanie kwitnącym, obory, stajnie i chlewy utrzymane w wzorowej czystości, mimowoli podziwiać jesteśmy zmuszeni, jak wielkie korzyści materyalne mormoni zdołali osiągnąć za pomocą zorganizowanej poligamii.

Pod względem organizacyi społecznej, mormoni wprowadzili w wykonanie teorye, użyte kiedyś przez jezuitów gdy władali Paragwajem. Są one oparte na zasadach komunizmu. Przybywający do stanu Utah mormon otrzymywał od gminy narzędzia pracy i środki potrzebne dla wytworzenia sobie utrzymania. Zaciągnięty w ten sposób przez niego dług, wpisywał się do „wielkiej księgi", wraz z zobowiązaniem spłaty rocznemi ratami. Kościół i księża utrzymywali się z ogólnego dobra, zapewniając przytem swą opiekę starcom, kalekom i sierotom. Niestety, tego rodzaju urządzenie dało pole do wielu nadużyć! Sam prorok Brigham Young popełnił ich niemało.

Przebiegły umysł Younga silił się na zagarnięcie jak najszerszej władzy nad umysłami swych wiernych. W znacznej części, rzec można nawet w zupełności, wzbudził w nich wiarę w nadprzyrodzoną swoją siłę. Dzięki niepospolitemu sprytowi, wybrnąć zawsze zdołał z najbardziej zawikłanego położenia. Tysiączne o nim krążą anegdotki, będące rzeczywistemi faktami z życia proroka, podającego się częstokroć za Bozką wszechmoc dzierżącego na ziemi. Od licznych

świadków naocznych słyszałem zdarzenie następujące, za które prawie ręczyć mogę, iż jest rzeczywiste.

Pewien cieśla angielski utracił nogę, nieostrożnie pracując przy warsztacie. Spotkał się niezadługo po doznanem nieszczęściu z mormońskim misyonarzem, który wmówił w niego, iż prorok „Kościoła Jezusa Chrystusa podług świętych dni ostatnich“ posiada władzę czynienia cudów. Nawrócony na mormonizm, cieśla opuścił miasto swe rodzinne Liverpool, przepłynął ocean i po wielu trudnościach szczęśliwie przebytych, stanął w świętem mieście Salt-Lake-City, by uprosić wszechmocnego proroka o danie mu nowej nogi na miejsce utraconej. Przybycie cieśli w celach tak nadzwyczajnych narobiło niemało hałasu w całym stanie Utah. Brigham Young wysłuchał z powagą prośby kaleki i rzekł:

— Wszystko jest możliwe. Trwaj w modlitwie i czekaj zmiłowania bożego.

Cieśla modlił się z żarliwością i czekał cierpliwie. Wkrótce niebyło przykładniejszego mormona nad świeżo nawróconego cieślę, chcącego cud sobie wyprosić. Gdy już poczuł się dobrze ukrzepionym w wierze, stanął przed prorokiem i prosił o upragnione odzyskanie nogi. Brigham Young zbywał go czas jakiś niczem, zalecając wciąż żarliwość religijną. Wreszcie niemogąc już cudu obiecanego odwlekać dłużej, kazał cie-

ślę przywołać przed siebie i rzekł z namaszczeniem:

— Przyjacielu kochany, wezwałem cię, bo wreszcie otrzymałem od Boga odpowiedź w twoim interesie. Władze niebieskie nie sprzeciwiają się, bym cud dla ciebie uczynił, mogę ci więc natychmiast dać nową nogę, która zastąpi tę, którą utraciłeś. Chciałem się wszakże z tobą naradzić nad ważną bardzo sprawą. Wiesz dobrze, iż w dzień sądu ostatecznego powstaniemy wszyscy, przyobleczeni na nowo w ciała nasze, które prochem już były. Otóż, dodając ci teraz nową nogę na miejsce utraconej, będziesz miał w dzień sądu ostatecznego nie dwie, ale wszystkie trzy nogi, które ci za życia służyły. Będziesz wyglądał dziwacznie i będzie ci z trzema nogami bardzo niewygodnie. Masz obecnie lat 60, otóż prawdopodobnie krótsza cię pielgrzymka czeka na ziemi niż lata, które przeżyłeś. Sam więc przyznasz, iż lepiej, byś pozostał do końca życia z jedną nogą, ze względu na niedogodność, jaką spowodują ci trzy nogi, przez wieczność całą z tobą nierozłączne...

Zagrożony cieśla, iż wieczność trwać przebędzie o trzech nogach, podziękował prorokowi za mądrą i przyjacielską uwagę i zdecydował się czekać spokojnie śmierci o jednej tylko nodze...

* *
*

Obecnie od lat przeszło dwudziestu, minęły bezpowrotnie autokratyczne i pełne fantazyi rządy proroka Brighama Younga. Władze federalne narzuciły mormonom swoje prawa a pułk armii regularnej stojący załogą w zbudowanej z rozkazu kongresu fortecy, pilnuje, by mormoni strzegli się chęci stanowienia oddzielnego narodu, rządzącego się swojemi prawami. Mormonami wolno im być tylko w kwestyach religii dotyczących, wielożeństwo ich zaledwie jest tolerowane.

„Niewierni“, posłyszawszy o rozległych i żyznych dolinach stanu Utah, zbiegli się tłumnie nad brzegi Świętego jeziora i zaludnili obszerne kraje przez mormonów odkıyte, słusznie poniekąd przez tychże za ich własne uważane. W górach przebiegających stan Utah, owi „niewierni“ odkryli bogate kopalnie kruszczów rozmaitych i osiedlili się gęsto dla eksploatacyi złotodajnej rudy. Święte miasto Salt-Lake-City, dotychczas prawie wyłącznie modłom poświęcone, stało się wkrótce miastem ludnem i handlowem a co gorsza, przybiera ono coraz wyraźniej charakter wielkiej rozwiązłości i zbytku. Okoliczność ta spowodowaną jest ilością bogatych sąsiadujących z miastem kopalń. Żyjący w górach pod namiotami i w szałasach górnicy, zebrawszy trochę grosza, zjeżdżają do Salt Lake-City i hulają na wzór marynarzy przybywających do portu po długiej że-

gludze, zmuszającej do pełnego powściągliwości żywota.

* * *

Ubolewania nad profanacyą świętego miasta, wypowiadała mi pewnego wieczoru gorliwa mormonka, jedna z ośmiu wdów pozostałych, po którymś ze zmarłych apostołów. Siedząc wygodnie w fotelach rozstawionych na werendzie przed jej domem, oświetleni światłem elektrycznem filtrującem pomiędzy gałęziami wyniosłych drzew i gęstych krzaków, nieraz rozmawialiśmy o mormonach i ich obyczajach. Wdowa była kobietą inteligentną i zręcznie z pewnym liryzmem, opowiadać umiała i lubiła o dawnych czasach minionego okresu pasterskiego, gdy pod kierunkiem proroka i apostołów, lud mormoński wzrastał swobodnie w sile i doskonałości. Długie tak mijały godziny a ona wciąż mówiła, przeplatając swe opowiadanie mistycznemi uniesieniami, w których łączyć umiała z niezrównanym talentem tekst świętych ksiąg mormońskich z legendami innych religij. Rozmowy nasze przybierały często zwrot metafizyczny. Lecz gdy probowałem zwrócić rozmowę na temat wielożeństwa, otrzymywałem zazwyczaj odpowiedź wymijającą. Raz wszakże raczyła wypowiedzieć ogólny swój pogląd:

— Tę, którą mormon kocha w chwili obecnej, czyż może obchodzić ilość kobiet, które poprzedziły

ją w jego sercu? Teraz on jest jej mężem a ona jego wybraną małżonką. Poprzedniczki jej straciły już serce kochające ją dzisiaj a więc nie zważa na nie, tak jak nie zważają w podobnych okolicznościach kobiety innych wyznań na świecie całym. Każda nowo poślubiona żona łudzi się nadzieją, że serce swego męża na zawsze posiadła, że po za nią innych kobiet on nigdy nie dojrzy! Epoka ta stanowi okres szczęścia doczesnego. A gdy ona zanika, każda z kobiet wie, iż ulega tylko ogólnemu prawu. Poddaje się losowi, jak poddały się inne, czerpiąc pociechę w modlitwach...

* * *

Niezmiernie byłem ciekawy zbadać, o ile rodacy moi, francuzi, skłonnymi się okazali do przyjęcia religii nowoczesnych proroków. Odpowiadano mi, że o francuzach prawie nic się nie wie w stanie Utah, a jeżeli pragnę szczegółowo dowiedzieć się, powinienem zasięgnąć informacyi u konsula francuzkiego. Z radością przyjęłem wiadomość o istnieniu naszego konsula nad brzegami Słonego jeziora i puściłem się natychmiast na poszukiwanie urzędnika utrzymywanego kosztem Rzeczypospolitej francuzkiej, wśród ośmieszonych nad Sekwaną mormonów.

Przekonałem się wkrótce, iż oficyalnego konsula niema, lecz tytuł ten wszyscy nadają jedynemu, jak się zdaje, francuzowi, mieszka-

jącemu w Salt-Lake-City. Znalazłem go wśród sklepu z fortepianami, których sprzedażą się trudni. Leżał na kanapie, czytając ostatnią powieść Guy de Maupassanta. Przyjął mnie uprzejmie i śmiejąc się ze swego tytułu konsula, który niewiadomo dlaczego spadł nań prawie równocześnie z jego przybyciem w te strony, ofiarował mi swoje usługi i znajomość miejscowych stosunków. Jakim sposobem pan André, młody jeszcze i wykształcony człowiek, przybył i osiedlił się w Salt-Lake-City, nie potrzebuję tutaj nadmieniać, dość że ten dawny dziennikarz paryzki, któremu zdawało się kiedyś, iż bez bulwarów żyć nie potrafi, od lat dziesięciu nie ruszył się z miejsca i zupełnie zadowolnionym się zdaje z swego losu. Objaśnił mnie on chętnie, dopełniając zebrane przezemnie wiadomości dotyczące mormonów i świętych ich proroków. Z bezstronnością wypowiadał mi swoje poglądy, jak przystało na filozofa, patrzącego na wszystko uważnie, bez chęci przyłączenia się do tego lub innego stronnictwa. W jego towarzystwie zwiedziłem powtórnie miasto. Pokazał mi nagrobek Brighama Younga. Wielki kamień otoczony żelazną kratą, oznaczał miejsce ostatniego spoczynku proroka. Dziwiłem się skromności nagrobka, jak również obranemu dlań miejscu, wzdłuż chodnikajednej z większych alei miasta. Towarzysz mój dał mi oryginalne wyjaśnienie:

— Cała ta dzielnica świętej stolicy należy i wyłącznie jest zamieszkana przez potomstwo

pozostawione przez zmarłego. Spoczywa on w pośrodku ziemi niegdyś własnej a dziś będącej w posiadaniu licznych jego dzieci i jeszcze liczniejszych wnuków.

Zwiedziłem park obszerny i piękny a następnie, zawsze w towarzystwie pana André, zwiedziłem wystawiony przez władze federalne fort Douglas, gdzie przebywający stale oddział wojska strzeże, by mormoni niepodległości swej zbyt antikonstytucyjnie manifestować nie zapragnęli.

Powodowany zarówno ciekawością jak i budzącą się sympatyą dla mojego niezrównanie miłego towarzysza, zapytałem go z amerykańska w czasie obiadu:

— What is your business? Czem się pan trudnisz?

Pan André odpowiedział mi z uśmiechem:

Jestem profesorem. Miewam wykłady w uniwersytecie rządowym, w szkołach, oraz w domach prywatnych. Dochód mam ztąd bardzo przyzwoity i żyję, nie skarżąc się...

— Pan wykładasz język francuzki?—spytałem.

— Tak... lecz prócz języka francuzkiego, wykładam jeszcze mnóstwo innych przedmiotów.

Domawiając tych słów, pan profesor André podał mi swoją kartę wizytową, którą tłomaczę w całości, jako dowód niezrównanego sprytu francuzkiego, dozwalającego nam wszędzie znaleźć sobie kawałek chleba:

CYTRA, SKRZYPCE, FORTEPIAN,
GITARA, ORGANY, BANJO, MANDOLINA.
JĘZYKI: FRANCUZKI, NIEMIECKI,
HISZPAŃSKI I WŁOSKI.
Profesor ANDRÉ,
Tłomacz przy trybunałach a zarazem profesor języków cudzoziemskich, muzyki i fechtunku.

X.

W Kaliforni.

Czyż podobna, aby Stany Zjednoczone, składające się z krain, tak różnorodne posiadających warunki a zatem i potrzeby, mogły się długo utrzymać w jedności, w jednej i tej samej konfederacyi, rządzonej temi samemi prawami?

Pytanie tego rodzaju dość często napotykać się zdaje w dziennikach angielskich, zawistnem okiem patrzących na rozwój bogactwa, oderwanej przed wiekiem od Albionu kolonii. Możnaby toż samo zastosować pytanie do Anglii, posiadającej najrozleglejsze ze wszystkich państw kolonie, rozrzucone po wszystkich kontynentach.

Atoli pozostawiając rozstrzygnięcie tych kwestyj przyszłości, przewidzieć się z góry nie dającej, orzec dziś tylko można, iż ze wszystkich krajów w skład Stanów Zjednoczonych wchodzących, Kalifornia posiada najdogodniejsze i wszystkie warunki samoistnego bytu. Jako granice naturalne, posiada góry i morze, jako organy nieodzownie potrzebne dla niepodległego narodu—ma: stolicę, porty, sąsiadów słabych i źle zorganizowanych, ludność własną pracowitą i pomysłową, grunt żyzny i bogate kopalnie różnorodnych kruszców. Zaspokoić ona może wszelkie zapotrzebowania siłami własnemi, niczem z zewnątrz ich niedopełniając.

Historya Kaliforni rzec można, iż rozpoczęła się niespełna przed pół wiekiem. Rozwój jej tak był szybki i nadspodziewany, iż więcej do zaczarowanej baśni jest podobny, aniżeli do rzeczywistości.

Baśń tę czy legendę cudowności pełną, można podzielić na pięć wybitnych epok, stopnie rozwoju Kaliforni znaczących.

W chwili powstania, zawiązania się legendy, czyli w epoce pierwszej, kraj spoczywa całkowicie na łonie natury, wszechwładnie nad nim panującej. Dzięki bogactwu żyznego gruntu ogrzanego życiodawczemi promieniami słońca, roślinność z całą swobodą roztoczyła swe wdzięki. Pnie się ona pod szczyty gór zatopionych w chmurach a rozścielających swe stopy aż do

fal oceanu, stanowiącego przeciwległe krańce niezrównanie pięknego kraju. Po nad brzegami morskiemi powstaje pierwsze siedlisko ludzkie „Yerba buena“ (Dobra trawa), założone przez przybyszów meksykańskich. Niezadługo wznosi się rodzaj fortu. Założycielami jego jest garść awanturników wszystkich narodowości. Na ich czele stoi szwajcar, nazwiskiem Sutter, dawny oficer gwardyi Karola X, króla Francyi. Założyciele fortu trudnią się prawie wyłącznie myśliwstwem, z niego żyją i ambicyj innych, nad pomyślne łowy, żadnych mieć się nie zdają.

Epoka druga rozpoczyna się dla Kaliforni wraz z rokiem 1848, gdy Meksyk ustąpił ją sąsiednim Stanom Zjednoczonym. Przybywają natychmiast pierwsi pionierzy, jeden z nich znajduje nad strumieniem grudkę rodzimego złota. Wiadomość ta rozbiegła się szybko i Yerba buena zaczyna przybierać wygląd miasta, zwąc się od tej chwili San-Francisco. Coraz liczniej ściągają ze wszystkich stron koloniści, zamieszkując najczęściej w szałasach lub namiotach, by z łatwością módz zmienić pierwotnie obrane siedlisko. Ściągające do Kaliforni tłumy przybywały głównie w celu poszukiwania złota. Ziemi nie uprawiano, lecz kopano w niej doły, wyławiano piasek z łożyska rzek i strumieni, by go następnie płukać dla oddzielenia zawsze spodziewanych a często obficie znajdowanych złotych grudek piasku. Poszukiwacze złota strzegą się jeden

przed drugim; są to ludzie sobie nieznani i ze wszystkich stron świata przybyli. Każdy z nich trzyma łopatę w jednem a pistolet w drugiem ręku.

Epokę trzecią naznaczyć można na rok 1850, w którym wieść o odkrytych kopalniach złota, przyciągnęła przeszło 80,000 ludzi wszystkich ras i wszystkich narodowości. Od tej chwili Kalifornia zaludniać się poczęła a San-Francisco coraz wyraźniej zajmowało miejsce stolicy. Nadciągające tłumy kolonistów przybywały długiemi karawanami ze strony lądu a przybysze z za morza pozostawiali okręty, które ich przywiozły, na łup oceanu, nikt bowiem ztąd nie wracał a wszyscy pozostać pragnęli. W San-Francisco osiadali najzręczniejsi, najlepiej swoje interesa rozumiejący awanturnicy. Żyli oni z pracy innych, nie kopali oni złota własnemi rękoma, lecz czekali, by im to złoto przyniesiono, wymieniając je na artykuły żywności i ubranie, w które zaopatrywali swe kramy, ustawione naokoło błotnistego rynku stolicy. Liczniejsze od kramów były tam szynki, obsługiwane przez sprowadzane coraz liczniej prostytutki, zachęcające do gry i pijaństwa. Orgie trwały nocą, poszukiwanie złota trwało znojny dzień cały a rewolwerowe strzały śmierć przedwczesną siały ustawicznie, wywołane bedąc żądzą zagrabienia cudzej własności; gry i rozpusta przechodziły granice najniższych instynktów ludzkich.

Podobny stan rzeczy długo trwać nie mógł, chociażby ze względu na wciąż zwrastającą ludność. Pewna jej część skierowała swe usiłowania ku rozwinięciu rolnictwa. Z desek i okuć rozebranych okrętów dotychczasowo przez burze z portu nieuniesionych, spokojniejsza część emigrantów pobudowała sobie wygodne domki nieopodal jeden od drugiego, w celu wzajemnego solidarnego bronienia się przeciw napadom awanturniczych i zawsze pijanych poszukiwaczów złota. Wraz z osiedleniem się stałej ludności, San-Francisco zmieniać poczęło pierwotny swój charakter. Zmniejszyła się ilość szynków i z rynku ustąpiły one w boczne, ustronniejsze ulice. Miejsce szynków zajęły sklepy coraz ozdobniejsze i bogatsze. Powstają już teraz liczne osady, niektóre z nich tworzą miasta. Łączą je zaledwie widniejące gościńce a w lat zaledwie kilka, już wielka sieć kolei żelaznych kraj cały przecina. Najpiękniejsza przyszłość zapowiada się już teraz; tę przejściową epokę nazwijmy czwartą.

Dzień 10 maja 1869 r. rozpoczyna epokę piątą. W dniu tym sieć kolejowa Stanów Zjednoczonych wschodnich, połączoną została z siecią kolejową Stanów zachodnich, dzięki otwarciu linii łączącej Nowy York z San-Francisco, to jest kraniec wschodni z zachodnim, ocean Atlantycki z oceanem Spokojnym. Dzień otwarcia tej najdłuższej na świecie linii kolejowej, przecinającej wszerz

olbrzymią przestrzeń Stanów Zjednoczonych, był dniem pamiętnym i uświęconym wspaniałemi uroczystościami. Otworzył on nową erę w życiu skonfederowanych krajów a dla Kaliforni był on pierwszorzędnego znaczenia. Odtąd kraina ta nie przestała rozwijać się z niesłychaną szybkością, by stać się wreszcie tem, czem jest dzisiaj, to jest krajem najbogatszym w całej Unii amerykańskiej. Zadziwiająca szybkość faz, jakie prowincya ta przechodziła, godną jest podziwu. Obecnie już tam zapomniano o tak niedawnej, pełnej fantastycznych przygód przeszłości; cywilizacya zakwitła na tych legendarnych wspomnieniach. Poszukiwacze złota przemienili się w bogatych rolników a przybywający emigranci zwrócili się przeważnie do handlu i przemysłu. San-Francisco, z nędznej osady Yerba-buena powstałe, jest obecnie miastem jaśniejącem pięknością i bogactwem. Piasczyste morskie wybrzeże, na którem spoczywały rozbierane powoli okręty porzucone przez pierwszych przybyszów, stanowi obecnie wspaniałą ulicę, przeciętą tramwajami, pełną ruchu i życia. Pyszne pałace zastąpiły niedawno wznoszone przez koczowników szałasy i namioty. Obszerne skwery, kościoły, gmachy publiczne, uświetniają stolicę Kaliforni. Wytworne pałacyki i wille rozsiane na wzgórzach okalających handlową część miasta nad morzem, tworzą wraz z niezrównanie piękną roślinnością, ponętną dekoracyę, tło całości obrazu stanowiącą. Mia-

sto rozrasta się z dniem każdym, tak iż cyfrę ludności trudno jest oznaczyć, prawdziwą jest ona dzisiaj — jutro być nią przestaje.

* * *

Kalifornia przedstawia swój własny, odrębny, indywidualny charakter. Jest ona przedewszystkiem krajem rolniczym. Większość Stanów północnych, również uważać należy za kraje rolnicze, lecz tam ziemia jest podzieloną na średnie gospodarstwa, uprawiane przez właścicieli sprzedających płody swego gruntu, w najbliżej położonych miastach. Kalifornia zaś pod względem rolniczym, dzieli się na dwa wprost odmienne rodzaje gospodarstwa: spółkowe na wielką skalę, oraz drobne gospodarstwa uprawiane przez pojedyncze rodziny.

Licznie zawiązane bogate Towarzystwa spółkowe w celach rolnicznych, eksploatują ziemię na olbrzymich obszarach. Pola zasiane zbożem, miewają tysiące hektarów rozległości. Towarzystwa rolnicze, rozporządzając potężnemi kapitałami, posługują się przy robocie najdoskonalszemi maszynami, które orzą, sieją, koszą i młócą zboże, będąc poruszane siłą pary. Tenże sam system i na równie rozległych obszarach, zastosowały towarzystwa rolnicze do uprawy winnic. Plony niezmierzonych okiem łanów zboża i winnic, towarzystwa te sprzedają wprost innym towarzystwom spółkowym, trudniącym się wywo-

zem do krajów najodleglejszych. Podobny system traktowania gospodarstwa rolnego, przynosząc wielką oszczędność w najmie rąk roboczych, oraz nieulegając wyzyskowi pośredników, daje nieznane w Europie dochody, do czego się jeszcze przyczynia niesłychana zyzność gruntu.

Obok olbrzymich spółek traktujących rolnictwo w sposób czysto przemysłowy i rozwijających swą działalność w głębi kraju, istnieją drobne gospodarstwa, zazwyczaj w pobliżu miast rozsiadłe. O ile wielkie gospodarstwa dbają wyłącznie o ilość plonu o tyle drobne zwracają uwagę na jakość.

Właściciel paru lub kilku, czasami kilkunastu hektarów ziemi, buduje sobie dom mieszkalny z drzewa, otacza swój grunt murem z polnych kamieni spojonych gliną i oddaje się wraz z rodziną uprawie wyłącznie jednego produktu. Sadzi więc tylko kartofle lub inne jarzyny, tylko drzewa oliwne lub owocowe, lub oddaje się hodowaniu drobiu. Drobne gospodarstwa sprzedają swe produkty w sąsiedniem mieście komisyonerom dostawiającym potrzebne ilości jarzyn, owoców i drobiu na targi miejskie, resztę zaś wysyłają ciż sami komisyonerzy w skrzyniach i koszach dalej, do innych stanów lub odleglejszych jeszcze krajów, albo też w fabrykach na miejscu przerabiają surowe materyały na konserwy, rozchodzące się w blaszanych pudełkach, zdobnych w kolorowe etykiety, po całej kuli ziemskiej

W każdem większem mieście na wszystkich kontynentach, widnieją w oknach sklepowych owe jaskrawe pudełka konserw rozmaitych, przerobionych z płodów drobnych gospodarstw rolnych, bogatej i pełnej przemysłowego rozwoju młodej Kaliforni.

Pomyślność osiągniętych korzyści materyalnych za pomocą drobnego gospodarstwa, przypisać należy staranności, z jaką są prowadzone. Najlepsze nasiona, najlepsze szczepy, sprowadzane są chociażby z najodleglejszych okolic a odkrycia czynione przez naukę i wypróbowane w szkołach rolniczych, natychmiast z całą skrzętnością drobni gospodarze stosują u siebie. Dzięki tej zabiegliwości, sumienności i zamiłowaniu pracy zaopatrują oni świat cały w produkta niezrównanej doskonałości. Zwiedzane przezemnie drobne gospodarstwa w Kaliforni, pozostawiają w tyle wszystkie ogrody słynnych hodowców jarzyn, owoców i nowalij z okolic Paryża. Ich urządzenia racyonalnej hodowli drobiu o ileż pozostawiają w tyle, starannie urządzone domki i klatki z drobiem w paryzkim Ogrodzie aklimatyzacyjnym! Widziane przezemnie maszyny do wylęgania jaj i karmienia drobiu, są arcydziełami doskonałości w tym kierunku. Prostotę budowy łączą z prostotą zastosowania praktycznego.

Osadnicy, oddający się z takiem niezrównanem powodzeniem drobnym gospodarstwom w okoli-

cach podmiejskich na całej przestrzeni Kaliforni, najróżniejszego są pochodzenia. Najliczniejsze są wszakże rodziny pochodzenia włoskiego, francuzkiego i hiszpańskiego. Osadnicy ci nie zapomnieli jeszcze o rodzinnych swych krajach, kochają ich wspomnienia, lecz przywiązali się do nowych siedzib z namiętnością chłopa, przywiązanego przedewszystkiem do zagonu, który żywi jego i całą najczęściej liczną jego rodzinę. Tworzą oni w Kaliforni niezwykle sympatyczną warstwę społeczną a dla kraju, który zamieszkują, stanowią jeden z głównych elementów, niezmiernego jej bogactwa.

* * *

Kalifornia zwraca uwagę nietylko swem rolnictwem. Kopalnie kruszców przynoszą jej przeszło 120 milionów dolarów rocznego dochodu. Prócz kopalni złota, srebra i merkuryuszu, posiada ona bogate pokłady węgla, których odkrycie przyczyniło się do gwałtownego rozwinięcia jej przemysłu. W przeciągu pół wieku, odkryte — rzec można, przedtem bowiem nieznane i niezaludnione—obszary Kaliforni stanowią dziś państwo wystarczające sobie pod wszelkiemi względami. Kalifornia nie sprowadza żadnych, ani surowych, ani przerobionych produktów a w zamian zalewa rynki świata, swem zbożem i płodami ogrodowemi. Dzięki nadmiarowi swego dobrobytu sprowadza tylko wyroby zbytku, rzec można

iż więcej przez ciekawość, aniżeli potrzebę, która na miejscu zaspokojoną być może przez fabryki i specyalistów w miastach osiadłych. Bogate miasta Kaliforni, chętnie przyciągnąć ku sobie usiłują artystów, którzy wyjeżdżają ztąd obsypani złotem i kwiatami.

Z nowopowstałych a dziś już pierwszorzędnych przemysłów, wymienić należy: cukrownie, fabryki broni i budownictwo okrętów.

* *
*

Turysta, poszukujący wrażeń, znajdzie je niezawodnie i wyjedzie oczarowany ich rozmaitością odbywszy podróż po Kaliforni. Znajdzie on tutaj niezrównanie piękne niebo, szerokie horyzonty, niespodziewane cuda natury, urocze krajobrazy, obok wyrafinowanego przez cywilizacyę zbytku i komfortu. W Monterey mieście wypoczynku, w rodzaju Pau we Francyi, lub Vevey w Szwajcaryi, znajdzie, prócz wiosennego klimatu i wspaniałego malowniczością położenia, zbytek posunięty do maksymum. Miejscowy Hotel-del-Monte, przedstawia typ niezwykły w swoim rodzaju. Posiada 50 salonów i tysiąc numerów dla przybywających podróżnych, zbudowany jest wśród olbrzymiego parku, równie wspaniale i bogato urządzonego jak sam hotel. Zbiera się tam zazwyczaj najbardziej wykwintne towarzystwo z całej Ameryki.

W San José i Santa Clara, turysta z podziwem zwiedzi dwadzieścia obecnie tam istniejących szkół wszelkiego rodzaju, gdzie wzrasta przy nauce całe przyszłe pokolenie, wśród swobody wiejskiej i racyonalnego życia. Szkoły urządzone i prowadzone są wzorowo.

W okolicach miasta Calistoga, znajdzie źródła mineralne najrozmaitszych własności leczniczych. Uczęszczane są one przez tysiące zdrowych i chorych, szukających rozrywki albo uzdrowienia. Nieopodal zwiedzić można ciekawe lasy skamieniałe, których drzewo nabiera twardości i połysku marmuru, przy właściwem oszlifowaniu przepiłowanej powierzchni. Wśród oryginalnego kamiennego lasu, wytryskują geisery o wiele przewyższające ciekawością swego zjawiska słynne geisery w Islandyi. Pełno wśród lasu źródeł mineralnych zimnych lub gorących, siarczanych, słonych, żelaznych wszystkich odorów a nawet różnokolorowego zabarwienia.

Puściwszy się w podróż ku południowi, turysta napotyka miasta hiszpańskiego pochodzenia, jak wskazują ich nazwy: Santa Barbara, Los Angeles, San Bernardino, San Diego. Wznoszą się one wśród uroczych miejscowości, obdarzonych wyjątkową temperaturą, ciepło wiosenne wiecznie posiadającą. Olbrzymie drzewa palmowe i niezwykłej barwy i kształtów, kwiaty dziko rosnące — przypominają, iż jest to już strefa podzwrotnikowa. Bogactwo flory łączy się tu

taj z majestatycznością skał o harmonijnych liniach i czarownych efektach oświetlenia.

* * *

Najciekawszą wszakże mojem zdaniem, jest wycieczka do Yosemite Valley w górach Sierra Nevada.

Po drodze zatrzymałem się dla zwiedzenia godnych uwagi „Wielkich drzew", (Big Frees), rosnących w lasach Mariposa oraz w lasach Calaveras. Drzewa te należą do gatunku cyprysów, noszącego naukowe miano Sequoia gigantea. Wiekiem, wyniosłością i objętością — przechodzą one wszystkie słynne temi przymiotami drzewa na kuli ziemskiej, przez turystów podziwiane. Największe wśród tych cyprysów drzewo, nazwane zostało Herkulesem.

Podaję ścisłe jego wymiary, by dać pojęcie o innych, niewiele ustępujących temu leśnemu olbrzymowi. Herkules posiada 29 metrów 90 centymetrów obwodu, wysokością zaś przewyższa 100 metrów. Jeden z cyprysów ma wyciętą w swym pniu bramę, pod którą przechodzi szeroki gościniec.

Do niedawnych jeszcze czasów, Yosemite Valley zamieszkaną była przez plemię indyjskie. Obecnie indyanie ustąpili dalej a dolina stała się własnością rządu, który chciał ją w ten sposób zabezpieczyć od jakiegokolwiek zniszczenia, chociażby w postaci osady lub miasta. W rę-

kach rządu nieulegnie ona żadnej przemianie i zachowana zostanie w swej niezrównanej piękności, jak cenny obraz w galeryi arcydzieł. Najsławniejsze malowniczością okolice Alp lub gór Pirenejskich — słabe zaledwie dać mogą pojęcie o cudach przyrody, roztaczających swe wdzięki w Yosemite Valley.

Wzdłuż doliny rzeka Merced toczy spokojnie swe wody po krętem łożysku, raz szerokiem, to znów ścieśnionem skałami, wśród których przeciska się w kaskadach. Wody rzeki zadziwiającej są przezroczystości, pomimo iż w miejscach, gdzie rozszerza się po bardziej płaskich brzegach, bujna wodna roślinność zdobi jej tonie w liście i kwiaty. Miejsca skaliste nagie przedstawiają głazy, gdzieniegdzie tylko strojne sosnami, wyrastającemi ze szczelin trochę ziemią napełnionemi. Dolina w tem miejscu tak jest głęboka, iż słońce tylko w południe bieg rzeki oświetla.

Nieco dalej dolina zmienia się zupełnie. Ze skał rozstąpionych szeroko, spływają tysiączne kaskady z różnej wysokości i różnej siły. Drzew prawie że niema a wilgocią przesiąkły grunt doliny sprzyja rozwojowi bogatej roślinności o nieznanych kształtach liści i kwiatów. Opodal znów widok odmienny. Pomiędzy wyniosłemi, prawie prostopadłemi ścianami skał, szeroko rozwarta dolina, porosłą jest olbrzymiemi drzewami. Cień przez nie rzucany tak dalece światło po-

wstrzymuje, iż najdrobniejsza nawet trawka nie urozmaca szarzejącej pod drzewami ziemi. Przebywszy ten las, wśród którego wije się kręta przezroczysta woda rzeki, zdumionym oczom ukazują się skały „katedry“. Noszona przez nie nazwa, słusznie im została nadaną, tak dalece rozłamane ich wąwozy i szczyty utworzyły podobieństwo, wyobrażające kształty paręset metrów wysokości mającego kościoła. Kształty tych skał, nietylko że przypominają ogólnym swym zarysem architekturę kościelną, lecz w szczegółach ją nawet oddają. Podziw mój przeszedł wszelkie oczekiwanie, uniesiony byłem zachwytem dla tego dzieła natury, z którego mistrze architektury średniowiecznej zaczerpnąć musieli pierwiastkowe swe natchnienie!

* * *

Chciałem widzieć San-Francisco ze strony morza. W tym celu wsiadłem na okręt w jednym z licznych w Kaliforni portów. Poranek był piękny, powietrze przezroczyste a niebieskie fale oceanu lekko tylko kołysały okrętem pełnym podróżnych. Przepływamy koło wysp Farallones; skały ich zębate i fantastycznie porozrywane, pięknie odbijają o pogodne, jaśniejące niebo. Ląd zaczyna się wychylać. Tworzy jakby długą złoto-żółtą linię. Są to wzgórza piaszczystego wybrzeża, które ciągnie się w dal, rozpływając się skutkiem oddalenia. Linia widzialna, prze-

ciętą się być zdaje naprzeciw punktu, z którego ku nim spoglądam. Okręt dąży szybko w tym kierunku i widzę coraz wyraźniej rozstępujące się w tem miejscu wzgórza, dla dozwolenia wstępu morzu, które wązkim przesmykiem wciska się w głąb kontynentu. Coraz więcej występuje szczegółów. Po prawej stronie szarzeje szereg drobnych wysepek a na wyżynie odróżniam gmachy. To Cliff-House. Płyniemy dalej i przebywamy teraz ów wązki z daleka przesmyk morski, wciskający się w rozwarte piasczyste wzgórza wybrzeży. Wejście do naturalnego tego kanału, nazywa się „Złotą Bramą“. Brzegi kanału zielenią się po obu stronach a wśród drzew wyłaniają się całe, lub kawałki domów i parków. Duże i małe statki parowe, stoją na kotwicach lub szybują po kanale a wielkie ptaki morskie unoszą się wysoko, albo skrzydłami muskają po wodzie.

Mijamy Presidio, fortecę na wzgórzu, podobniejszą z daleka do dziecinnej zabawki, aniżeli do czegoś grozę i trwogę mieszczącego w swych murach. Okręt nasz zwalnia stopniowo bieg dotychczasowy i wyraźnie odczuwam, że zbliżamy się do portu wielkiego miasta. Raptownie kanał zakręca i wypływamy na olbrzymie jezioro o krańcach ledwie dostrzegalnych skutkiem oddalenia. Jesteśmy w zatoce San Francisco.

Miasto rozsiadło się na dziesięciu pagórkach, W dole ich ciągną się ocembrowane wybrzeża.

wzdłuż których ruch jest największy i dla oka najlepiej dostrzegalny. Nieco wyżej, domy zbite są gromadnie i licznie. Jest to dzielnica przemysłowo-handlowa. Po nad nią unoszą się wierzchy pagórków z tysiącami pałaców i domków rzuconych zrzadka pośród falującego gruntu przepysznego parku. Amfiteatralnie przedstawiający się ze strony morza widok San-Francisco, zachwyca oczy swą malowniczością. Niebo oraz oświetlenie przyczyniają się niemało do upiększenia czarownej dekoracyi.

* * *

Amerykanie nazywają San Francisco „Stolicą Zachodu" albo „Królową oceanu Spokojnego".

W ogóle lubią oni używać przenośni dla wyrażenia swych myśli, lecz niezawsze posługują się przenośniami stosownie i zręcznie, tym razem wszakże należy im oddać sprawiedliwość, iż nie można było znaleźć stosowniejszego określenia dla teraźniejszości i przyszłości miasta San-Francisco. Odgrywa ono obecnie i odgrywać będzie w nieskończone wieki, rolę łącznika pomiędzy Ameryką, Azyą i Australią. Przeróżne się składają okoliczności, by sąd taki, wydany naprzód, uważać za nieomylny. Niektóre z tych okoliczności są następujące: San-Francisco posiada naturalny, największy i najbezpieczniejszy port o łatwym zawsze przystępie; siecią swych kolei do koła centralizuje handel i przewóz podróżnych ca-

łych Stanów Zjednoczonych; San-Francisco nadto posiada położenie klimatyczne uprzywilejowane, okolice pełne powabu, jest wreszcie stolicą kraju niezrównanego bogactwa przyrodzonego a spoczywającego w ręku ludności pracowitej, inteligentnej i niezwykle przemyślnej. Wyjątkowo dodatni zbiór tych wszystkich warunków otwiera dla San-Francisco podwoje najświetniejszej przyszłości.

* *
*

Mieszkańcy stolicy jak i całej Kaliforni, przedstawiają typ wielce odmienny od reszty mieszkańców Stanów Zjednoczonych. W San-Francisco domy i ludzie przedstawiają wielką rozmaitość, podczas gdy w reszcie Stanów, wszystko przyobleczone jest jedną i tą samą powłoką. Dzięki przewadze krwi łacińskiej, płynącej w żyłach mieszkańców Kaliforni, kraj oraz miasta przedstawiają ruchliwość połączoną ze swobodą pełną wesołości. Cóż za niesłychana różnica istnieje pomiędzy gwarną i wesołą ulicą San-Francisco a pełną pośpiechu automatycznego o ponuro milczącym wyglądzie, w Nowym Yorku, Filadelfii lub Bostonie! O ile w San-Francisco ludzie mkną lub spacerują po ulicach z życiem, naturalnym wdziękiem i z gibkością ciału właściwą, o tyle tam publiczność strzeże się w imię dobrego tonu, najlżejszych objawów tego rodzaju; w San-Francisco ludzkie twarze zmieniają wyraz, stosownie do

uczuć i wrażeń, gdy tymczasem tam sztywność i obojętność oblicza uważaną jest za cechę dobrego ułożenia. Zadziwiające słyszałem pod tym względem uwagi, czynione mi nawzajem przez ludzi zamieszkujących Stany Wschodnie i Zachodnie. Mieszkańcy Filadelfii, Bostonu i t. d. wstydzą się, zwłaszcza przed cudzoziemcem, głośnych śmiechów i swobodnych ruchów, swych rodaków z Zachodu. Niejednokrotnie mówiono mi w rodzaju tłomaczenia i z pobłażliwym uśmiechem:

— Niech pan nie zważa na dziwaczne zachowanie się tego człowieka. Pochodzi on z Zachodu...

Wyznaję, iż na mnie osobiście o wiele sympatyczniejsze czynią wrażenie, mieszkańcy owego Zachodu. Lecz jest to zapewne kwestya powinowactwa rasowego. Jako francuz, jestem z konieczności przeciwny nawet refleksom ociężałości i sztywności charakteryzującej rasę anglo-saksońską. W San-Francisco czułem się wśród swoich i u siebie, podczas gdy w innych miastach byłem turystą, zwiedzającym kraj obcy.

* * *

W kraju, który przebył wszystkie cywilizacyjne fazy w przeciągu pół wieku, życie przyśpieszonem bije tętnem. Rok każdy, dzień każdy, przynosi z sobą tyle najróżnorodniejszych faktów oddziaływających na ustrój umysłów, myśli i od-

wrotnie, iż czas inną się wydaje mieć rozciągłość, by módz ogarnąć ogrom tej działalności. Dlatego też epoka odkrycia złota, przybycia jego pierwszych poszukiwaczów, ich czerwone koszule, długie buty i pistolety, wydaje się dziś należeć, do historyi starożytnej, prawie bajecznej i opowiada się ją dzieciom, prawie w tej formie jak u nas baśnie o zaczarowanej królewnie, lub olbrzymich rozbójnikach.

Teraz ślady tych czasów, zamierzchłych początków historycznych, tak dalece znikły i zatarły się w pamięci, iż uczestnicy dotychczas żyjący, pamiętać się ich nie zdają inaczej jak z opowieści swych ojców lub dziadów. Jeden się tylko pozostał obyczaj: monetą bieżącą jest złoto, podczas gdy w reszcie Stanów, kursują wstrętnie brudne papiery bankowe.

W salonach „Union pacific Club“ mówi się często o nadzwyczajnych hazardach giełdowych, o milionowych fortunach w jeden dzień nabytych lub straconych, stają tam zakłady o krocie dolarów, lecz ludzie po salonach wytwornego klubu krążący, zaniechali flanelowych czerwonych koszul i wysokich butów, by przybrać się stosownie do otoczenia, we frak skrajany podług najświeższej mody londyńskiego lub paryzkiego pomysłu.

Ogół kobiet w San-Francisco odznacza się niepospolitą urodą i wrodzonym wdziękiem. Ubierać się lubią strojnie, ekscentrycznie lubo gusto-

wnie i zawsze marzą o sukniach wprost z Paryża nadejść mających. Spacerują chętnie po ulicach, zatrzymując się przed magazynami; lubią kwiaty i wesołość. Zachowanie się ich na ulicy, w teatrze lub restauracyi, razić może nowoprzybywającego cudzoziemca nadto wielką swobodą. Lecz te pozory kryją obyczaje zazwyczaj surowe i gruntowne wykształcenie.

* *
*

Jedną z ciekawości San-Francisco jest cała jego dzielnica, wyłącznie przez chińczyków zamieszkana. W epoce rozwoju Kaliforni, gdy trzeba było wielu rąk do budowania linij kolejowych, mostów i miast całych, sprowadzono parę okrętów chińczyków, jako robotników odznaczających się pracowitością i taniością. Ci pierwotnie przybyli synowie Niebieskiego państwa, sprowadzili za sobą dziesiątki tysięcy współbraci, znajdując, iż otrzymywana w Kaliforni płaca, jest o wiele lepszą, aniżeli przypuszczać mogli chociażby w marzeniu. O ile chętnie widziano pierwszych przybywających chińczyków, o tyle teraz, gdy roboty nadzwyczajne nie istnieją, stan rzeczy się zmienił; zarzucają im, że z powrotem ku Azyi nie wracają, lub że wyrzekłszy się narodowości chińskiej nie zarzucą swych obyczajów oraz religii. Najpoważniejszym z czynionych im zarzutów jest ten, iż, zadawalniając się drobnym zarobkiem, wpływają na obniżenie płacy roboczej.

Opinia publiczna żywo jest tą kwestyą zainteresowana i pod wrażeniem słuszności tego zarzutu, zaczęła im czynić inne, żadnej najczęściej niemające podstawy a mianowicie: przypisywano chińczykom wszystkie kradzieże i zabójstwa popełnione w stolicy. Posądzano ich o niemoralność skutkiem braku między nimi kobiet, uważając ich przytem za bałwochwalców i szerzących choroby wynikające z niechlujstwa. Poruszenie opinii publicznej stało się tak żywe i ogólne, że kongres dla zaspokojenia rozbudzonych namiętności, wydał postanowienie, mocą którego wstęp na ziemię Stanów Zjednoczonych, jest chińczykom wzbroniony.

Zwiedzenie dzielnicy chińskiej w San-Francisco jest dość ciekawe, lecz przedewszystkiem budzi wstręt nieprzezwyciężony. Ulice zdają się być w całości przeniesione z Kantonu. Nie są to zwykłem tego słowa znaczeniu ulice, lecz nizkie korytarze i zaułki ciemne i wilgotne, pośród domków skleconych ze starych desek i do połowy do suteryn zapadłych. W jamach tych podziemnych, zbici prawie na kupę, żyją nieszczęśni lecz odrazę najwyższą budzący chińczycy. Liczba ich w San-Francisco przenosi 40,000. Znaczna ich część dąży na cały dzień do miasta na zarobek a do nędznej dzielnicy powraca po odbytej robocie, by wieczór spędzić przy grze i paleniu opium. Inni trudnią się handlem, sprzedając przedmioty przeważnie wprost z Chin sprowa-

dzone. Chińczycy zachowali swój strój narodowy, obyczaje, wystawili pagody, teatry, pozakładali swoje stowarzyszenia jawne i tajemne, żyją tylko z sobą, kraj i ludzi miejscowych uważając jedynie za materyał, nadający się do ciągnięcia jakich takich korzyści materyalnych.

Władze sanitarne, uważając dzielnicę chińską za gniazdo chorób i gniazdo niedające się oczyścić jak tylko doszczętnem zniszczeniem, humanitarnemi względami załatwić tej sprawy niemogąc, ograniczają się do surowego przestrzegania, by obręb dzielnicy nie został przez jej mieszkańców przekroczony. Jest to rodzaj średniowiecznego Ghetto, tylko inna rasa ludzka jest w niem osadzoną.

Ponieważ praktyczność amerykańska ze wszystkiego potrafi korzyść wyciągnąć, więc też dzielnica chińska opiewana jest w przewodnikach, jako, nadzwyczajność godna widzenia a nawet szczegółowego zwiedzenia. Olbrzymie afisze, ponalepiane we wszystkich miastach Stanów Zjednoczonych, nęcą turystów ku chińskiej dzielnicy w San Francisco, gdzie każdy większy hotel, posiada kilku specyalistów przewodniczących i ułatwiających wycieczkę.

* *
*

Niedzielę w San Francisco ludność spędza w tenże sam sposób, jak pracowita ludność pa-

ryzka. Po pracy przez tydzień cały, wypoczynek jest niezbędnie potrzebny i to nie wypoczynek powagą, chłodem i martwotą nacechowany, na wzór angielski, lecz wypoczynek połączony z rozrywką, spowodowaną chociażby wycieczką pozamiejską. Mieszkańcy San-Francisco rozumieją to równie dobrze jak pokrewni usposobieniem paryżanie. Wszystkie tramwaje, linie kolei żelaznej, statki w porcie— przepełnione są tłumami publiczności wyjeżdżającej co niedzielę po za miasto. Napatrzywszy się na pośpiech, wesołość i ochoczość wyjeżdżających, skierowałem się ku „Bramie złotej“, gdzie się znajduje jeden z najwspanialszych parków, jakie kiedykolwiek widziałem. Drzewa parku nie miały czasu rozrosnąć się należycie, od lat bowiem niedawnych park ten istnieje, lecz drzewa dobrane są umiejętnie i starannie, tak iż żaden gatunek nie został pominięty a piękniejsze uwydatnione są właściwie obranym dla siebie miejscem, pieszcząc oko pięknością swych kształtów i rozmaitością odcieni w zabarwieniu liści. Trawniki, falując po nierówności gruntu, zdobne są w najpiękniejsze kwiaty. Starannie utrzymane aleje i dróżki wiodą ku kioskom, w których przygrywa muzyka, ku wodotryskom lub piękniejszym ustroniom. Po za rozległemi łąkami, przeznaczonemi dla publiczności bawiącej się w gry najrozmaitsze, znajdują się wspaniałe cieplarnie, które mi przypominały słynne kryształo-

we pałace botanicznego ogrodu w Kiew pod Londynem.

Z parku dojechać można w kilkanaście minut koleją nad brzeg oceanu Spokojnego. Pociąg zatrzymuje się naprzeciw wejścia do ogrodów pana Sutro.

Pan Sutro należy do licznych w Stanach Zjednoczonych milionerów, którzy zdobytą w ciągu życia fortunę wydają na pożyteczne cele publiczne. Jest on założycielem bogatej biblioteki publicznej w San-Francisco, prócz tego ofiarował miastu wspaniałą swoją rezydencyę pozamiejską, przekształcając ją dla tym większego pożytku publicznego, na ogród aklimatyzacyjny. Pan Sutro więcej chciał jeszcze uczynić, lecz tym razem chęci jego nie zostały poparte należytą znajomością kwestyi wprost ze sztuką złączonych. Chciał przyozdobić ogród statuami odtwarzającemi arcydzieła sztuki. Złych i nieświadomych, jak sam, dobrał sobie pomocników, którzy poczynili liczne, zbyt liczne zakupy, albowiem prawie że pod każdem drzewem widnieje statua, lecz, zamiast ozdobę, stanowi ona oszpecenie wspaniałego parku!... Zbyt wielka ilość posągów jest wprost rażącą, wywołuje bowiem niemiłą pstrokaciznę a jakość ich, zamiast kształcić gust publiczności, paczyć go będzie w sposób niemiłosierny. Tak więc szlachetny cel dobrego pana Sutro, chybionym jest w zupełności!...

W pobliżu ogrodu aklimatyzacyjnego, ofiarowanego swym rodakom przez p. Sutro, znajduje się słynna restauracya „Cliff House“. Mieści się ona w pysznych pałacach, wzniesionych na szczycie pagórka zanurzającego się prawie prostopadle w fale oceanu Spokojnego. Widok z tarasów jest czarujący, tak w stronę lądu jąk i na morze. Prawie u stóp pagórka leży kilka wysepek, na których stada fok i rozmaitego morskiego ptactwa, używa bezpiecznej swobody, polowanie bowiem jest surowo w tem mianowicie miejscu wzbronione. Foki i ptaki należą do „Cliff House“ i mają wyznaczoną sobie misyę, zabawiania swemi ewolucyami gości, siedzących na tarasach wśród parku, przed restauracyjnemi stolikami.

IX.

Miasta: Saint-Louis, Chicago.

Długie godziny i dnie całe spędziłem w wagonie, chcąc zwiedzić miasto Saint-Louis, założone przez śmiałych, awanturniczego usposobienia marynarzy francuzkich w czasie gdy Luizyana była ziemią do Francyi należącą. W wieku XVIII zwiedzili oni cały bieg rzeki Mississippi, zakładając osady, mające służyć za bióra han-

del kraju centralizujące, osady te stały się obecnie kwitnącemi miastami.

Chciałem naocznie się przekonać, o ile jeszcze pozostało śladów z kolonizacyi francuzkiej.

Przybyłem do Saint-Louis wczesnym bardzo rankiem i natychmiast puściłem się po ulicach, jeszcze uśpionych, by dojść do rzeki do sławnej Mississippi. Rzeka toczy swe nurty tak wspaniale szerokiem korytem, iż przeciwny jej brzeg z trudnością i zaledwie można dojrzeć. Wzdłuż ocembrowanych nadbrzeżnych bulwarów, stało mnóstwo statków prywatnych, owiniętych dla ochrony w płótno. Stała tam również wielka ilość statków mniej starannie utrzymanych; między niemi zwracał uwagę olbrzymi parochód sześciopiętrowy, przeznaczony do ustawicznego kursowania po rzece i rozwożenia podróżnych po miastach nadbrzeżnych. Nazwa jego „Natcher“ zwróciła moją uwagę, przypominając mi plemię indyjskie tegoż nazwiska, niegdyś po nad Mississippi koczujące.

·Nieszczęśni natcherowie, niegdyś samowładni panowie tej krainy, dziś już nie istnieją! Zagładzeni, zmiażdżeni zostali przez cywilizacyę z po za oceanu przybyłą... Olbrzymia rzeka, „Nilem pustyni“ przez Chateaubrianda nazwana, płynie wciąż równie wspaniale jak dawniej, chociaż jej brzegi zupełnemu uległy przeistoczeniu. Lasy dziewicze znikły, wytrzebione przez ludzi niezadawalniających się rozkoszowaniem nad pięknością natury. Wraz

z lasami pierzchły stada bawołów i różnobarwnych ptaków wodnych, które zaledwie gdzieniegdzie zakładają nieśmiało gniazda swe na drobnych wysepkach, przez ludzi niezamieszkanych. Piękności miejscowej flory i fauny zastąpili ludzie fabrykami, gęsto wśród siedzib rozsianemi. Dawne cuda natury pozostały już tylko w pieśniach poetów.

Z nad brzegów rzeki, gdzie zatrzymałem się dość długo w pobliżu olbrzymiego i wyniosłego mostu, Saint-Louis wygląda jakby zbudowanem było na trzech stopniowo zstępujących ku wodzie tarasach, ponad któremi z tyłu wznosi się łańcuch gór wyższych, zwany „pagórkami świecącemi“. Miasto rozszerza się z każdym rokiem znacznie, budując się jak inne ku zachodowi, bezwiednie ulegając w tym względzie ogólnemu a niczem niewytłomaczonemu prawidłu. „Wielka Aleja“ przecinająca miasto, przedłużając się wciąż ku zachodowi, przebiega już obecnie 12 mil angielskich. Zawróciłem ku miastu, które się już budzić zaczynało. Wózki rozwożące nabiał, pieczywo, lód i inne artykuły spożywcze, żwawo krążyły po ulicach a murzyni czysto, nawet elegancko ubrani jak gentlemeni, myli szyby sklepowe, lub czyścili klamki i metalowe ozdoby drzwi i okien. Ulice wydały mi się czyste, dobrze brukowane, wiele z nich nosi miana francuzkie, lecz prócz nazwy niektórych ulic, wszystko tu jest amerykańskie: ludzie i gmachy jak również magazyny i szyldy.

Liczne są w Saint-Louis rodziny pochodzenia francuzkiego. Szczycą się one z tego i z dumą wielką o tem wspominają przy każdej zdarzonej okazyi. Mimo to wszakże, przekonaniami swemi, obyczajami domowemi, przywiązaniem do gwiaździstej chorągwi Stanów Zjednoczonych—świadczą, iż narodowość zmieniły bezpowrotnie; mówią tylko po angielsku a francuzkie swe nazwiska kaleczą, wymawiając. Nie mogę im tego brać za złe, albowiem wszystkie inne narodowości europejskie, spotykane przezemnie w Stanach Zjednoczonych, już w drugiem pokoleniu zatracają pierwotną swą narodowość, uważając się za amerykanów, tak dalece jest potężną siła żywotna, pochłaniająca na swą korzyść przybyszów ze starego kontynentu. Znędzniałym biedą materyalną lub głodem moralnym, ciasnotą naszych horyzontów, młode Stany Zjednoczone zarówno życzliwie otwierają swe przybytki dające wolność, łatwe zaspokojenie potrzeb a zatem prawie że szczęście. Jakże się dziwić, że ci przybysze, przejęci wdzięcznością, chorągiew amerykańską wkrótce za swoją poczytują?

Jedynym zabytkiem z epoki francuzkiej jest katedra katolicka. Na frontonie kościoła, wyryte są po francuzku napisy i nazwiska fundatorów. Wnętrze katedry jest obszerne, ponure, przypominające wnętrza starych katolickich kościołów w Europie, bardziej ono zachęca do modlitwy, aniżeli wytworne, pełne światła i komfortu, nowe

kościoły w Stanach Zjednoczonych wznoszone. Katedra w Saint-Louis stoi niedaleko rzeki, w starej a raczej pierwotnej części miasta, uczęszcza do niej najbiedniejsza tutejsza ludność katolicka, przeważnie z irlandczyków złożona. Nowych kościołów katolickich jest w Saint-Louis kilka, leżą one w bogatych dzielnicach i odznaczają się przepychem urządzenia.

Zaszedłszy do nich w czasie nabożeństwa, uderzony zostałem niezwykłym faktem, iż o wiele więcej między zebranymi ludźmi było mężczyzn aniżeli kobiet.

Sposób przepędzenia niedzieli jest odmienny w Saint Louis, od obyczajów przyjętych pod tym względem w innych miastach Stanów Wschodnich, gdzie purytańskie zwyczaje nakazują, by co siedem dni następowała przerwa 24-o godzinna we wszystkich objawach życia zewnętrznego. Powstrzymaną jest praca, równie jak zamkniętemi są teatra, restauracye i inne miejsca rozrywki. W Saint Louis przeciwnie. Widziałem robotników pracujących przy warsztatach, ulice zaś roją się strojnie przybraną ludnością, murzyni grają na przeróżnych instrumentach, miasto całe brzmi rozgłosami hałaśliwej ich muzyki a restauracye przepełnione są gośćmi, teatra dają nie jedno lecz dwa przedstawienia, dzienne i wieczorne a środkiem szerokiej Washington Avenue staroświeckie wielkie karoce i landary oszklone lub odkryte wiozą powoli całe nagromadzone w nich

rodziny, na spacer niedzielny. Tak więc jakkolwiek zabytki przeszłości nieliczne są w Saint-Louis, pozostała wszakże po francuzkich przodkach katedra, nazwiska i mniej ponuro święcona niedziela.

* * *

Chicago jest typem miasta amerykańskiego. Nie jest ono kosmopolitycznem jak Nowy York, ani przypominającem właściwe cechy swych pierwotnych założycieli jak Saint-Louis (francuzkie) Filadelfia, Boston (angielskie), lecz stanowi aglomerat wszystkich narodowości świata całego, zbiorowisko mieszane a niezespopolone, które mimo wszystko nosi barwę czysto amerykańską. Z tych właśnie względów nie można było lepszego uczynić wyboru jak uczyniono, obierając Chicago na miejsce międzynarodowej wystawy, odbywającej się w roku bieżącym 1893. Pomijając ciekawości „Worlds fair"—„jarmarku wszechświatowego" — samo „miasto łąk", jak się z przydomku zowie Chicago przedstawia dla przybywających zdaleka cudzoziemców, niepospolicie ciekawe zjawisko.

Powstało ono i wzrosło z zadziwiającą szybkością. Cyfry wreszcie najwymowniej o tem świadczą.

Przed laty 50 Chicago nie istniało.

W roku 1850 miało 60,000 mieszkańców, w roku 1870 przeszło 300,000.

Miasto zaludniło się niespodziewanie szybko, tak że plan jego pierwotny okazał się pozbawionym proporcyj. Ulice były teraz zbyt wązkie, gmachy publiczne zbyt ciasne, place za małe i zbyt rzadkie. Niespodzianie spadło złe, usuwające owo złe istniejące. W roku 1871 wybuchł pożar, który pochłonął 1,700 domów w przeciągu pięciu dni.

„Największy i najpiękniejszy pożar na świecie zburzył Chicago doszczętnie!“ mówią z właściwą sobie tylko dumą, pełni oryginalności amerykanie. Odbudowanie miasta wytworzyło niedające się obliczyć fortuny, zarobione przez założone w tym celu spółki jak też i przez przedsiębiorców prywatnych, na własną rękę budujących całe dzielnice. Znikłe skutkiem pożaru miasto było z drzewa, odbudowano je z cegły i z żelaza, wznosząc owe sławne na świat cały kilkunastopiętrowe domy, zastępujące swą wysokością nieistniejące w tej części kraju wzgórza naturalne. Niektóre domy mają po osiemnaście pięter. Powodzenie i rozwój nowego Chicago, przeszedł najśmielsze oczekiwania amerykańskich spekulantów, patrzących i tak zwykle na rozpoczynający się „business“ z optymistycznego punktu widzenia.

Dzisiejsze Chicago posiada blizko półtora miliona mieszkańców a rozsiadło się na przestrzeni gruntu mającej 27 kilometrów długości i 8 szerokości. W zadziwiającem tem mieście 29 towarzystw kolejowych posiada swe dworce

promieniując na wszystkie strony Ameryki północnej zcentralizowanemi tutaj liniami. Chicago posiada przeszło 100 banków, 300 kościołów, teatra największe, hotele najwspanialsze na całej kuli ziemskiej. W środkowej części miasta za metr kwadratowy gruntu płaci się obecnie 12,000 franków! Jedna z ulic ma 27 kilometrów długości a ludność rok rocznie wzmaga się o 100,000 z nadciągających z zewnątrz emigrantów.

Chicago jest próbką tego, co amerykanie tworzyć są zdolni. Najbardziej zadziwiające pomysły urzeczywistniają się tutaj z niesłychaną szybkością, przeszkody na pierwszy rzut oka nieprzezwyciężone, pomijane są z lekceważeniem, bo z nieomylną dotychczas pewnością tryumfu. Pokazano mi dom siedemnasto-piętrowy, mający 44 metry długości a 25 metrów szerokości, który został wzniesiony wśród zimy z niesłychaną szybkością, co trzy dni bowiem przybywało mu jedno piętro więcej! Tego atoli rodzaju wysiłki, nikogo tu nie dziwią, są bowiem rzeczą powszednią.

Chciałem poznać przyczynę tego nadzwyczajnego rozrostu, tak niedawno powstałego miasta. Z poczynionych w tym kierunku poszukiwań wynika: iż Chicago w wyjątkowo korzystnym punkcie kraju jest położone, leży bowiem prawie w pośrodku Stanów Zjednoczonych północnych nad jeziorem Michigan, łączącem się z innemi wielkiemi jeziorami, rzeką Św. Wawrzyńca i oceanem.

Kraje otaczające Chicago należą do najbogatszych stanów Unii amerykańskiej, są niesłychanie żyzne a w pobliżu ich znajdują się jeszcze żyzniejsze a niezaludnione dotychczas przestrzenie, posiadające wielką przyszłość przed sobą. Wyjątkowe te warunki, razem złączone, przyciągnęły uwagę kapitalistów, którzy rzucili się z całą energią amerykanom właściwą, do kupowania gruntów i wznoszenia domów stanowiących dzisiejsze miasto, oryginalnością swych gmachów posługując się reklamowo, dla przywabienia ludności, która nadciąga tu tłumnie. Jeden szczegół podtrzymuje drugi, wytwarzając skombinowaną siłę, całość godną podziwu. Kapitaliści budujący Chicago, spekulują na domach równie umiejętnie jak inni kapitaliści spekulują na giełdzie. Chicago wyrosło dzięki złotu uzbieranemu w reszcie Stanów, kapitały jednych przyciągały kapitały drugich a wyradzające się ztąd gorączkowe współubieganie wytworzyło zasób energii, dostateczny, by na łąkach, gdzie przed półwiekiem bezludna panowała pustka, powstało miasto dążące dziś do stanowiska pierwszorzędnego rynku wszechświata. Energiczna, gorączkowa działalność zcentralizowaną się być zdaje w zadziwiającem tem mieście. Ludność tutejsza jakby oddychała szybszem tempem i nigdzie amerykanin nie jest tak ruchliwym, chciwym zysku, gnającym za nim bez wytchnienia jak w Chicago. W Nowym Yorku wyraz „business“ jest

znaczenia pierwszorzędnego w Chicago „business" jest Bogiem, jest pierwszą i ostatnią racyą istnienia, celem działalności i skupienia myśli. Konsekwencyą tego ogólnego nastroju, jest niedościgniony nigdzie dotychczas rozwój handlu i przemysłu. W roku zeszłym, to jest w roku 1892, obrót kapitałów w Chicago na polu przemysłowo-handlowem doszedł cyfry siedmiu miliardów franków!

* *
*

Miasto przekształcające się z tak nadzwyczajną szybkością jak Chicago, nie może być opisanem wiernie. By tego dokazać, trzebaby użyć błyskawicznych aparatów fotograficznych, dopełniających zdjęcia wciąż nowopowstających gmachów i dzielnic wczoraj nieistniejących. Ograniczę się zatem na wyliczeniu głównych ciekawości miasta a do takich należą: „Board of trade", giełda, gdzie przeważna część spekulacyi opiera się na handlu zbożem; bydłobójnie, gdzie co rok przypędzają dwa miliony wołów, cztery miliony świń, dla przerobienia ich mięsa na pekeflejsz, rozsyłany ztąd w pudełkach blaszanych, we wszystkie kierunki siedzib ludzkich na świecie całym.

„Auditorium" jest gmachem do nieprawdopodobieństwa kolosalnych rozmiarów; stanowi on hotel dla podróżnych a zarazem mieści największy dotychczas teatr.

* *
*

Przybywszy do Chicago, niesłychanie byłem ciekawy, przypatrzeć się nieco bliżej warunkom społecznym tego aglomeratu wszystkich narodowości, wszystkich klas towarzyskich, stanowiących tutaj jeden naród, naród młody i pełen zadziwiającej siły żywotnej.

Wyznać należy, iż administracya miejska oraz trybunały sądowe nie dosięgły jeszcze bynajmniej ostatniego wyrazu doskonałości pod względem swej organizacyi. Niezawsze też najwyższe urzędy pozostają w rękach najgodniejszych tych zaszczytów. Dobrobyt i bogactwo Chicago przyciągają tutaj zbyt wielkie tłumy nędzarzów i awanturników ze wszystkich stron świat śpieszących, w przekonaniu iż dość jest stanąć na gruncie tutejszym, by natychmiast stać się współwłaścicielem wszelkiego dobra. Nie przebierają oni w środkach, by żywione nadzieje płomiennemi nie pozostały w rzeczywistości i często zdarzają się wypadki, iż wydostają się na wierzch, korzystając z nazbieranego życiem doświadczenia lub specyalnego swego wykształcenia. Czynią oni nieraz wiele złego, posiadłszy wybitniejsze stanowisko a gdy czasami wytrąconemi z niego zostaną skutkiem popełnionych nadużyć — znikają bez śladu. Miasto zaś jest zbyt bogate, żywotne i siłą nagromadzonej energii pędzące wciąż naprzód, by szkody ztąd wynikające, na chwilę bieg rzeczy opóźnić były zdolne. Zręczniejsi awanturnicy potrafią się hamować i ci są też

zazwyczaj tryumfatorami. Chicago bowiem uważać należy za olbrzymią arenę, gdzie ścierają się z sobą w walce nieustannej, żądni bogatej zdobyczy zapaśnicy w tym celu tylko tutaj przybyli. Zwycięzca zachowujący pozory lojalności w zastosowywaniu się do istniejąch przepisów, staje się bohaterem chwili, oklaskiwanym przez śledzących jego ruchy widzów i świadków.

* * *

„Business is business“ interes — jest interesem i „go ahead“ — iść naprzód, oto dwa wyrażenia powtarzające się co chwila w rozmowie ludności tutejszej. Dwie te maksymy są alfą i omegą jej życia. Słusznie byłoby, aby wyryte one zostały na frontonach gmachów tutejszych, stanowią bowiem dla Chicago godła, na wzór innych miast wielkich, inne godła posiadających.

Wśród młodego tego społeczeństwa niemającego tradycyi, gdzie nikt nie posiada uświęconego zasługą nazwiska, gdzie każdy z innego punktu kuli ziemskiej przybywa, znaczenie nadaje jedna rzecz tylko, a nią jest bogactwo. Społeczeństwo tutejsze nie dzieli się na warstwy, lecz wyróżnia z pośród siebie najbogatszych i im niesie swoją cześć i szacunek.

Jakkolwiek ludność tutejsza nie dzieli się na warstwę społeczną wyższą i niższą, podług obyczaju w Europie przyjętego, wszakże istnieją po-

wne towarzyskie grupy; bankier np. nie będzie bywać w domku tramwajowego woźnicy, przemysłowiec nie zaprosi do siebie na obiad tragarza portowego, różnice jednak między niemi są mniejsze, przestrzeń ich dzieląca słabsza, aniżeli w naszem, wśród starego kontynentu społeczeństwie. Spekulowanie na wszelkiego rodzaju interesach jest tutaj tak ogólne, hazardy bywają tak niespodziewane, iż człowieka biednego, zmuszonego dziś do najuciążliwszej pracy, uważa się jedynie za gracza nieszczęśliwego, któremu los nie dopisał, lecz dopisać może dziś jeszcze, albo jutro...

Tego rodzaju ustrój demokratyczny, równość jednaką dla wszystkich wydzielający a stanowiący dążność idei nowoczesnych — o ile jest korzystny dla mas, o tyle w teoryi zdawaćby się mogło, iż przeszkadza rozwojowi aspiracyj wyższych, niszcząc w zarodku arystokracyę ducha i umysłu. Rzeczywistość inne daje wyniki. Statystyczne dane w Cnicago wskazują, iż poziom umysłowy mas podnosi się stopniowo i corocznie a z tłumu tych mas, wydzielają się coraz częściej naturalne wyższe przyrodzone siły umysłowe przyobleczone w taką lub inną formę talent wyższy znamionującą. Z tłumu, świadomego zaledwie sztuki czytania i pisania a świadomego przedewszystkiem żądzy swej posiadania złota, corocznie w większej liczbie wyłączają się ludzie, poświęcający się wiedzy lub sztuce.

* * *

Bogacze miejscowi tworzą grupę najwytworniejszego towarzystwa w Chicago. W specyalnym tym świecie, pieniądz nie przestaje odgrywać roli najważniejszej, przynosząc z sobą najróżnorodniejsze okoliczności, niezawsze dogodne lub dodatnio o moralności milionerów świadczące. Bardzo wiele panien, posiadających nieograniczone środki, dzięki hojności bogatych swych rodziców, nie wychodzi za mąż lub wychodzi w późnym dopiero wieku, albowiem przyzwyczajane do zbytku i w nim ponad wszystko rozmiłowane, nie chcą się go wyrzec dla miłości człowieka, którego wybrały sercem, lecz który nie jest w stanie zapewnić im równomiernego dzisiejszemu utrzymania. W złoconej klatce u swych rodziców zamknięte, czekają chwili gdy narzeczony dojdzie do pożądanej przez nie fortuny. Często się zdarza, iż chwila ta nie nadchodzi nigdy i pozostają staremi pannami... Inne znów wychodzą w wiośnie życia za starców, zwabione blaskiem ich majątkowego powodzenia. Nigdzie też rozwody nie są częstsze, jak w Chicago. Łatwość uzyskania rozwodu jest w Ameryce wielka a w Chicago największa. Powodem rozwodów jest zazwyczaj niepowodzenie majątkowe męża. Rzadkie są kobiety, posuwające delikatność uczuć do chęci upozorowania rozwodu z innych źródeł zaczerpniętemi powodami.

W ogóle rzec można, iż chęć i żądza zdobycia majątku, tak dalece są rozwinięte wśród mło-

dego społeczeństwa tutejszego, iż przynoszą mu ujmę pod względem jego poziomu moralnego. Osiągnięcie upragnionego celu zagłusza większość jego stron dodatnich, byle ostateczny rezultat był pomyślny, mniejsza o sposoby do niego wiodące...

* * *

Pomimo ogólnego pościgu za zdobyciem fortuny, niewszystkim ona uśmiechać się może, i z rokiem każdym widoczniejszem się staje, iż bogactwo skupia się w rękach nielicznych a coraz potężniejszych. Objaw to bardzo naturalny, niekażda jednostka jest równie dobrze uzbrojona do walki ustawicznie wrzącej na polu wzajemnego współzawodnictwa, spryt i silna wola, nie mogą być równomiernie wydzielone wszystkim.

Teraz gdy społeczeństwo w Chicago nie doszło jeszcze do należytego ładu, gdy w pełni całej przebywa fazę rozwojową, istniejące pomiędzy jednostkami różnice majątkowe zacierają się skutkiem chaotycznego ogólnego zamętu. Lecz faza ta przejść musi a z nią ustąpi istniejąca pewna solidarność, dziś wszystkich do jednego i tego samego obozu walki wciągająca. Dziś bowiem nikt wiedzieć nie może, czy jutro nie będzie potrzebował tego, który chwilowo tylko za zwyciężonego jest uważany. Gdy nadejdzie czas, iż każdy ostoi się w zajmowanem

przez siebie stanowisku, gdy pole walki stanie się przystępne tylko garści wybrańców pomiędzy sobą ubiegających się o lepsze, tłum cały pozostawiwszy z daleka po za szrankami, gdzie zdobycz bogatą pochwycić się daje — wówczas losy Chicago, nieznanem, pełnem zagadnień pójść muszą torem.

Na czynione tego rodzaju uwagi, optymiści miejscowi odpowiadają:

— Kwestye te regulować się będą w dalekiej dopiero przyszłości. Ufać należy, iż zwyciężeni, niemający nadziei poprawy swego losu w Chicago, pójdą dobrowolnie probować losu gdzieś dalej. Nie należy kłopotać się o to dzisiaj. Ważniejszemi o wiele są wypłaty nadchodzące z każdym końcem miesiąca... Wreszcie dlaczegóż nie przypuszczać, iż nowy jakiś czynnik nie zjawi się tymczasem?... A czynnik ten może przynieść z sobą radykalną odmianę stosunków społecznych świata całego!

I rzecz dziwna, przebywszy czas jakiś w chaotycznym, gorączkowym zamęcie stosunków chwili obecnej w Chicago, mimowoli ulega się ich wpływowi tak dalece, iż tego rodzaju hypotetyczne rozumowanie wydaje się naturalnem i zaspakajającem.

* * *

Zaraz na wstępie, jako pierwsze wrażenie, Chicaco zadziwia swoim ogromem, swoją rozległo-

ścią. Do wywołania tego wrażenia przyczynia się długość prosto zakreślonych jego ulic, oraz liczne i obszerne puste place, widniejące pomiędzy domami w najpiękniejszych nawet dzielnicach. Nadzwyczajna rozległość miasta i zajmowanego przez nie obszaru, niezmiernie drogą jest mieszkańcom z chlubą zaznaczającym, iż tylko Londyn (i to tylko tymczasowo ich zdaniem) może pod tym względem sprostać ich stolicy. Byłem świadkiem gdy pewien anglik z Londynu na wystawę do Chicago przybyły, odszukawszy dom przyjaciela, dla którego towarzystwa zamieszkał na tejże samej co on ulicy, nie będąc uprzedzonym o jej kilkomilowej długości, rzekł z pewnym sarkazmem, pochodzącym z niezadowolenia.

— Tak, niezawodnie, wasze miasto poszczycić się może niebywałemi u nas odległościami a istniejącemi tutaj na jednej i tej samej ulicy!

Na co przyjaciel w Chicago osiadły, odrzekł z wybuchem radości i dumy.

— Jakże miło jest słyszeć tego rodzaju spostrzeżenia od kogoś, mieszkającego stale w Londynie!

Jeżeli zaś mieszkaniec Chicago, pyszny wielkością swego miasta, posłyszy uwagę, iż stolica Anglii większą jest i ludniejszą, odpowiadał cierpko:

— Dwóch tysięcy lat potrzeba im było na zbudowanie Londynu, niewiele od naszego Chicago większego, a nasze Chicago powstało dopiero przed laty piędziesięciu. Poczekajmy dwa tysiące lat a wtedy porównamy!...

Tyle jest rzeczy przeróżnych w Chicago, które uznane zostały za największe na świecie (Auditorium bydłobójnie, ulice, domy i t. d.), iż nic dziwnego, że w umyśle mieszkańców miasta tego wyrodziło się niezachwiane przekonanie o własnej niezrównanej potędze, sile i wyższości, wynoszących ich ponad resztę ludzi planetę naszą zamieszkujących. Tego rodzaju pochlebne o sobie poglądy, są, rzec można, ogólną właściwością mieszkańców Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza gdy zechcą przypomniawszy sobie o mieszkańcach starego kontynentu, poprowadzić między sobą a nimi jakąkolwiek paralelę. Nigdzie wszakże nie spotykałem tych poglądów, posuniętych do takiej krańcowości jak w Chicago! Są to naiwne wybryki nieokiełznanej zarozumiałości, właściwej u ludzi w wieku młodzieńczym a obdarzonych bujnością sił żywotnych; okazuje się, iż właściwość ta, rozciągłością swą całe młode nawet społeczeństwa ogarniać jest zdolną!...

* * *

Proste i długie linie ulic, przecinających się pod prostemi kątami z innemi również długiemi ulicami, wytwarzają niesłychaną monotonność niczem

niezmąconej regularności planu miasta. Na szczęście panuje coś wprost przeciwnego w architekturze Chicago. Obok potwornie olbrzymiego domu, napotkać można tuż obok maleńki pałacyk prywatny, a przy kamienicy wzniesionej z granitu, widnieje domek z drzewa o sielskim wyglądzie.

Jeżeli mam wydać sąd mój o wrażeniu wywołanem przez całość architektury miasta, wyznać muszę, iż nosi ona charakter wymuszony i dziwnie ponury. Zaczerpnęła ona swe wzory zwłaszcza z średniowiecznych kształtów i zarysów naszych feudalnych zamków, będących przedewszystkiem warownemi gniazdami ludzkiemi epoki wojowniczej i nic wspólnego z dzisiejszą niemającej.

Monotonność prosto zarysowanych ulic Chicago, zabudowanych domami w stylu średniowiecznym, wśród których wznoszą się kilkunastopiętrowe lewiatany lub drewniane wille nakształt zabawek dziecinnych a wszystkie te siedziby poprzedzielane najczęściej dziką łąką, oczekującą dopiero swego przeznaczenia, wywołują prawem kontrastów zadziwiające wrażenie niespodziewanego swego zestawienia. Uwagi te nasuwają się mimowolnie każdemu europejczykowi świeżo do Chicago przybyłemu. Wyznaję wszakże, iż plan i widok ogólny miasta, dodatnie sprawia wrażenie, zwłaszcza widziany z wysokiej wieży „Auditorium“. Kilkunastopiętrowe domy, widzia-

ne z wysokości wieży, nietylko przestają być rażące, lecz sprawiają miłe dla oka urozmaicenie, wśród płaszczyzny rozlegającej się do koła; Chicago nieposiadające naturalnych pagórków, zastąpiło je murowanemi.

* *
*

Prawo kontrastów zdaje się, iż tymczasowo stało się dominującem w Chicago prawidłem. Obok nadludzkiej energii, z jaką ludzie pracować tu zwykli, nigdzie pijaństwo, gra i rozpusta, tyle nie wyrządzają złego, nigdzie tak bardzo nie są rozpowszechnione. Obok nieznanych nam w Europie bogactw, istnieje równomierna z niemi nędza.

W kilka dni po mojem przybyciu, znalazłem się w domu mych znajomych w dość licznem towarzyskiem gronie. Rozmowa toczyła się właśnie o nędzy panującej w biednych warstwach najbogatszego na świecie miasta. Temat rozmowy wywołany został skutkiem obecności niedawno przybyłego z Londynu dyrektora przytułku a więc człowieka obeznanego i interesującego się kwestyami tego rodzaju. Prócz niego i kilku innych osób, była obecną średnich lat amerykanka o twarzy sympatycznej i rozumnej. Przybyła ona do Chicago z misyą powierzoną jej przez władze z Waszyngtonu—zebrania bliższych szczegółów popartych naocznem stwierdzeniem o klasie nędzarzy, ich liczbie, sposobie życia i t. d.

— Znam dobrze, rzekł anglik, całą potworność nędzy kryjącej się w naszych zaułkach londyńskich, lecz z przerażeniem spostrzegłem, iż tutaj na gruncie nowego kontynentu gorzej jest jeszcze, a w Chicago nędza przeszła dotychczas znane mi zakresy. Wszystko tu u was przybiera fantastycznie olbrzymie wymiary. Ilość zaułków a w nich nor i jam, stanowiących legowiska ludzkie, przewyższa pojęcie, jakie wytworzyć sobie mogłem, sądząc po stanie nędzy londyńskiej. Nasze rudery, służące za schroniska i pieczary nędzarzom, mają przynajmniej mury z cegły lub z kamieni, podczas gdy tutaj przy względnie ostrzejszym klimacie, budy poklecone są z przegniłych desek, niezabezpieczających ani od deszczu, ani od zimna, ani też od silniejszego tu niż gdzieindziej wiatru.

Amerykanka, równie jak nikt inny z obecnych niczem niemogli ani zaprzeczyć, ani złagodzić dopiero co wygłoszonych spostrzeżeń.

— Czyż komisye sanitarne, wreszcie prawa miejscowe dozwalają na podobny stan rzeczy? zapytałem.

— Wręcz są im przeciwne, odpowiedziała amerykanka. Mamy nawet wielką ilość praw oraz miejscowych poszczególnych rozporządzeń policyjnych, zapobiegających a raczej mających na celu zapobieżenie nędzy, zwłaszcza wśród krajowców. Lecz mamy napływ nędzarzów przybywających tutaj ze świata całego a wyznać rów

nież należy, że prawa istniejące nigdy nie zostały zastosowanemi w praktyce.

— Dlaczego?

— Bo wykonawcami prawa są przeważnie ludzie, niemający żadnego interesu w tem, by stan rzeczy uległ jakiejkolwiek zmianie.

— Ależ to niesłychane z ich strony nadużycie, świadczące o moralnej ich nicości! — zawołałem uniesiony oburzeniem. A czyż licznie istniejące kościoły i to kościoły wszystkich wyznań i odcieni tych wyznań obojętnem okiem patrzą na męczarnie głodowe swych bliźnich?

— Kościoły! — rzuciła z głęboką ironią kobieta. —Kościoły!—ależ największe znaczenie i dostojności piastujący w nich ludzie, są właścicielami dzielnic, gdzie głodowe dramaty unicestwiają ludzi bezlitośnie!

— A prasa tutejsza jak się zachowuje? — spytałem. Wszak jej zadaniem jest objaśniać publiczność o istniejącem złem z jednej strony, pouczając zarazem ogół publiczności o ciążących na nim obowiązkach, z drugiej. Obudzone w sumieniach poczucie solidarności ludzkiej, jest jedyną zbawienną tutaj drogą. Czy macie państwo dziennikarzy spełniających swą misyę z należytym zapałem?

— Niejednokrotnie staraliśmy się o to, by dzienniki zajęły stanowisko, które im słusznie pan zakreśla, lecz dotychczas usiłowania nasze były próżne. Osobiście nawet miałam sposobnośc dobadania się jednej z przyczyn ich obo-

jętności. Poznawszy się z dyrektorem jednego z najlepszych a przynajmniej najwięcej czytywanych dzienników tutejszych, prosiłam, by zajął się tą sprawą. Chciałam, by wykazał przedewszystkiem karygodną opieszałość ze strony władz municypalnych. Odmówił mi stanowczo mówiąc: „Umieszczczę artykuł, jaki pani zechcesz, pod warunkiem, że będzie podpisany. Lecz ze strony dziennika nie uczynię nic. Krucyata tego rodzaju, jak mi pani proponujesz, jest bardzo niebezpieczną. Sprawie przez panią popieranej nie pomogłaby wiele a zaszkodziłaby niezawodnie tak mnie, jak dziennikowi. Wszystkich ludzi wpływowych miałbym naraz przeciwko sobie i dziennik mój, dziś doskonale stojący, upadłby równie szybko, jak bezpowrotnie“.

Jakże niesłusznem wydało mi wobec tego zdanie, wyrzeczone z najwyższem przejęciem przez murzyńskiego księdza katolickiego, podziwiającego objawy działalności w Chicago rozwijanej, słowami: „O biali ludzie! Nic wam już do zwalczenia niepozostaje, nad śmierć tylko jedną!“

XII.

Międzynarodowa wystawa w Chicago r. 1893, na miesiąc przed otwarciem.

Gdy powstała w Stanach Zjednoczonych myśl urządzenia międzynarodowej wystawy, ogólne było mniemanie, iż areną dla niej najdogodniejszą będzie Nowy York, miasto nadmorskie, wielkie i wspaniałe, mające już wyrobioną w Europie opinię a Europę na wystawę przyciągnąć, od pierwszej chwili było nietylko życzeniem lecz prawie celem. Chełpliwość amerykańska od początku brała w tym względzie górę, nad przyrodzoną również chciwością; chciano przedewszystkiem zadziwić, wzbudzić zazdrość i zdumienie w przybywających na wystawę gościach ze starego kontynentu.

Prócz Nowego Yorku były i inne miasta amerykańskiej Unii, roszczące prawo do pomieszczenia „Worlds Fair“ u siebie, lecz siła pieniężna ostatecznie odniosła zwycięztwo. Chicago z miast tych najbogatsze, współzawodnictwo wszelkie usunęło, ofiarując, prócz placu na pomieszczenie wystawy, 10 milionów dolarów na pierwsze wydatki jej urządzenia. Kongres obradujący w Waszyngtonie, na pokrycie kosztów wystawy, uchwałą swą wyznaczył 12,500,000 dolarów, teraz więc miał już tylko jedną piątą sumy do wypła-

cenia z skarbu publicznego. Skorzystał też natychmiast z hojności miasta Chicago, ofiarę jego przyjął i zachęcony uczynioną oszczędnością, zręcznie na tej drodze postępując, uczynił drugą Na sumę brakującą do dopełnienia ogólnej cyfry, wypuścił w formie „monety pamiątkowej" 2,500,000 sztuk dolarów, mających rzeczywistą wartość pół-dolarów, lecz ze względu na „patryotyczną manifestacyę", spowodowaną międzynarodową wystawą, obchodzoną w czterechsetletnią rocznicę „odkrycia nowego kontynetu", sprzedawanych na „pamiątkę" po dolarze sztuka. Pamiątkowe te monety natychmiast rozchwytanemi zostały, przynosząc skarbowi czystą połowę zysku. Tak więc koszta urządzenia wystawy zmniejszone zostały nadspodziewanie dla skarbu federalnego.

* * *

Odniesione przez Chicago zwycięztwo uważać należy za szczęśliwy zbieg okoliczności dla europejczyków, pragnących zwiedzić amerykańską międzynarodową wystawę. Żadne bowiem z nadbrzeżnych miast z Nowym Yorkiem na czele, nie posiadają tak wybitnie odmiennej cechy jak Chicago. Nad Atlantykiem rozsiadłe miasta przypominają wielu swemi stronami Europę, zwłaszcza Anglię, Chicago zaś, położone w środku kraju, nad jeziorami, które wczoraj jeszcze prawie były nieznane, Chicago wzniesione tak gwałto-

wnie i amerykańskiemi tylko rękoma, ciekawem jest oryginalnością swą niepospolitą, wyobrażając niejako syntezę dążności i zdolności młodego narodu, powstałego ze skrzyżowania się ras różnorodnych i wypadkowo z sobą zetkniętych, w chwili szukania nowych dla siebie dziedzin. Chicago przedstawia się oczom europejczyka jak dzieło powstałe pod tchnieniem niedojrzałego jeszcze lecz genialnego młodzieńczego narodu, lubującego się w kolosalności wymiarów i formie zdobnej w jaskrawe błyskotliwe świecidła, chaotycznie z sobą złączone. Gust tego narodu jeszcze się nie wyrobił, uważa on za piękne to, co jest jaskrawe a błądząc po manowcach ku sztuce wiodących, zadziwia nas naiwnością swoich nieurobionych, jakby dzikich jeszcze zachwytów.

Brak poczucia estetycznego a nawet wprost logicznego zastanowienia ujawnił się w całej pełni przy zakładaniu miasta. Pominięto piękno i pożytek, jakie można było osiągnąć przez zbudowanie miasta amfiteatralnie ponad jeziorem Michigan, wspaniałem i obszernem jak morze, posiadającem burze tak nawalne, iż piętrzą jego wody nakształt wspienionych fal oceanu, z którym się łączy za pośrednictwem rzeki Św. Wawrzyńca. Ponad jeziorem poprowadzono kolej żelazną, nieuwzględniając nawet nasuwającego się prawie natychmiastowo przypuszczenia, iż Chicago stanie się miastem portowem a zatem przystęp do wody powinno mieć wolny. Pra-

ktyka wykazała wkrótce, jak dalece biegnąca ponad jeziorem kolej, odcina je od miasta z wielką dla tegoż ujmą. Rzucono wtedy ponad koleją mosty wiodące ku wodzie! Załatwiwszy się jako tako ze stroną praktyczną, w kilka lat później zarząd miejski nakazał drogą sądową zniesienie dworca kolei Illinois i usunięcie go dalej, by piękny w pobliżu jeziora założony park, mógł rzeczywiście po nad wodą się znajdować, stosownie do nadanego sobie miana „Lake-Park". Lecz właśnie niedokładności tego rodzaju, spotykane w Chicago co chwila, stawiają je wysoko w oczach uważnego badacza, mogącego śledzić z zajęciem postęp rozwoju narodu do tak niedawna pogrążonego w ciemnocie a dążącego ku cywilizacyi gwałtownemi skokami.

* *
*

Znając Chicago z kilkakrotnych poprzednich pobytów a jadąc obecnie obejrzeć plan otworzyć się mającej wystawy, puściłem wodze fantazyi, wyobrażając sobie zadziwiające pałace, jakie mieszkańcy Chicago wznieść musieli na tak świetnie zapowiadającą się uroczystość. Pewien byłem, iż pozostaną sobą i nieoglądając się na niczyje tradycye, stworzą rzecz całkowicie oryginalną i, jeżeli nie piękną, to przynajmniej zajmującą. Jakże niemile zostałem rozczarowany, gdy przybywszy do Chicago poszedłem obejrzeć budynki wystawowe, wzniesione wśród obszernego

Jackson-Parku. Zastałem tam niezdarnie wydęte kopie europejskiego „wystawowego stylu“, którego banalność do najwyższego stopnia posuniętą została.

Potężny rozległością obszar ziemi na wystawę przeznaczony, najeżony został nieskończoną ilością gmachów najrozmaitszych stylów i epok, lecz kopie są pod względem artystycznym nędzne a przyznać należy, iż wzory równie nieszczęśliwie wybranemi zostały. Oko wkrótce zmęczone nieubłaganą monotonnością wciąż powtarzających się linij, zniechęca się do sumienniejszego poszukiwania czegoś nowego, czegoś pięknego i różnego od tyle razy widzianych już tekturowych pałaców, wieżyc, portyków, kolumnad, kopuł, zatrważających swą nietrwałością, co chwila grożących zawaleniem się a przypominających swą znikomością dekoracye teatralne. Kilkakrotnie zdarzyły się już w Chicago wypadki, iż w czasie budowy wystawionych gmachów, silne wichry wiejące z północy, zdmuchiwały je budząc obawę, że na czas ukończonemi nie zostaną.

Im bardziej przypatrywałem się powznoszonym budynkom, tem zadziwienie moje było większe. Jakim sposobem Chicago posiadające kilku znakomitych architektów, popaść zdołało w tak ckliwo-banalne naśladownictwo planów, opracowanych przez pilnych i przykładnych uczniów szkoły europejskiej? Wszak Sullivan, dawny uczeń

Szkoły sztuk pięknych w Paryżu a następnie twórca planów zadziwiającego swą kolosalnością Auditorium i Schillers'theatre'u w Chicago, posiada talent wielki, oryginalny i zgodny z duchem swych współrodaków, podziwiających go w każdej nakreślonej przez niego linii!

Gmachy na placu wystawy, wzniesione zostały podług planów wybranych drogą konkursu. Rozmieszczone następnie dość chaotycznie, jakby niedopasowane do planu ogólnego, nie wytwarzają zamierzonego efektu.

Gmachy ilością swą i wielkością zacieśniają miejsce spacerowe w parku. Prócz szerokiego tarasu po nad jeziorem, wystawa nieposiada ani jednej wielkiej arteryi, po której publiczność tłumnie spacerowaćby mogła.

Najpiękniejszą stroną wystawy w Chicago, będzie znaczna stosunkowo ilość wody, która ją urozmaica. Dwa wielkie kanały dążące od jeziora Michigan, wrzynają się w głąb placu wystawy. Jeden z tych kanałów w kształcie olbrzymiego krzyża, zakończony jest wspaniałą wymiarami swemi fontanną, przedstawiającą łódź na kanał wjeżdżającą. Na łodzi stoi statua wyobrażająca „Amerykę“ w postaci młodej kobiety z czapką frygijską na głowie, po za nią, jako sternik, siedzi w łodzi „Czas“. Prócz tych dwóch głównych postaci, znajduje się kilka innych figur alegorycznych, jak: „Nadzieja“, „Pomyślność“ i t. d., które symboliczną łódź pchają „na-

przód", jako wioślarze. Utwór ten jest pomysłu Mac-Monnies, młodego chicagowskiego rzeźbiarza, który od lat kilku kształci się w Szkole sztuk pięknych w Paryżu[1]).

Drugi kanał, biegnąc od jeziora, mniej regularne przybrał kształty i, wijąc się po parku, tworzy wyspę gęsto drzewami zarosłą i skutkiem tego nazwaną „wooded Islana". Wśród wyspy rozrzuconą będzie „wioska japońska", oraz wystawa rybacka.

Przeprowadzenie tych dwóch kanałów o brzegach rozmaitych, wywołuje nadzwyczaj piękne efekta dekoracyjne. Nawet banalność stojących po nad niemi gmachów niknie po części, tak dalece sąsiedztwo wody w połączeniu z zielonością szczęśliwie wpływa na podniesienie wdzięków architektury. Kanał w formie krzyża zakończonego monumentalną łodzią fontanny pomysłu Mac-Monnies, przeznaczony jest do wywoływania efektów wieczornych. Na całej jego długości bić będą wodotryski oświetlone różnobarwnie. Mieszkańcy Chicago, pomni powodzenia jakiego doznawały „les fontaines lumineuses" na wystawie paryzkiej 1889 r., pomnożyli ich liczbę w każdym zakątku swej wystawy.

---

[1]) Nieodżałowana malarka Anna Bilińska przedwcześnie zmarła w r. 1893, na parę lat przed śmiercią wystawiła portret Mac-Monnies w Salonie paryzkim. Ceniła ona wysoko talent młodego artysty. (Przyp. tłom.)

Wśród gmachów przewyższających liczbą i ogromem wszystkie gmachy dotychczasowo widywane na wystawach naszej kuli ziemskiej, jest jeden tylko budynek skromnych stosunkowo rozmiarów, lecz pięknością swą i oryginalnością zasługujący na wyróżnienie. Jest nim pawilon „Rybacki“, wśród „wooded Islana“ położony.

Wygląd jego jest prosty i pełen wdzięku. Cechy te odbijają tem wybitniej i szczęśliwiej, że we wszystkich budynkach wystawowych, starano się z zaciekłością niezrównaną, by wszystko było przeładowane ozdobami, chociażby najmniej pasującemi, czego dowodem jest np. gmach „Transportation building“, wzniesiony podług planu znakomitego artysty, jakim jest wymieniony już wyżej architekt Sullivan. Otóż gmach w stylu assyryjsko-babilońskim, ciężki, olbrzymi, imponujące — wspaniałe czyniłby wrażenie, lecz komitet wystawowy uznał za stosowne „ozdobić“ w potężnym umyśle Sullivana zrodzonego olbrzyma, tysiącznemi „statuetkami“ rozstawionemi na zewnątrz, na stopniach gmach okalających. Banalne to i tandetne statuetki, wyobrażające wieśniaków oraz rzemieślników przy ich zwykłych zajęciach, przybranych nadto w tużurki à la Franklin! I takie tematy będące utworami rąk nieudolnych, pokryły od góry do dołu arcydzieło Sullivana, szpecąc je tak dalece, iż odrazę tylko a nie zachwyt budzić może! Na szczę-

ście „pawilon rybacki“, dotychczas przynajmniej, nieuległ podobnej manifestacyi barbarzyńskiego gustu tutejszego.

„Pawilon rybacki“ złożony jest z trzech okrągłych budynków, środkowy, największy, połączony jest z dwoma mniejszemi stojącemi po bokach zgrabnemi galeryami w rodzaju kolumnady. Całość pokryta jest dachówką pięknej czerwonej barwy. Wdzięk i prostota zewnętrzna, łączy się z pomysłem oryginalnym i artystycznym w udekorowaniu budynku wewnątrz. Ściany pawilonu przeznaczone na pomieszczenie właściwych rybołóstwu przyrządów, okolone są gzemsami i galeryjkami podtrzymywanemi przez kolumny i łuki a na wszystkich wiją się, pełzają, wychylają, okręcają, tysiące i tysiące ryb i raków wszelkiego rodzaju i wielkości. Sztukaterye wyobrażające te ryby, raki, żaby, węże we wszystkich pozach, wykonane są świetnie, oddając z całym wdziękiem oryginalny pomysł artysty, który twórczością swą dozwala przypuszczać że nad jeziorem Michigan, może i dla sztuki dni świetności zabłysną...

Tymczasowo wszakże, pod względem sztuki, długo jeszcze stara Europa będzie mistrzynią młodej Ameryki.

KONIEC.